

**Vedrana Rudan**

# **Ucho, gardło, nóż**

przełożyli  
**Grzegorz Brzozowicz**  
**Janusz Granat**  
**Władysław Szablewski**



tytuł oryginału  
**Uho, grlo, nož**

koncepcja graficzna  
**Michał Batory**

redakcja  
**Dorota Jovanka Ćirlić**

korekta  
**Katarzyna Malinowska**

przygotowanie do druku  
**PressEnter**

wydawca dziękuje  
**Biljanie, kochanej przyjaciółce,  
która skutecznie zaraziła mnie tą książką,  
Sylwii, Władkowi i Januszkowi,  
którzy cierpliwie znajdowali najlepsze słowa...**

*Mojej mamie, która jest mi mamą,  
Mojemu mężowi, który mężem nie jest,  
Moim dzieciom, które nie są dziećmi,  
i Olegowi*

Copyright © 2002 by Vedrana Rudan  
Copyright © for the Polish edition  
by Drzewo Babel, Warszawa 2004  
All rights reserved

Drzewo Babel  
ul. Litewska 10/11 • 00-581 Warszawa  
www.drzewobabel.pl  
listy@drzewobabel.pl

ISBN 83-918441-7-X

## Prolog

- Tonka, musisz wyjaśnić komuś, kto patrzy z boku, kim jesteś ty, a kim są Oni.

- Po co?

- Żeby to było bardziej zrozumiałe dla kogoś, kto patrzy z boku.

- Przecież wszystko jest jasne! Nazywam się Tonka, z domu Babić, leżę w łóżku i brandzluję pilota. Jest noc i nie chce mi się spać. Skaczę po kanałach.

- A Oni to kto?

- Oni są wszędzie.

- Gdzie?

- Ze mną w tym pokoju. W powietrzu, w moich oczach, pod moimi powiekami, w moim nosie, w moim uchu, w kartonowym pudełku na szafie, w którym trzymam kostiumy kąpielowe, letnie bluzki i bermudy Kikiego, w nocnej lampce z ikei, we wszechświecie. Oni nie widzą mnie, ja nie widzę ich. Oni słyszą mnie, ja słyszę ich.

- Byłoby znacznie lepiej, gdybyś była aktorką na scenie, za tobą ekran telewizora, grasz w mono-

dramie, a Oni są publicznością, która cię słucha. Tak by było dużo lepiej.

– Skąd! Kto da rolę kobiecie pięćdziesięcioośmioletniej? Noc jest długa. Kto by się nauczył na pamięć tyle tekstu? Kto by ścierpał tak długie przedstawienie?! Gdyby Oni byli widznią, poszliby już do domu.

– To czemu nie wystąpisz jakimś w nocnym telewizyjnym show? Typu „Rozmowy nocą”? To teraz na to pie. Studio telewizyjne, ty leżysz w łóżku, jesteś w swoim żywiole, pleciesz bzdury, a Oni to ludzie, którzy siedzą w domach i gapią się na ciebie przez całą noc. Za tobą miga ekran, przyciskasz pilota i widzisz tę samą historię.

– Ale ja nie jestem stuknięta i nie lubię żadnych tam „Rozmów nocą”. W telewizji najbardziej podoba mi się dokumenty. O zwierzętach. Lubię oglądać hipopotamy, jak leżą w wodzie i typią na mnie swoim małym, przebiegłym oczkiem. To lubię. Kumasz? Jak to nie?! Kim ty jesteś?!

– Jestem Kimś, Kto Patrzy z Boku.

## Zaczynamy

Patrzę na zegar, który kupiliśmy w ikei. Pod zegarem włączony telewizor. Bez dźwięku. Jakieś staruszki coś mówią. A może te kobiety wcale nie są staruszkami. Tylko mają siwe włosy. I nie mają zębów. Ja też bym była staruszką. Ale co trzy tygodnie płacę Aleksandrze sto marek. Dlatego moje włosy są rude. W ustach mam cztery tysiące marek. Dlatego mogę się śmiać szeroko, pełną gębą. Ale... ja się tak nie śmieję. Lewą górną dwójkę wyrwał mi dentysta, kiedy miałam czternaście lat. Przez lata śmiałam się z zaciśniętymi ustami. Byłyśmy biedne. Moja stara, moja babcia i ja. Lewą dwójkę wstawiłam sobie na dwudzieste czwarte urodziny. Nawet wtedy nie uśmiechałam się szeroko. Został mi nawyk półuśmiechu. Leżę w łóżku w pidżamie Kikiego. W prążki. Benetton. Pytacie, jaki jest związek między lewą górną dwójką a pidżamą?! Co ma wspólnego pidżama z dwójką? Ależ mnie to męczy! To wieczne wyjaśnianie. Dopatrywanie się powiązań. Szukanie podmiotów, orzeczeń i dopełnień. Dlaczego wszystko w moim życiu musi mieć jakiś związek z czymś innym? Czemu jesteście tacy opętani

związkami? Logiką. Przyczyną. Skutkiem. A ja wam grzecznie powtarzam. Leżę w łóżku. Mam na sobie pidżamę Kikiego. Patrzę na zegar. Która godzina? Ale co to ma do rzeczy? Pod zegarem stoi włączony telewizor, bez dźwięku. Nic tu z niczym nie ma związku. Mówię o faktach. Wkurwiają mnie wasze pytania. Wasze zniecierpliwienie. I ten mus, żeby zwęszyć dramat w moim banalnym leżeniu. Coś się stało. Albo coś się stanie. Coś musi się stać. Wy też nie macie nerwów ze stali czy czegoś takiego. Jesteście ludźmi o mocnych nerwach, no właśnie, mocnych, ale wasza cierpliwość też ma swoje granice. Więc jeśli ja będę tylko leżała i pieprzyła trzy po trzy, jeśli nic się nie będzie działo, wy mnie w końcu olejecie. Dupki! Czego ode mnie chcecie? Nie jestem Szekspirem ani kronikarzem rubryki kryminalnej. Jestem Tonka. Po prostu leżę w łóżku. I gapię się na zegar ścienny. Kiki jest w Lublanie. Okej. Może jednak mam dla was bombę. Postanowiłam, że gdy minie ta noc... minie, mina, jakie ładne słowo „mina”. Ładne. Ładne! Kiedy minie ta noc, odejdę od Kikiego. Zostawię go. Zatrzasnę za sobą drzwi. Zacznę nowy rozdział. Spalę za sobą wszystkie mosty. Wypnę się na dawne życie. Kikiego pošlę w diabły. Przede mną nowy dzień. Ulżyło wam. Słyszę was. Mówicie. Super. Jednak coś mamy. Głupia cipa nie leży sama w łóżku w głuchoj noc – wcale nie tak znów głuchoj – i nie śpi nie wiadomo dlaczego. Coś ją gryzie. Dawaj! Posłuchajmy! Co cię gryzie, stara raszpło? Skąd wiemy, że jesteś stara? Bo masz jakiś taki boleściwy, drżący głos... Czujemy te wibracje. Dawaj! Szybciej! Pije?! Pieprzy na boku? Nie pieprzy w ogóle? Bije cię? To dlaczego odchodzisz? Odbiło ci? Dzisiaj?! Jesteś stara! Zastanów się! Masz męża, do cholery! Trzy-

maj się go! Czekaj! Chwila! Ty odchodzisz?! W twoim wieku? Odchodzisz? Akurat! Lepiej powiedz, czemu zostawił cię wybraniec twego życia?! Co robi w Lublanie, kiedy ty leżysz w jego pidżamie? Dlaczego mnie nie lubicie? Dlaczego jesteście tacy nabuzowani i nienawistni? Nie interesuje was moja opowieść. Dlaczego dobre są tylko krwawe historie? Czego ode mnie chcecie? Czemu mnie popędzacie? Nie mogę całego swojego życia wpakować w jedno zdanie tylko dlatego, że wam się śpieszy. Gdzie wam się tak, do cholery, śpieszy? Co czeka was za rogiem? W czyje szalone życie wejdziecie z buciarami, kiedy znikniecie z mojego łóżka? Proszę! Biorę kawałek czekolady w zgłodniałe usta. Oczywiście, wścieka mnie, że nie mogę żyć bez czekolady. Pierdolona milka. Okej. Nie będę truć o czekoladzie. To odwraca waszą uwagę. A to ważne! Ważne? Co jest ważne? Zostawiam męża i odchodzę z kochankiem, który jest – to będzie dla was ważne – dwanaście lat młodszymi ode mnie. Jutro rano, o siódmej, kiedy wy będziecie w swoich biurach, jakichś marketach czy w łózkach lub w urzędziepośrednictwapracy, bo jesteście bez pracy, albo w śmiertelnej agonii, albo na jakiejś dziwce, albo pod swoją żoną, albo na tłustym mężu, albo u boku urodziwego kochanka, albo przeżyć się przed czerstwym szefem Włochem, Niemcem, Austriakiem czy Węgrem, albo... ja otworzę młodemu kochankowi drzwi swojego domu... Co za słowo „dom”! Złapię kosmetyczkę, wypnę się na wszystkie pierdoły, z których składa się życie – zdjęcia ślubne i pierwszy ząb mojej córki Aki – rzucę mu się na szyję i lewą ręką złapię go za jaja. Zobaczy mnie sąsiad Tomi. On zawsze wszystko widzi. Stary śmierdziel. Pomyśli, że się kurwię na progu własnego domu. Ale nie będzie wie-

dział, Tomi, stary pierdziel, że ja krótko, bardzo krótko będę dziwką. Tylko przez krótką chwilę. A potem zostanę właścicielką nowego mężczyzny. Oficjalnie. Zarejestrujemy się w urzędzie. Tak. Będę musiała się rozwieść. I on też, Miki. Po co rozwód? Po co to zamieszanie? I dlaczego mój kochanek nazywa się Miki, a mąż Kiki? Myślicie, że wam kit wciskam. Że was umyślnie zwodzę. Że mówiąc tak, daję wam szansę pomylenia Mikiego z Kikim. Sugeruję wam, że nie ma większej różnicy między Kikim i Mikim. Chcę wam powiedzieć, że wszyscy faceci są tacy sami... Ależ z was kutasy! Czemu jesteście tak opętani poczuciem misji? Ja staram się coś wam przekazać?! Chcę wam namieszać w głowach! Czy kiedykolwiek przyszło wam na myśl, że nikt nie ma zamiaru sprowadzać was na prostą drogę? Ani pouczać. Ani mówić wam prawdy. Ten ktoś chce was po prostu wykiwać. Manipulować wami. Wykorzystać was. Nie pouczać. Okej. I to jest ta informacja. Macie rację. „Chcę cię wykiwać!”. To jest informacja. Ale ja nie mam zamiaru wykiwać was ani ośmieszyć. Kiki to Kiki, a Miki – Miki. Dlaczego? Co za głupie, głupie pytanie! Nie chcę odpowiadać na tak głupie, kretyńskie pytanie. A dlaczego ja się nazywam Tonka? Kumacie? Co za beznadziejne pytanie! Właściwie nie powinno mnie martwić, co wy o mnie myślicie. A jednak. Próbuję wam opowiedzieć swoją historię, lecz nie chciałabym, byście mnie odebrali jako stukniętą babę w klimakterium, do tego po pięćdziesiątce... No właśnie. Przekroczyłam pięćdziesiątkę, ale... Okej. Chciałabym, żebyście wysłuchali mojej opowieści. Nie myślcie jednak, że to z powodu wojny. Że wcześniej byłam inna, ale wybuchła wojna i odbiło mi. Wielu ludziom odpaliło, więc mnie też. PTS. Posttraumatyczny

syndrom. No i zaczyna się. Żeby coś było posttraumatyczne, najpierw musi być trauma. Zgoda. Opowiem wam swoją historię. I możecie myśleć, co chcecie, ale jeżeli moja opowieść jest traumatyczna, to i wasza taka jest. Wiele o tym myślałam. Jaki sens ma porzucenie Kikiego? Cóż takiego mi zrobił Kiki? Czego nie mogłabym mu wybaczyć? Co by mu nie uszło płazem? Ale czy musi mnie ktoś tłuc, wydtubywać mi oko widelcem, gasić papierosa na piździe, żebym go zostawiła? Dlaczego nie mogłabym zostawić Kikiego, bo jest dobry? Bo znam go na wylot. Bo jest jak przeczytana książka. Wieś, która nie znika w płomieniach. Rzeka, która wiecznie toczy mętne wody. Dzwon na dzwonnicy, który nie zawodzi nigdy. Ivo Robić i jego przebój *Siedemnaście lat masz dopiero*. Dlaczego? Czy kiedykolwiek wam, kobietom, które zostają, zdarzyło się prasować w niedzielę wieczorem, podczas gdy on leżał na tapczanie i skakał po kanałach? Bołą was plecy, dzieci są na podwórku, prąd niezapłacony, czynsz też. On jest gruby albo chudy. Znacie go jak łysiego konia. Najpierw jesteście szczęśliwe, bo sterta nieuprasowanej bielizny maleje. Aż tu nagle coś pęka... I żelazkiem frrrru... Hola! Hola! Mam czterdzieści lat! Albo pięćdziesiąt! Albo trzydzieści, pieprzyć to! Uprasuję tę stertę, siądę i rozprostuję plecy. A potem wrzucę naczynia do zmywarki, wezmę prysznic i położę się obok tego czegoś. To coś mnie już nie kręci, nie interesuje. Ale to mój los na następnych dziesięć, dwadzieścia albo trzydzieści lat. Czy przyszło wam do głowy, wam, które zostają, przejechać gorącym żelazkiem po jego twarzy i kiedy jeszcze wyje, zatrzasnąc drzwi mieszkania i odejść w diabły? Na zawsze! Nie? Nigdy nie przyszło wam to do głowy? Ale z was zakła-

mane, obłudne kurwy! Co za kurwy! Fałszywe! Z kim ja właściwie gadam? Z kim mam do czynienia? W porządku. Okej. Czego łżecie? Myślicie, że prawda wytrąci was z waszej śpiączki? Bo jak udało wam się oszukać siebie, to oszukałyście już cały świat? Tak jakby świat martwił się waszymi problemami! Świat olewa waszą stertę nieuprasowanych ubrań i tego małpoluda, z którym spędzicie resztę życia! A to, jak żyjecie... To jest życie?! A ja jestem kurwą, tak?! Jestem kurwą, bo jutro rano, dokładnie o siódmej, złapię Mikiego za jaja i odejdę w siną dal. I dlatego jestem kurwą? A wy jesteście święte. Wyczekiwałyście kiedyś tego momentu, aż wasze pięcioletnie dziecko powie: „Nie”? Najdroższy skarb mamusi. Przecież tak je nazywacie. Więc prask je dłonią, mało brakowało, żeby mu głowa odpadła. I krew poszła z nosa. A wam ulżyło. Właśnie, ulżyło. To było to. Każdego dnia chcecie usłyszeć matkę, ale gdy zadzwoni i zacznie tym swoim cichym głosem umierającego na pustyni... Nie chrzańcie, nie w mówicie mi, że nie macie ochoty udusić jej własnymi rękami. To czemu przez cały czas podliczacie, ile was kosztuje choroba ojca i ile byście zaoszczędziły, gdyby nie... Pielęgniarka, pieluchy, lekarstwa, przewijanie niedołągi... No, zasrane kłamczuchy! Między wami a mną jest jedna różnica. Ja odchodzę, wy zostajecie. Nie mam serca z kamienia. Niełatwo jest odejść. Spędziłam ze swoim Kikim trzydzieści lat. Okej. Może wojna też jest winna. Może te wszystkie cuchnące trupy w telewizji i w gazetach uzmysłowiły mi, jak mało potrzeba, by dwudziesto- albo czterdziesto-, albo pięćdziesięcioletnie ciało przeistoczyło się w kłębowisko robaków. Ciągle oglądam telewizję. Od dziesięciu lat widzę ludzi w maskach. Wyciągają trupy ze sterty al-

bo z grobu, albo z jam. Tak było w czasie wojny. Ale dzisiaj w Chorwacji panuje pokój. Więc zabijają ludzi w szpitalach i szybko ich grzebią. A potem wyciągają z grobu i z trumny, by zobaczyć, jak ich wykończyły amerykańskie dializatory. Kumacie? Rzygam chorwacką śmiercią. Boję się śmierci. Ona jest wokół mnie. Czuję ją węchem i dotykiem. Widzę. Boję się. Dlatego odchodzę od Kikiego do Mikiego. Miki jest młody. Może jest dalej od śmierci. Myślicie, że jestem dziwką. Dziwki są cwane. One zawsze znajdują jakieś wytłumaczenie, dlaczego sprzedają swoją dupę zamiast... Zamiast?! Zamiast?! Bo co?! Wy swojej dupy nie sprzedajecie?! Wy, czcigodne małżonki, które trwają przy mężu? Wy ją dajecie w prezencie? Jesteście Czerwonym Krzyżem? Sranie w banię. Czerwony Krzyż nie rozdaje dup. Tylko paczki. Na ogół mniej niż powinien. Większość paczek aktywiści sprzedają i pakują szmal do kieszeni. Ale nawet wy, moje panie, nie jesteście bezpłatne. Gotujecie, prasujecie, pierzecie, pieprzycie się wbrew własnej woli, sprzedajecie się za status Zamężnej Kobiety. Jesteście Mężatkami. I ja jestem Mężatką. Jeszcze trochę. A potem znowu będę Mężatką. Rozumiem was. Nie można być normalną kobietą, nie będąc Mężatką. Macie rację. Ale wszystko ma swoje granice, moje drogie. Ja to chromolę.

Bez jakiegokolwiek sensownej przyczyny pożeram pierdoloną milkę. I skaczę po kanałach. Dokument. Jacyś starcy opowiadają swoje życie. Może dziś jest Dzień Wyzwolenia Chorwacji? Albo Dzień Uchodźcy? Albo jakiś inny ważny Dzień? Nie włączam głosu. Chociaż lubię dokumenty. To jedyne co mogę znieść. Lubię też filmy z życia wzięte, nakręcone według prawdziwych historii. Kiedy przeczytam „oparte na faktach”,

to jest to! Walę się na tapczan, choćby i o trzeciej nad ranem, i zupełnie przytomna oglądam, co się ludziom przydarzyło. Lubię, kiedy bohaterka niespodziewanie... No wiecie. Wchodzi do wielkiej firmy, w której pracuje. Ogromny hol. Wokół niej pełno ludzi. Śpieszą się. Każdy do swojej windy. Ona jest wziętą adwokatką albo rzutką bizneslumen. Pod pięćdziesiątkę, ale wygląda, jakby miała trzydzieści pięć, bo ludzie nie lubią oglądać kobiet pod pięćdziesiątkę, które wyglądają na swój wiek. Marszczy brwi. Szczupłą dłonią dotyka skroni, paznokcie jasnoróżowe, i nagle pada jak rażona piorunem. Lubię pioruny. I burzę. I kiedy leje deszcz, a ja leżę sobie w łóżku. Przy ciepłym tyłeczku mojego Kikiego. To mi najbardziej odpowiada. Tak. I wtedy ta kobieta pada. Wyje syrena karetki pogotowia. Jesteśmy w szpitalu. Szpital jest super. Pielęgniarki cicho przemykają po korytarzach. Czy kiedykolwiek byliście w naszym szpitalu? Wyobraźcie sobie, że zjawiacie się w naszym szpitalu z udarem mózgu! Albo bez! Obdrapanie ściany. Leżycie na noszach na posadzce w sali intensywnej terapii, a lekarz strząsa wam do oka popiół z papierosa. Okej. Zostawmy to. Wróćmy do naszej bohaterki. Ona ląduje w szpitalu. W stanie śpiączki. Odwiedzają ją dzieci. Dorosłe. Córka w armanim, syn trochę młodszy. Mąż do jej uśpionego ucha szepcze tylko im dwojgu znane czułości. Żadnych banałów. Ona w śpiączce musi słyszeć coś w rodzaju „Klaczko”. Bo on ją nazwał „Klaczka”, kiedy jej pierwszy raz wsadził. A może drugi. W każdym razie facet szepcze słowa, które każdej kobiecie wpijają się głęboko w mózg. A są to zawsze słowa albo słowo, które mężczyzna mówi kobiecie, kiedy ją pierwszy raz przeleci. Od nas się oczekuje, byśmy te słowa pamiętały. Ale proszę, moja przy-

jaciółka Nada – to taka mała dygresja – wszystkie te słowa zapomniała. Powiedziała mi: „Nie pamiętam ani jednego słowa”. Są różni ludzie. Są i dziwacy. Tak. Po sześciu miesiącach śpiączki i niezliczonych „Klaczkach” kobieta się budzi. I krach! Napisy końcowe! Bo to jest w rzeczywistości serial. Więc nie mogę się doczekać następnego wtorku. By zobaczyć pierwsze kroki... odżywianie przez rurkę... naukę mowy... a, b, c... Przez dziesięć odcinków. Koniec serialu. Ona znowu w wielkim holu. Tym wejściowym. Znowu szczupłą dłonią pozwoli dotyka skroni, znowu marszczy brwi... Tak! Człowieka przeszywa dreszcz przerażenia! Znowu udar mózgu! Drugi?! Jeszcze gorszy?! Ostateczny?! Gównno! Kocham te zwariowane zwroty akcji na końcu każdej prawdziwej historii! Ona tylko stuka się w czoło, bo zapomniała o jego urodzinach. Więc wyciąga komórkę z nieziemsko drogiej torebki, jakiś vuitton, i mówi: „Tu twoja Klaczka...”. Obłąd! Przy takiej opowieści mogę dostać orgazmu. Niesamowite, a na autentycznych faktach. I lubię dokumenty. Te najzwyczajniejsze. O tym, jak wielkie jelenie się parzą albo walczą o tłuste łanie. Lubię, jak biała niedźwiedzica ucieka ze swoim białym potomstwem przed białym ojcem, który mógłby pożreć młode, gdyby ich dopadł. Podoba mi się ta biała gonitwa tłuściochów. Albo jak ogier wskakuje na klacz i na pierwszym planie widać kawał wielkiego... No właśnie. To mnie bardziej rajcuje niż pornosy, w których Murzyn pokazuje delikatnej, rudowłosej piękności, co mu wyrosło między nogami. Nie rozumiem, dlaczego jakiemuś Murzynowi na półmetrowego kutasa zawsze nabijają kruchą, rudowłosą piękność, która nie ma prawie żadnego włoska. Ludzi prawdopodobnie podniecają kontrasty. On ogromny, ona krucha. On czar-



ny, ona biała. Piękna i bestia. Ludzie to durnie. Wierzą we wszystko. Nie lubię Murzynów. Tak. Nie lubię Murzynów. Nie lubię przegranych. Autsajderów. Ludzi, którzy muszą się uśmiechać. I być grzeczni. Nie lubię też Serbów w Chorwacji. Oni, mówiąc „Babić”, zawsze dodają „z Korčuli”. A wcale nie są z Korčuli. Tylko z Dalmatyńskiego Zagórza. Z zadupia, gdzie Babić znaczy coś innego. Okej. Tam też są Babie Chorwaci. Ale Babić Chorwat nigdy się nie tłumaczy. I nie dodaje „z Korčuli”. Chorwaci uważają po prostu, że po nich od razu widać, że są Chorwatami. Tylko Serbowie w Chorwacji zawsze podkreślają, że są Chorwatami. Używają chorwackich słów. I psioczą na Serbów. Skąd wiem? No bo... bo... bo jestem „z Korčuli”. Okej. Powiedziałam to. Możecie się udławić tą informacją. Powiedziałam. Murzyni mają przerąbane. Oni nie mają dokąd iść. Gdziekolwiek się pojawią, mają przerąbane. Nikt ich nie lubi. Mają grube wargi, żółte białka... Coś wam opowiem. Mój kolega w młodości był piłkarzem. No i ci piłkarze jeździli autokarem od miasta do miasta. A w autokarze albo szatni wszyscy pierdzili. My kobiety nigdy nie pierdzimy w grupie. Mężczyźni są inni. Tak. Ci piłkarze pierdzili i pierdzili. Aż do ich drużyny dołączył Murzyn. No i on też zaczął pierdzić. „Ale to był smród! – powiedział mi kolega. – Do porzygania! Co te mały jedzą?”

Więc zabronili Murzynowi pierdzić. A oni dalej nasuwali. Co to ja chciałam powiedzieć? Aha! Murzyni są czarni. Albo ich lubisz, albo nie. Okej. Pewnie mamy ich kochają. Ale i tak są czarni. Nie mogą udawać białych. Nie mogą dodać, że są z Korčuli i się wybielić. Jasne? Ale jeżeli jesteś Serbem w Chorwacji, albo Serbką, to jest większa afery, niż gdybyś był zras-

nym czarnuchem. Dlaczego? Bo możesz dodać „z Korčuli” i wykiwać uczciwych obywateli. To przejdzie. Albo nie przejdzie. I wtedy masz przechlapane. Ale przechlapane masz, nawet jak to przejdzie. Wcześniej czy później. Bo przez cały czas czekasz, kiedy ktoś wreszcie odkryje, że na oczy nie widziałeś tej pieprzonej Korčuli. I wpadasz w tarapaty. Ale są i tacy, którzy są Serbami i czują się Serbami. Uważają, że to normalne być Serbem. No tak. Mama Serbka, dziad leży na serbskim cmentarzu w Benkovcu i ma coś napisane cyrylicą na nagrobku w wysokiej trawie. Serbowie mają świętych patronów swoich rodzin, mają brodatych popów i ci popi mogą się żenić... A jak się urodzi mały Serb, to dają mu na imię Alimpije albo Sava, albo Tanasije. I ten mały Serb i Serbka o imieniu Leposava od dziecka wiedzą, kim są. Wszystko jest jasne. Oni mogą czasem powiedzieć, że są „z Korčuli”, ale wiedzą, że nie są. Kumacie? A ja? Mój przypadek to obciach. Nie jestem Serbką. A muszę dodawać „z Korčuli”. Nie jestem Serbką! Teraz, w tej chwili, najchętniej bym wstała i zawyła w głąb noc: „Nie jestem Seeerbką!!!”. Tylko kogo to obchodzi? Chorwatom, którym jest to obojętne, nie muszę niczego wykrzykiwać do ich chorwackiego ucha. A tym, którym to nie jest obojętne, i tak niczego nie udowodnię. Dlatego lepiej mają Murzyni. Jesteś czarny i pieprzyć to. A tu biała, a zarazem czarna. Przerąbane. Okej. To było tak. To się wydarzyło w latach pięćdziesiątych. Gównu was obchodzi dokładna data, ale mnie ulży każdy rok mniej. Nie mogę się pogodzić z moim wiekiem. To nie przez wojnę. Miałam z tym problem i wcześniej. Moja stara. Ona była bojowniczką roku czterdziestego któregoś. Prawdopodobnie nie pierw-

szego, ale jakiegoś drugiego czy trzeciego. Całą wojnę spędziła w bunkrze albo gdzieś nieopodal. Prowadzała też jakichś „towarzyszy” do lasu. Nie pytajcie mnie, po co ci ludzie chadzali do rozmaitych lasów. Nie wiem. Nigdy mnie nie interesowały jej wspomnienia. Nic nie wiem o partyzantach. Albo niewiele. Wiem, że byli strasznie chudzi, że nie wolno im było ani kraść, ani bzykać. Jacyś jednak bzykali, jacyś żarli trawę, a jacyś inni wpieprzali mięso. To mi opowiadał przyjaciel mamy, który wiele lat przesiedział w więzieniu na Golim Otoku. Za to, że w czterdziestym ósmym spytał, dlaczego niektórzy partyzanci jedzą i jebią. Nie lubię historii. Ani geografii. Gdyby moje życie zależało od tego, czy pokażę na konturowej mapie miasteczko Čazma, straciłabym to jedyne życie. Nie mam bladego pojęcia, gdzie leży ta pierdolona Čazma. Nie wiem o żadnej ofensywie, nie znam ani jednego imienia bohatera narodowego czy sekretarza Związku Komunistycznej Młodzieży Jugosławii oprócz Loli. Wiem, że Lola zginął młodo i że był sekretarzem. Ale nie wiem, czego sekretarzem ani czym sekretarzem. Oczywiście, wiem, kto to był towarzysz Tito. Ja, w odróżnieniu od was, widziałam go setki razy. Stara, babcia i ja mieszkaliśmy w Uvali, a Uvala leży przy szosie, którą Tito jeździł na wyspę Brioni. Wiele razy rzucałam kwiaty w stronę jego cadillaka i machałam ile sił papierową chorągiewką. Dla nas, dzieci, to nie był wtedy żaden wielki zaszczyt ani uniesienie, ani historyczna chwila. My, dziewczynki, wkładałyśmy granatowe spódniczki, na cienkie nogi białe skarpeteczki, białą bluzkę na kościste ramiona i machałyśmy, dopóki kolumna nie zniknęła za zakrętem. Kiedy pożegnaliśmy już Titę, przebieraliśmy się, wdrapywaliśmy

na dach starej restauracji i tam bawiliśmy się w doktora. Zawsze byłam panią doktor. Cienkim, krótkim patyczkiem przeglądałam cipki moich przyjaciółek i łaskotałam małe jajeczka smarkaczy. Nigdy żadnemu smarkaczowi nie stanął. Wtedy zaczęły nam się zaokrąglać cycuszki. Dziwne były te nasze małe piersi. Na rozgrzanym murku przy plaży powoli kłęsyły. Nabrzmiwały, gdy wchodziłyśmy do morza. Dlatego cały czas skakałyśmy do wody i wypływałyśmy. W końcu mijało lato i nie mogłyśmy już masować piersi w chłodnych morskich falach.

Na ekranie starcy rozmazują łzy na policzkach. Co im się stało? Nie włączę głosu. Nie powinnam wam tego mówić, ale powiem. Kiki, kiedy wyjeżdżał do Lublany, pocałował mnie w salonie i wepchnął do kieszeni frotowego szlafroka pięć tabliczek milki. „Myśl o mnie, póki nie wrócę”. W tej chwili wyciągam z opakowania drugi kawałek drugiej czekolady. Przekłete niech będą moje ręce. Nienawidzę bab w średnim wieku, które nie potrafią się oprzeć pokusom. Kiedyś byłam chuda jak patyk. I moja stara była długa, cienka jak patyk w tym pięćdziesiątym którymś... Tak! Pięćdziesiątym którymś! Opatija. Urząd kwaterunkowy. Moja stara siedzi za drewnianym stołem. Wchodzi ten towarzysz. Wysoki. Czarny. Wąsaty. W mundurze. Ten wąsaty waśniak tak naprawdę jest tylko zwiadowcą. Kimś, kto musi zamiast kogoś innego, pewnego innego towarzysza, obejrzeć kilka opatijskich pożydowskich mieszkań, bo jakiś towarzysz z Komitetu Centralnego ma się przenieść do Opatiji. A moja stara musi pokazywać mieszkania. Idźmy dalej. Opatijska kamienica. Ładne mieszkanie na którymś tam piętrze. Chyba drugim. Stara podnosi drewniane rolety. Morze! Obejrzyj-

my mieszkanie. Trzy wielkie sypialnie, salon, łazienka, dwa balkony, wysokie sufity, wielkie okna... Tak. Mieszkanie jest umeblowane. Na ścianach obrazy. Na sufitych kryształowe żyrandole. Moja stara ma na sobie spódnice, bluzkę, krótkie bawełniane skarpetki do kostek i wojskowe buciory. Buciory latem? Dlaczego? Nie pytajcie mnie. Mam fotografię. Towarzysz i moja stara wchodzą do jednej z sypialni. Towarzysz rzuca starą na łóżko. Ściąga z niej płócienne majtki, które uszyła dla niej ciotka Milka. W kwiatki. Towarzysz rozchyła nogi mojej starej i wtryskuje w nią mnie. Stara nie wrzeszczała ani nie zadawała pytań. Towarzysz wstał z mojej starej, zdjął z sufitu kryształowy żyrandol i zawiązał go w brunatną narzutę. Stara podtarła się prześcieradłem. Żydowskim, jedwabnym. Wody nie było.

– To dla towarzysza z Komitetu Centralnego – powiedział towarzysz i wskazał zapakowany żyrandol.

– Cześć – rzucił na odchodne.

– Cześć – odpowiedziała moja stara.

Cztery miesiące czekała na miesiączkę. Na próżno. Więc swoją historię opowiedziała pewnemu towarzyszowi. Tak, towarzyszowi. Nie koleżance. Towarzysz pojechał do Karlovca, ale tak się złożyło, że Živorad Babić, nie z Korčuli, był szczęśliwym małżonkiem. Ale był też honorowym człowiekiem. I uznał mnie. Więc w metryce jest napisane: Ojciec – Živorad Babić. Stara nigdy nie opowiadała mi szczegółów. Tylko przypuszczam, że Živko przeleciał moją starą w ładnym żydowskim mieszkaniu. To dla mnie bardziej do przyjęcia niż dupczenie w opatijskim parku albo w ubeckiej kancelarii. Nigdy nie wybaczyłam starej, że odmówiła przyjęcia żydowskiego mieszkania. Choć

mogła przebierać. Była szychą. Miała bzika na punkcie Partii. Gdyby w pięćdziesiątym którymś nie wydył jej oficer bezpieczeństwa, zmarłaby dziewczycą. Dla niej Partia była wszystkim. Ona, babcia i ja spędziłyśmy życie w suterenie. Ja z tej sutereny oglądałam ludzkie nogi. Jak się wspinają i schodzą po schodach. W górę i w dół, w górę i w dół. Niektóre z tych nóg nie wracały, bo u szczytu schodów była szosa. A niektóre tylko szły w dół, bo z szosy schodziły na nadbrzeże. A mogłyśmy mieć żydowskie mieszkanie! To mi stara powiedziała. Takie urządzone. Z żyrandolami, obrazami, meblami, pościelą, zastawą stołową... Kumacie? Tylko się wprowadzić. I zostać ludźmi.

Nienawidzę biedaków. Brzydzę się nimi. Zawsze myślałam, że będę bogata. My jesteśmy bogaci, w pewnym sensie. Kiedy mój Kiki sprzeda pięć, sześć kradzionych garniturów, dostajemy dwa tysiące marek. Człowiek czuje się wtedy inaczej. Kiedy pachniesz palomą picasso, na stopach masz bruno magli, kiedy jesteś owinięta w kaszmirowy burberry... stajesz się innym człowiekiem. Pewnego razu, kiedy była wojna i zaciemnienie, Kiki i ja przewoziliśmy przez granicę pół miliona marek w naszej starej zastawie sto jeden... To było tak. W telewizji leciała akurat „Santa Barbara”. Aki uwielbiała ten serial. A wy dobrze wiecie, tak jak ja – jeżeli chcesz uniknąć patroszenia na granicy, musisz wlec ze sobą małe dziecko. Nawet celnicy są tylko ludźmi. Kiedy zobaczą w samochodzie małe dziecko czy paczkę z pieluchami albo odżywki dla niemowląt... to serce im mięknie. Opowiem wam wszystko od początku. Tak będziecie zrozumieli. Mój Kiki miał przez granicę przerzucić swojemu wspólnikowi pięćset tysięcy marek. Dlatego do starej

stojedynki wepchnęliśmy naszą Aki, która darła się z powodu „Santa Barbary”, ale nie mieliśmy pewności, czy to wystarczy. Więc Kiki kupił w kwaciarni wieniec pogrzebowy, a na szarfię kazał napisać: „Ostatnie pożegnanie ukochanej cioci Jożicy – Aki, Kiki, Tonka”. Kumacie? Że niby o północy wieziemy wieniec rodzinie w Ilirskiej Bistricy. To taka przygraniczna wiocha. Nie czepiajcie się. Kiki wsadził pół miliona marek do różowego kuferka Barbie naszej Aki. Myślicie, że pół miliona marek to jest góra szmalu. Otóż nie. Chorwaccy celnicy tylko nam machnęli. A słoweńscy: „Dokąd jedziecie? Po co jedziecie?”. Smutno patrzyłam przed siebie z powodu zmarłej cioci Jożicy. Strasznie się pokłóciliśmy przez ten wieniec. Okej. Teraz wiem, że to było bez sensu. Przypominam sobie, że powiedziałam Kikiemu, kiedy zjawił się w kuchni z wieńcem w rękach:

– Kiki, jak mogłeś na białej szarfię napisać „Ostatnie pożegnanie...”? Biała szarfa jest tylko dla dzieci...

– Nie gadaj bzdur – burknął Kiki. – Nie mieli fioletowej. Jest wojna. Zużyli wszystkie fioletowe szarfy. Jakie znaczenie ma kolor szarfy?

– Kiki – tłumaczyłam – człowiek musi uważać na każdy szczegół, kiedy przez granicę przewozi pół miliona marek. Możemy mieć przerąbane z powodu szarfy. A co, jeżeli celnik spyta, dlaczego napisaliście „Ostatnie pożegnanie...” dla cioci Jożicy, znaczy starszej pani, na białej szarfię, skoro biała szarfa jest przeznaczona dla dzieci i młodzieży?

Powiedziałam „młodzieży”. Dziwne słowo. Nie wiem, dlaczego akurat „młodzież” wpadła mi do głowy. Kiki się wkurzył. Szkoda, że nie znacie Kikiego. To dobry człowiek. My się kochamy. Od trzydziestu lat

jesteśmy razem. Jutro go zostawię, ale to nie znaczy, że go nie kocham. Ludzie po prostu odchodzą jedni od drugich. Okej. Rozumiem. Gównu was obchodzi, dlaczego zostawię Kikiego. Tak. Kiki rzadko się wkurza. Ale jak się wkurzy...! A tego wieczoru się wkurzył! Rzucił, a właściwie cisnął wieńcem z ostatnim pożegnaniem dla cioci Jożicy o podłogę w kuchni. Kiki jest zwykle rumiany. Chodzi mi o twarz. Tego wieczoru krew odpłynęła mu z twarzy. Znikła. Nagle mój Kiki zrobił się błydy jak ściana.

– Kurwo przekłeta! – wrzasnął. Mój Kiki do mnie nigdy, ale to nigdy, przenigdy nie mówi „kurwo”. – To jest walka o przetrwanie! Walka na śmierć i życie! Albo przejedziemy tę jebaną granicę, albo nie. Dlaczego mnie gnoisz? Dlaczego robisz mi piekło? Pomóż mi! Pomóż! Głupia cipo!

Tak, Kiki rozpląkał się. Łkał przepętniony cholernym żalem. Objęłam jego głowę. Siedział na podłodze w kuchni obok wieńca z białą szarfą. I, jak już wam mówiłam, łkał. Było mi przykro, że mnie nazwał kurwą. Ale zawsze istnieją okoliczności łagodzące. Więc objęłam głowę Kikiego i powiedziałam:

– Nie płacz, nie płacz... Tylko pomyśl, że nie jest w porządku, kiedy na wieńcu dla starej kobiety, dla cioci Jożicy, będzie biała...

Okej. Nie uwierzycie. Kiki wybuchnął śmiechem. Głośnym. Naprawdę głośnym. Ryczał. Odrzucił głowę do tyłu i ryczał. Widziałam jego koronki. A pod koronkami złoto. Powinien sobie zmienić te koronki. Wstać porcelanowe. Trzysta marek za sztukę, a to jest kupa forsy. Tylko nie pozwólcie się wykiwać. By wam dentysta, złodziej, wstawił porcelanę i na górne, i na dolne zęby. Bo coś takiego się niszczy. Pociera-

niem albo żuciem. Choć, prawdę mówiąc, nie wiem dlaczego.

– Tonka – powiedział do mnie Kiki – skup się.

Co za słowo „skupić się”. A tak właśnie powiedział: „skup się”.

– Ciocia Jożica nie istnieje. Nie ma jej. Nie umarła. Nawet nie żyła. Nie mam nic wspólnego z ciotką Jożicą. A nawet jakbym miał, ciotka Jożica ma w dupie kolor szarfy. Ona jest martwa. Słuchaj, przestańmy o tym mówić. Jestem wykończony.

Trzymałam głowę Kikiego na swoich cyckach, duża czwórka, 85C, i gładziłam jego kręcone włosy.

– Kiki – powiedziałam. – Dobra. Wszystko rozumiem. Ale weźmy na przykład filmy. Złodzieje wpadają na drobiazgach. Zawsze na drobiazgach. Mają wielkie plany, a potem wpadają.

26

– My nie mamy wielkich planów – westchnął Kiki. – Ja tylko chcę, jeżeli ty mnie nie wkopiesz, przewieźć do Słowenii pięćset tysięcy marek. Wtedy Żeljko da nam samochód. Tylko tyle. Przewieźć pierdolony szmal przez granicę. To nie jest wielki plan. Czerwone audi, które dostaniemy, jest warte pięć tysięcy marek. Nie chcę zarobić miliona! W filmach wpadają ci, co grają o wielką stawkę. Czym jest siedmioletnie audi?! To gówno, a nie interes!

Milczałam. Wsiadliśmy do naszej zastawy. Aki siedziała z tyłu. Słoweńcy nas przepytывali, to już wam mówiłam, potem wjechaliśmy do Ilirskiej Bistricy i zatrzymaliśmy się w jakimś zajeździe. Ledwo udało nam się znaleźć jakiś wolny stolik. Był trzydziesty grudnia. Słoweńscy emeryci świętowali swój Nowy Rok przed Nowym Rokiem. Tańczyli polkę i śmiali się. A wtedy kelner na ogromnym półmisku, a może to by-

ła jakaś deska, wniósł tłustego pieczonego prosiaka z jabłkiem w ryju. Emeryci tańczyli. I ja. Aki była sena. I ciągnęła colę przez słomkę.

– Kiki – szepnęłam – oni nie mają pojęcia, że możemy kupić cały ten lokal i pół Ilirskiej Bistricy.

Kiki był spięty. I wtedy wszedł ten gość. Ciemnogatowy płaszcz kaszmirowy, ciemnoszary garnitur od bossa, koszula od bossa, krawat od bossa i buty church. Klasyka. Oprócz butów. Kiki wręczył mu kuferek Barbie. Aki darła się jak opętana. Wszedł. Potem wrócił. Oddał kuferek i pogłaskał małą po buzi. Aki chlipała. Wsiadliśmy do stojedynki. Kiki zatrzymał się przed granicą. Wyciągnął wieniec z auta, wyrwał szarfę z ostatnim pożegnaniem i cisnął wieńcem w krzaki. Nie wiem, jak to wam wyjaśnić. Zrobiło mi się jakoś ciężko na sercu. Dlaczego Kiki nie czuje najmniejszego szacunku wobec zmarłej cioci Jożicy? Ten wieniec był mimo wszystko oznaką miłości. Okej, szarfa była nie ta. Ale nie mogłam znieść, że można wyrzucić wieniec w pierwsze lepsze zarośla. A jak się ktoś zesrał w tych zaroślach? Ludziom zawsze przed granicą albo chce się srać, albo lać. Ze strachu, stresu, paniki. Więc to mnie zabolalo. Obok gówna, obsranych pieluch albo sterty foliowych torebek wylądował wieniec cioci Jożicy. To mnie zabolalo.

27

Na ekranie płaczą starcy. Nie włączam głosu, ale widzę. Wycierają nosy i oczy. Starzy ludzie nigdy nie używają papierowych chusteczek. A kiedy idą na bazar, zawsze przystają przed straganem z gaciami z Turcji, podkoszulkami i wielkimi płóciennymi chustkami. Moja stara ma setki chusteczek i ja zawsze na urodziny kupuję jej chusteczki. Moja przyjaciółka, moja najlepsza przyjaciółka Ela uważa, że to nie jest w po-

rządki. Chusteczki kojarzą się ze łzami. Znowu płacz tych starców. Przyciskam pilota. Kanał Miasto. Dlaczego po Deptaku zawsze spacerują kobiety tyczki? Młode. A ja? Dlaczego mnie nigdy nie zaczepią na rynku? Dlaczego się za mną nie oglądają? Szowinistyczni zbrojeńcy!

To jest niesamowita przesiadka. Wskoczyć w audi ze stojedynki. Czerwone, wielkie, audi sto. Rocznik osiemdziesiąty ósmy. Nie umiem prowadzić. Oczywiście, zdałam egzamin na prawo jazdy. Ale prowadzić nie umiem. Jeśli siedzę za kierownicą, zawsze wokół mnie robi się zamieszanie. Kiedy Aki była mała – powiedziała mi to, dopiero gdy już była duża – była szczęśliwa, gdy wiozłam ją do przedszkola. „Wszyscy na nas trąbili, a ja pokazywałam im język”. Wtedy nie zwracałam na to uwagi. Wiem, że trąbili. Przypominam sobie. Idioci. Kretyni. Gnoje. Zawsze im się śpieszy. Nie chciałam zdawać egzaminu na prawo jazdy. W siedemdziesiątym ósmym Kiki nalegał. Musisz, musisz, musisz. Okej. Nie lubię się kłócić o pierdoły. Ani o poważne sprawy. Więc poszłam na kurs jazdy. Nie rozumiałam ni w ząb. Pewnie jestem głupia. Uczyłam się tych cholernych testów, ale niczego nie kumałam. Co zrobić, jak na środku drogi widzisz jakiś kamień? Przesunąć go? Zostawić? Kopnąć? Zakreślić prawidłową odpowiedź! Pieprzone testy. I pieprzona geometria wykreślna w liceum. Kiki prawdopodobnie komuś zapłacił i zdałam te testy. I jazdy. Nienawidzę tego. Kiedy prowadzę, zawsze oblewa mnie zimny pot. I ciągle mnie dziwi, że dla ludzi to jest normalne, widzieć mnie za kierownicą. Wiele osób jeździ. Wszyscy jeżdżą. Ale ja wiem, to, że prowadzę, nie jest normalne. To wariactwo. Wczoraj jechałam jakąś boczną ulicą. Musia-

łam zjechać z jednego pasa na drugi. A przedtem stanąć. Bo tamci na tamtym pasie mieli pierwszeństwo. Nie zatrzymałam się. I nie popatrzyłam. Facet zaczął ostro hamować. Ale mimo to wbił się w nasze czerwone audi rocznik osiemdziesiąty ósmy. Tak. Wjechał we mnie. Z mojej strony. Boli mnie lewa ręka. Dlatego trzymam pilota w prawej. Choć jestem mańkutem.

Znowu ci starcy płaczą. I rozkładają swoje chusteczki. Dla mnie to dziwne. Wycierasz nos w wielką kraciatą chustkę, potem ją rozkładasz i oglądasz zawartość. Nie lubię ludzi, którzy całymi dniami oglądają to, co z nich wyszło. Mój Kiki ma świra na punkcie swojej kupy. Czy jest czarna, jasna, ciemna? No i pyta mnie, co to znaczy. Rzadko czytam „Lekarza Domowego”, więc nie mam pojęcia. Wiem, że jeżeli srasz na czarno, to masz raka, ale może to być też od buraków, czarnych jagód, czerwonego wina. Jagód nie kupuję, bo są drogie. Ostatni raz jadłam je dawno temu. Kiedy miałam we krwi współczynnik żelaza dwa. Żelazo we krwi dwa? To murowana śpiączka. No to jesteś trup. To może być białaczka albo rak, albo jakieś inne cholerstwo. Więc wylądowałam w szpitalu. Panicznie, panicznie boję się lekarzy i śmierci. Zawsze myślę, że lekarz mi powie: „Proszę usiąść” i spojrzy na mnie z powagą. Okej. Wiem, że ten doktor z poważną miną też kiedyś zaskomli. Bo mimo tej poważnej miny gówna go obchodzi. I on by mnie gówna obchodził, gdybym musiała patrzeć na niego z powagą. Ale to mnie wcale nie uspokaja. Kiedy wyszedł mi współczynnik żelaza dwa, był piątek. Do szpitala miałam iść w poniedziałek. Kupiłam sok z czarnych jagód, piłam też czerwone wino, łykałam żelazo w tabletkach. Aż dostałam sraczkę. Czarnej. Siedziałam na grzejniku i okropnie

się trzęsałam. Człowiek się trzęsie, kiedy ma białaczkę albo raka. Tak się trzęsałam, że nie mogłam utrzymać zamkniętych ust. Nie pamiętam, po co chciałam mieć zamknięte usta. Dlaczego mi przeszkadzały otwarte? Pięścią podtrzymywałam szczękę. Trzęsałam się. I płakałam, płakałam jak bóbr. Czasami nienawidzę myśleć, że kiedyś umrę. A inni zostaną. Nie sądzę, że ze mną już koniec. Lubię wstąpić do duty free, kupić palomę picasso, chcę się rozejść, wyjść za Mikięgo, adwokata. On przyjdzie po mnie jutro rano o siódmej. I wtedy złapię go za jaja. To już wam mówiłam. A potem Kiki zawiózł mnie do szpitala.

– Niech się pani położy – powiedział do mnie młody lekarz z izby przyjęć i wstrzyknął mi w tyłek apaurin, środek na uspokojenie.

30 Mam problemy z zasypianiem. To z powodu klimakterium. Albo wojny. W ogóle nie śpiam. Teraz też gapię się w ekran. Mówiłam wam o tych starcach. Akurat oglądam kanał Miasto. Wybory. Namioty na Deptaku. Miejscowi politycy zapraszają ludzi do swoich namiotów. Chuj im wszystkim w dupę! Nigdy nie chodzę na wybory. Mam gdzieś politykę. Z apaurinem w tyłku spałam, spałam i spałam. Ordynator zapytał mnie:

– Ile podpasek zmienia pani podczas menstruacji? Co za głupie pytanie.

– Nie wiem – odparłam krótko.

– Niech pani pije żelazo i je koninę.

Bardzo lubię konie. Ale nie koninę. Dla mnie konie nie są koniną. Ale tego nie powiedziałam temu staremu pierdole. Leżałam w sali z czterema kobietami. Jednej sterczała wielki brzuch. Ale nie była w ciąży. Miała marskość wątroby. Umierała. A rehabilitantka

każdego ranka pomagała jej wstać i spacerowała z nią po sali. Chora ledwo powłóczyła nogami.

– Nigdy nie tracimy nadziei – powiedziała mi lekarzka – dlatego ćwiczymy. Zawsze jest nadzieja.

Nadzieja? Nadzieja dla pożyłkłego, zgniłego, umęczonego ciała? A potem ta pani poprosiła o panadol. Nie mieli. Apaurin. Nie mieli. Aspirynę. Tego też nie mieli. Wyła z bólu. Cały dzień. I noc. Nie musicie mi wierzyć. O trzeciej nad ranem wezwałam taksówkę. I pojechałam do domu. Jakoś niepewnie zadzwoniłam do drzwi. Zwykle nie jestem niepewna. Wierzę w siebie. Moje cycki jeszcze ciągle sterczą, bo nie jestem za chuda. Zawsze mam ufarbowane włosy, żadnych odrostów i dobre koronki na zębach. A jak się śmiejesz bez skrępowania, odejmujesz sobie dziesięć lat. Czytajcie „Cosmo”. A jednak tej nocy byłam niepewna. A co, jak Kiki nie jest sam w naszym łóżku? Co, jeśli spisał mnie już na straty? Co, jeśli mam raka i nikt nie zechce mi o tym powiedzieć? Spocily mi się dłonie, trzęsałam się na progu własnego domu. Odczekałam. I nacisnęłam dzwonek. I dzwoniłam, długo dzwoniłam. Kiki ma mocny sen. Otworzyła mi Aki. Opowiedziałam jej o pani z marskością wątroby. I wpakowałam się do łóżka. Wolę umrzeć w domu. Wtuliłam się w Kikiego. Złapałam go za małego i zasnęłam. Przespałam całą noc i pół dnia po trzech zielonych tabletkach.

Mam włączyć głos, byście usłyszeli, o czym mówią ci starcy? Nie. To zbyt przygnębiające. Mogłoby was załamać. Może o tej porze nocy nie lubicie słuchać smutnych kawałków. Jakiej porze nocy? Też. Tak jakby było istotne, czy jest druga nad ranem, czy piąta. Ja czekam na siódmą.

O czym to opowiadałam? Aha. Facet walnął

we mnie z lewej strony i dlatego boli mnie lewa ręka. Wszystko robię lewą. Tylko piszę prawą. Kiedy piszę. A nigdy nie piszę. Bo niby do kogo? Kiedy ten człowiek wysiadł z samochodu, nie wiem jakiego, nie znam się, wrzeszczał:

– Pani nie jest normalna! Czy pani jest normalna?! Mogła pani zabić i siebie, i mnie!

Powiedziałam wam, że nie cierpię awantur, wrzasków i dzielenia włosa na czworo. Nigdy się nie kłócę. Więc tylko mu się przyglądałam.

– Dlaczego pani milczy? Kto pani dał prawo jazdy?

– Wydział Komunikacji w Matuli, w siedemdziesiątym ósmym – odpowiedziałam. – Tam zdałam egzamin, ale teraz nie ma tam szkoły jazdy. W tym budynku. Sprzedają tam teraz lodówki. Boscha. Proszę pana, nie wiedziałabym o tym, ale myśmy niedawno kupili tam na kredyt wielkiego boscha, i stąd wiem. Ale nie mam pojęcia, na jaki procent...

Facet patrzył na mnie jak na dziwoląga.

– Co pani?! Zwariowała? Czy pani jest pijana?!

Nigdy nie piję. I dlaczego miałabym być stuknięta? Ludzie zawsze myślą, że zwariowaliście, jeśli odpowiadacie na pytania. On mnie spytał: „Kto pani dał prawo jazdy?”. Odpowiedziałam: „Wydział Komunikacji w Matuli”. Co w tym szalonego? Czy powinnam milczeć? Wezwać swojego adwokata? Drzeć się na tego pana i posłać go w diabły? Przyznać: „Jestem winna”? Ale on mnie nie pytał, czy jestem winna. Tylko kto mi dał prawko. Przyjechała policja. Dmuchałiśmy. Mówiłam wam, że nie piję. Odholowali nasze auta. Jutro odchodzę od mojego Kikiego. I czego mi będzie brakowało? Naszego starego czerwonego audi – rocznik osiemdziesiąty ósmy. Nie powiedziałam wam naj-

ważniejszego. Dlaczego lubię ten samochód. Kiedy go prowadzę, nikt na mnie nie trąbi. Mogę się wlec po jezdni w żółwym tempie, i choć widzą, że jestem kobietą, nie trąbią. Rozumiecie? A kiedy jeździłam stojącą, trąbili na mnie wszyscy. Wydawało mi się, że jadę w weselnym orszaku. A w lusterku zawsze widziałam paskudne gęby. Ponure. Wściekłe. Powiem wam, w czym sęk, bo nie lubię wodolejstwa. W audi czułam się bogatą i potężną kobietą sukcesu. Siedząc w audi, odciagałam od siebie uwagę. Nienawidzę, nienawidzę, kiedy na mnie patrzą. Kiedy mnie zauważają. Kiedy na mnie trąbią. Kiedy się na mnie gapią, dostają kurwicy. I nie lubię odpowiadać na pytania. To mnie stresuje. Nawet bardzo. Wojna? Przez wojnę? Okej. Przez wojnę. Nie oczekuję, by państwo dawało mi kasę, dlatego że jestem kłębkim nerwów. Jestem niespokojna. Ale mam powód. E tam, zaraz powiecie, że jestem patetyczną, przewrażliwioną cipką, która nie pojmuje wojny i tego, co oni nam zrobili. Kumam, „co oni nam zrobili”. Ale ja mam w dupie „nam”. Co oni mnie zrobili. Mnie! Mnie! Ten mój ojciec, ten serbski śmieć, który mnie wtrysnął w pięćdziesiątym którymś... Tak, pięćdziesiątym którymś! No właśnie! Po co mnie uznał?! Moja stara ma to w dupie. To dymanie nie było dla niej niczym strasznym. Nie przemawiała się brzuchem, dostawała na mnie jakieś kartki, olej, cukier i pięćdziesiąt kwadratów tetry na pieluchy. Nigdy nie brakowało jej miłości. Ona, niezależnie od tego, że dla was i dla mnie zakrawa to na kpinę, kochała Partię. Ja byłam dla niej prezentem od Partii. Doręczonym przez delegata. Próbowалам, tysiące razy próbowałam dociec, dlaczego stara nie domagała się od Partii czegoś więcej. Na próżno. „Nie o to wal-



czyłam". O to? Co to jest „to”, o co walczyłaś, stuknięta babo? Moja stara zdechłaby dzisiaj z głodu, gdyby Kiki nie sprzedawał kradzionych garniturów i krawatów. „Dzięki temu mogę spokojnie spać”. Naprawdę? Ale ja nie śpię spokojnie, mam! Dlaczego spieprzyłaś mój sen? Dlaczego uznał mnie zasrany Živko? „Takie były czasy”. Pies ci jebał te czasy, mam! Pies ci jebał te jebane czasy, mamusi! Opowiem wam, jak dostałam obywatelstwo.

Patrzyłam w te oczy. W oczy tej pani. Zwykłe oczy. Ciemne. Umęczone. Trochę mętne. Takie jak wasze.

- Gdzie był Živorad Babić...?! - darła się.
- Živko - sprostowałam. - Živko...
- Gdzie był Živorad Babić w czterdziestym siódmym?
- Ale jakie to ma znaczenie? - spytałam.
- Won! - wrzeszczała pani. - Won!

34

Wysłałam z tej sali. Przed drzwiami stali dwaj policjanci, nie było ich, kiedy wchodziłam, a kolejka oczekujących wydłużyła się aż do placu Belgradzkiego, który już się tak nie nazywa. Przebijałam się przez tłum Muzułmanów, Albańczyków, Bośniaków i Serbów, którzy udawali Chorwatów i tylko czekali, żebym wreszcie wyszła. Myślcie o mnie, co chcecie. Nie czuję się Serbką. Nie jestem Serbką! Nie jestem Serbką!!! Jebał was Živko pierdolony Babić! Weszłam do cukierni na placu. Chciałam trochę wody, żeby połknąć zieloną tabletkę apaurinu. Wtedy taka dawka mi wystarczała. I wiecie co? Ludzie zaczęli się ode mnie odsuwać. Węszyć. Wtedy dotarło do mnie, że się zesrałam. Naprawdę zesrałam. Weszłam do kibla i zdjęłam majtki. Obejrzałam je. Ciemny, prawie czarny stolec. Poczułam jakąś, nie musicie mi wierzyć, jakąś radość. Niech pani zobaczy, co mi pani zrobiła! Mam raka!

Mam raka jelita grubego! Będzie mnie pani miała na sumieniu! Choć wiadomo, że ten ohydny babsztyl nie ma sumienia. Od razu wiadomo, że jest Serbką! Żaden Chorwat nie dorówna Serbowi! Ta serbska zdzira ma gdzieś moją serbską dupę. Chroni własną. Ale ja czułam się jedyną sprawiedliwą na ziemi. Byłam wielka. Byłam ofiarą przed obliczem sprawiedliwego Boga. A potem przypomniałam sobie, że Kiki wymienił sześć krawatów na kilogram czarnych jagód. Boro, ten Boro z bazaru, miał iść na jakieś wesele, więc potrzebował krawatów. Skojarzyłam, że czarne gówno to nie żaden dopust boży, tylko po prostu zjadłam za dużo jagód na pusty żołądek. Kiki dał tej kurwie tysiąc marek i dostałam zaświadczenie, że jestem Chorwatką. Słyszę wasze pytania. Wykupiłaś obywatelstwo, prawda? Więc po kiego się buntujesz? A co oni nam robili? Takie były czasy. Ale ja dostałam wypowiedzenie z pracy. To wam chcę powiedzieć. I wyście dostali wypowiedzenie. Wszyscy dostaliśmy wypowiedzenie! Okej. Ale wy nie dostaliście wypowiedzenia, dlatego że jesteście przeklętymi Serbami. Wyście dostali wypowiedzenie tak normalnie, po prostu. Bo czasy są ciężkie. Nie jesteście czarnuchami. Jesteście białasami. Ale i białasom nie zawsze się układa. Tak to bywa. Byłabym szczęśliwa, gdybym dostała wypowiedzenie jako leniwa biała baba. Albo biała nadwyżka siły roboczej. Może macie rację. Kto jest winien, że moja stara puściła się z pierwszym lepszym Živoradem, który wystawił ubeckiego fiuta? W pięćdziesiątym którymś. Tak. Pięćdziesiątym którymś!! No właśnie. Gdyby moja stara wtedy nie była serbską dziwką, ja nie byłabym Babić z Zagory, tylko Babić z Korčuli. Okej. Macie rację. Ale gdyby moja

35

stara puściła się z Babiciem z Korčuli, to mnie by nie było. Wszystko rozważałam. W tym jest parszywy haczyk. Pieprzony dylemat! Gówno! Albo jesteś Serbką, albo cię nie ma. Kumacie? Oczywiście, że tak. Nie jesteście kretynami. Ale nie jesteście Serbami, więc macie to w dupie. Gównu was obchodzi, co czułam. Moja najlepsza przyjaciółka. Ela. Ona mnie nie opuściła w biedzie. Jakie to uczucie! Siedzisz w biurze. I nikt do ciebie nie dzwoni. Twój telefon milczy. Jesteś jakoś tak sama. I goła. Jak francuska dziwka, która przez całą wojnę szwendała się z Niemcami i wkrótce ogoliła jej głowę. Jeszcze nie teraz, ale zrobią to. Jesteś dziwką z kudłami, ale jeszcze tylko przez chwilę. Ela dzwoniła każdego dnia. I udawała, że wierzy, że to wszystko minie. Jakby Živko był zapaleniem pęcherza albo grypą. Trzeba się ciepło ubrać i pić ziołowe napary. I wtedy Živko zniknie. A co oni nam zrobili?! Znowu wy. A niechby nawet! Niechby was nawet zajebali! I dobrze! Dobrze! Bardzo dobrze! Doniesiecie na mnie?! Zabijecie mnie?! Bo jestem czetniczka?! Czetnicką kurwą?! Ale Kiki nie jest czetnikiem! On jest Chorwatem! I Miki jest Chorwatem! Nigdy mnie nie bzykał żaden Serb! Sami Chorwaci! Czetnicki pies wam mordę lizał! Dlaczego mnie wkurzacie?! Po jaką cholere?! Spokojnie leżę w łóżku, starcy na ekranie wycierają nosy wielkimi kraciastymi chustkami i płaczą. Noc jest ciepła albo chłodna, albo deszczowa, albo wietrzna. Trzymam pilota w prawej ręce i opowiadam swoją historię. Dlaczego jesteście tacy narwani? Ja narwana? Ja?! Tak sądzicie?! Ale wy jesteście większością, a ja mniejszością. Dlatego uważacie, że powinnam wyluzować i nie być taka drażliwa. Myślę, że niewielu nas zostało Babiciów, tych nie z Korčuli, i że nie

trzeba się już do nas przypieprzać. Nasz problem został rozwiązany. „Nasz”?! No i widzicie, do czego mnie doprowadziliście?! Ja stałam się my! Ja stałam się my. Nasz problem?! Jaki kurewski nasz problem?! Ja to ja! Na naszych drzwiach bazgrali sprayem: „Precz z Chorwacji!”. To do mnie?! Do tej, która nie zna geografii i która nigdy nie żyła „poza”?! Sąsiedzi przestali mi się kłaniać. A Mihajlo, ten, który w naszej kamienicy, na parterze, prowadzi mięsny, stał się Mirosławem. W ciągu jednej nocy został cholernym Chorwatem. I nie chciał mi sprzedać pół kurczaka, a wtedy w Mieście nie było jeszcze billi.

– Tonka, nie chcę mieć przez ciebie kłopotów.

Serbski śmieć! Nagle zaczął mi mówić „Tonka”. Per ty. Przenieśliśmy się do Eli. Bałam się, że mnie zarzną, jeśli zostanę w domu. Każdego wieczora przysuwałam pod drzwi stary bojler. I duży stół. Kiki się sprzeciwiał.

– Dlaczego wpadasz w paranoję? – pytał.

Przez całą noc nastuchiwałam odgłosu kroków na schodach naszej kamienicy.

– Nie chcę się dać im zaskoczyć! Będę walczyć! Nie mam zamiaru zdechnąć jak głupia Żydówka!

– Zapamiętaj – powiedział Kiki – nie jesteś żadną Anną Frank. Mają cię w dupie. Nic nie znaczyś! Gdyby zabili wszystkie Chorwatki, w które spuścili się Serbowie, ten kraj zostałby bez kobiet.

To było przewrotne. Kłamca. Ohydry! Nie znam wielu kobiet takich jak ja. Ani wielu matek podobnych do mojej starej. Z tego, co mówi Kiki, wychodzi, że wszystkie Chorwatki to serbskie dziwki. A to nieprawda. Okej. Nie twierdzę, że moja stara jest dziwką albo serbską dziwką. Ale Živka nie mogę jej wybaczyć. Nie mogę i nie chcę. Któregoś roku, nie pytajcie mnie któ-

rego, nie mam pamięci do dat, zaczęłam dzwonić do Babiciów z Korčuli. „Halo, jestem Tonka, Tonka Babić z Korčuli... nie mam ojca, szukam swoich korzeni... Gdybyście mogli...”. Rzucali słuchawką. Wokół Korčuli pływały okręty wojenne. Przed moimi oknami też. Babicie z Korčuli mieli w dupie Tonkę Babić, w której mo- wie słycać było, że nie jest z wyspy. Nocami nie mog- ła zmrzyć oka. A w dzień stała z tłumem w bary- kadzie miłości przed Głównym Sztabem Miasta i dar- ła się jak opętana. My, kobiety i mężczyźni, wrzesz- czeliśmy i domagaliśmy się, by z Głównego Sztabu wy- szli zasrani gówniarze z owianego złą sławą Ludowe- go Wojska Jugosłowiańskiego. Tak, chcieliśmy im do- kopać. Zatluc ich! Gdybym mogła, każdemu młodemu żołnierzowi skręciłabym wtedy własnymi rękami cien- ki, jugosłowiański kark. Skręciłabym mu kark, podnio- ła trupa do góry i zawołała na środku ulicy: „Patrzcie! Widzicie, co może Babić z Korčuli?!”. Te parszywe gnojki nie wychodziły. A tego dnia prawie się zesra- ła. Tak wrzeszczeliśmy. Wszystkim nam oczy wyłazi- ły z orbit, usta mieliśmy wielkie, szeroko rozwarte. Sta- liśmy zbici ciasno, jeden przy drugim. Można było po- czuć smród z ust palaczy albo tych, którzy nie myją zę- bów, albo cukrzyków. Cukrzykom śmierdzi z ust w spo- sób szczególny. No więc, wrzeszczeliśmy. I wtedy do mojej twarzy przylgnęła twarz zadbanego pana. Poczulałam gaultier. Dobrze znam zapach gaultier. Kiki go używa.

– Znam panią – mruknął Gaultier.

Myślałam, że się posram. Ze strachu. Bałam się jak nigdy w życiu. A jeżeli chwyci mnie za szyję?! Do- kąd ucieknę?! Ręce mi się zrobiły wilgotne i lodowate. Usta suche. Tak. Całe życie przeleciało mi przed oczami.

mi. Jak skakałam do morza w Uvali, jak moja babcia jadła jabłka, jak kawałeczki przelatywały przez jej cienie gardła, jak spotkałam Kikiego w uzdrowisku Slatinia, kiedy upadłam i obtarłam kolana, i porwa- ła siatkowe pończochy. Jak mnie pierwszy raz prze- leciał na opatijskiej plaży, a ja się darłam. Myślał, że to z szalonej rozkoszy, a mnie się wbił w tyłek kawałek butelki po piwie. Jak leżałam na brzuchu w ciepłym piasku, a Kiki wyjmował mi szkło z poślodka. Jak za- pomniałam o tym, jaki był ten pierwszy raz, bo wraże- nia pomieszały mi się z tym kawałkiem butelki po pi- wie. Jak moja Aki szła pierwszy raz do szkoły. I nie chciała wejść do klasy, choć miała siedem i pół roku, i tylko ona płakała. Więc weszłam z nią. A na każdej ławce leżał bukiet jakichś polnych kwiatków. Dla tych dzieci. No i płakałam, płakałam jak bóbr. Nagle zdałam sobie sprawę, że nigdy nie przytuliłam mojej starej. Że powinnam ją przytulić bez względu na wszystko, i pocałować. Przed śmiercią. Moją. No i uświadomiłam sobie, że kocham Kikiego, ale od lat mu tego nie mówię. Więc chciałam tym wszystkim gnojkom z Głównego Sztabu powiedzieć: „Dzieciaki, nie bójcie się, nie przetrączę wam waszego jugosło- wiańskiego karku”, ale przypomniałam sobie, że z do- mu wyszłam w czarnym staniku i białych majtkach, i podartych czarnych rajstopach pod spodniami. I kie- dy mnie będą rozbierać do obdukcji, to powiedzą: „Spójrz na tę parszywą Serbkę, nie ma nawet białego stanika...”.

– Nie zna mnie pan – powiedziałam.

– Znam – oznajmił Gaultier wesoło. – Pani jest ma- mą dziewczyny mojego syna.

- Nie - odparłam wesoło. - Jestem dziewczyną pańskiego syna.

Roześmieliśmy się. A potem dalej wrzeszczeliśmy. Na czym to stanęłam? Aha. Byłam zaniepokojona. Więc przenieśliśmy się do Eli. Aki pojechała do mojej starej, do Uvali. Moja stara podczas wojny nie miała problemów, jako czetnicka kurwa. To dziwne. Aki też nie miała problemów. Tylko ja. Ela wynajmowała mieszkanie na Wzgórzach. Tam są kiepskie mieszkania. Budownictwo wielkopłytowe. Cienkie ściany. Nie wiem, jak wam to opisać. W tamtych latach każda młoda para posiadała wersalkę firmy Goranprodukt. W kolorze beż. Ta tandeta wyglądała jak zwariowane łożo małżeńskie. Ale nie dawało się na tym spać. Jednak Kiki i ja położyliśmy się na rozłożonej wersalce. Czułam się u Eli bezpiecznie. Nie pytajcie mnie czemu. Nie wiem. W nocy nie łykałam apaurinu ani nie nasłuchiwałam kroków na klatce schodowej. Za to nasłuchiwałam, jak się pieprzą Ela i Borys. Każdej nocy. Borys kwiczał. Wydawał odgłosy jak dzik. Przypuszczam, że taki głos wydaje z siebie dzik. Nie jestem, cholera, myśliwym, więc nie mam pewności. Nie chodzę po lasach i nie strzelam do dzikich świń. I nie zbieram grzybów, jak moja matka chrzestna, która boi się niedźwiedzi, więc co pięć sekund gwizdkiem przywołuje męża. A on dostaje kurwicy. Bo nienawidzi gwizdka i nie boi się niedźwiedzi. Ela wibrowała wysokimi, gardłowymi tonami. Na podobieństwo ptaka, który cienką nóżką wpadł w sidła. O ile tak kwilił ptaki w przesranej sytuacji. A potem szeptała: „Ciszej, ciszej...”. No i znowu kwiczenie dzika, a potem ptak z nóżką w sidłach... Pewnej nocy złapałam Kikiego za chuja. On szanował mój odlot i zostawiał mnie w spokoju. „Nie

będę cię gwałcił”, mówił mi. Więc pewnej nocy złapałam go za fiuta. No i się bzyknęliśmy. Nie miałam orgazmu, ale krzyczałam. Dla jaj. Niech serbski krzyk rozdziera chorwackie powietrze. Jaka głupia, głupia cipa.

Kiedy poznałam Mikiego? Jak? Gdzie? Czy dobrze pieprzy? Jak to, ty w twoim wieku, a on dwanaście lat młodszy? Żonaty? Ma dzieci? A czy nie pedał? Gdzie będziecie mieszkać...? Co za pytania. Jakie bezna dziejne, durne pytania. A gdybym to ja zaczęła was wypytywać? Jak by to było? Czy zdradzasz męża? Czy twoja kochanka ma orgazm? Dlaczego wasze dorosłe dzieci moczą się w łóżku? Dlaczego wasza córka się puszcza? Jak to się dzieje, że wy tego nie wiecie, a wszyscy o tym wiedzą? Dlaczego dajesz pięćset marek za każdy egzamin syna, żeby dzieciak zdał? Dlaczego rzniesz najlepszą przyjaciółkę własnej żony? Dlaczego wszędzie wygadujesz, żeś Chorwat, choć jesteś pieprzonym Muzułmaninem? A dowód tożsamości dostałeś dopiero, jak cię ochrzcił ten tłusty, pijany ksiądz z Istrii za tysiąc marek plus obiad w restauracji jego brata. No i zostałeś Hadżiselimoviciem Chorwatem. Swołocz! Dlaczego lubicie wtykać nos w cudze życie? Dlaczego nie uporządkujecie swojego kiepskiego, zasranego życia? Wścibskie kutasy! Ale pies wam mordę liza! Tej nocy jestem w dobrym humorze. Odpowiem na wasze pytania. Ci starcy w telewizji. To jest niesamowite. Dziennikarka podtyka im mikrofon pod nos i dyskretnie chlipie. Tak że kamera w pierwszym planie wyławia jej łzy. Suka. Fałszywa suka. Płacz. Dla potrzeb programu. I jest tak umalowana, by łzy nie rozmazały makijażu. Lecą tylko łzy. Oczu nie ma czerwonych. Tylko ładne. Błyszczące. Jej smutek

jest dyskretny. Wytworny. Uprzejmy. Chorwacki smutek. Kiedy widzę taką sukę, taką śliniaczą się Chorwatkę, to cieszę się, że jestem Serbką. A wtedy przychodzi mi do głowy, że może i ta suka jest serbskim albo innym obcym pomiotem, więc jest mi lżej. Ta kurwa zarabia tylko na swój krwawy chleb. Dziennikarze. Czy myślicie, że dziennikarze to bohaterzy? Tyle prawd ujawnili. Tyle scen z pola walki nakręcili. Tyle z nich oddało życie. Tyle zmienili. Gdyby nie dziennikarze, to tu by jeszcze... No co, głupie osły! Co by tutaj było, gdyby nie dziennikarze? Jakie byłoby moje życie, gdyby nie dziennikarze? Powiem wam, durne muły: takie samo! Dokładnie takie samo! Mogę wam przysiąc na serbskiego fiuta mojego ojca Živorada, że dziennikarze nigdy niczego nie zmieniają! Nie zmieniają na lepsze. Nigdy! Niczego! Uważacie, że powinnam milczeć! Że pod żadnym pozorem nie powinnam tego głośno mówić! Dziennikarze są potężni! Szczwani! Stoi za nimi siła! Z nimi trzeba ostrożnie! Grzecznie! Ale się nie dowiedzą, co ja o nich myślę. Bo niby jak? Głucha noc. To, co mówię, zostanie tylko między nami. Wy o tym przecież nie będziecie trąbić. Nikomu nie powiecie? Byłoby mi miło, gdybyście nie powiedzieli. Byłoby mi miło, gdybyście byli głową bez języka. Tak Dalmatyńczycy nazywają ludzi, którzy nie paplają bez potrzeby. Ludzi, którzy potrafią dochować tajemnicy. Mówią o nich „głowa bez języka”. Świetne określenie! Fantastyczne! Okej. Wy o mnie powiecie, że jestem językiem bez głowy. Bo pieprzę trzy po trzy. Podoba mi się „język bez głowy”. Pasuje mi. Super! Mam własne zdanie na temat dziennikarzy. Wiem, że to zwykłe szmaty. Ale brak mi jaj, by stanąć na placu Bana Jelačića i wykrzyzczyć to na cały

głos. Nie mam jaj. Dziennikarze! Nędzne śmieci! Ten kraj tonie po uszy w gównie. Ciemnota i kołtuństwo. Głód i chaos. Myślicie, że to przez wojnę? Gówno prawda, że przez wojnę. Pewni jesteście, że wybuchła długo tłumiona pięćdziesięcioletnia nienawiść między Serbami i Chorwatami? Dobre słowo „tłumiona”! Dobre! I wy kupujecie tę historię o tłumionej nienawiści! Jestem Serbką i pięćdziesiąt lat was nienawidzę, chorwackie śmieci! Wreszcie dopięłam swego? Ale coś tu nie gra. Według was jestem agresorem, tyle że agresorem bez szans, bo otaczają mnie sami ludzie miłujący bliźnich. Gdybym mieszkała w Belgradzie, jadłabym chorwackie mięso bez chrzanu! Bo po chrzanie męczą mnie hemoroidy. No nie, wy nie jesteście gównem. Wy tak naprawdę macie dokładnie w dupie, kto mnie wtrysnął. Živko czy Ante. Wam dziennikarze wyjaśnili, kim jestem. Ale i dziennikarze mają mnie w dupie. To nie są ludzie, którzy zaprzętają sobie mną głowę. Ani ludzie, którzy źle o mnie myślą. Ani ludzie, którzy w ogóle myślą. To najemnicy. Ich prawdą jest to, co im powie szef. Dziennikarze nie mają szmalu. A gdyby mieli szmal, gdyby mieli własny szmal, samochód, mieszkanie, dom, jacht, to nie ma chuja, żeby to wszystko zastawili pod hipotekę i szerzyli prawdę. Nadążacie za mną, zmanipulowane kukły? Ktoś tych koleśi opłaca. Żeby robili zadymę i siali panikę. I dlatego chcecie mi dojechać? I nienawidzicie mnie, choć jestem dobra, choć nigdy, nigdy, przenigdy nie widziałam na oczy przekłętogo, parszywego, pieprzonego Živka! Pies go jebał! Jebał pies moją babcię Živadinkę! Babkę! Babkę Živadinkę! Babcia to mama mojej mamy. O! Zobaczcie! Dziennikarze! Dziennikarze w Chorwacji! Każde czasopismo w Chorwacji ma swojego

właściciela. I swoje święte krowy. Nie ma szans, by dziennikarze „Wschodu” opublikowali, że jakiś polityk przeleciał pięcioletnią dziewczynkę, jeżeli ten śmieć jest ichnią świętą krową. Ale z radością napiszą, że dziewczynkę przeleciał ktoś inny, bydlę z sąsiedniej zagrody, choć jej nie przeleciał. Jasne? Ci kolesie łąą jak psy. Ta suka, ta z ekranu, po kiego właściwie ona płacze? Dlatego że ci trzęsący się starcy wszystko stracili podczas wojny? Ale przecież wisi jej ta wojna. Gdyby nie wojna, jej tępy ryj nigdy nie stałby się dziennikarskim ryjem. Podczas wojny, kiedy panuje zamęt, szefowie w ciągu nocy muszą szukać głupich ryjów z wielkimi oczami pełnymi ogromnych łez. I znaleźć je. By nam piękne usta wciskały głodne kawałki. Nie kupuję tego. Ten kurwizson może cały spłynąć łzami. Może swoje śliczne oczy wyplakać między swoje gołe nogi. Mam to w dupie. Ja jej nie wierzę. I nie włączę dźwięku. Płacz, dziwko, beze mnie! Nie rozumiecie tego. Myślicie, że przesadzam? Że trochę mną wstrząsnął ten wczorajszy wypadek? Jesteście chorzy! To nie jest mój pierwszy wypadek w życiu. Samochód uderzył w bok i rozwalił mi lewą rękę, nie głowę. Okej. Nie kumacie? No to powoli. Spójrzcie na tych Amerykańców. Pełno o nich w gazetach. Są we wszystkich telewizorach świata. Cały świat mówi o biednych Talibkach. Jak się czują pod tym swoim namiotem na głowie. I w kapciach na nogach. Cały, cały świat w kółko o tym mówi. Jak to Amerykanie ruszyli na wojnę, by zdjąć te namioty z głów tych Talibek i te ich kapcie. Tak by Talibki mogły swobodnie stąpać i głośno tupać bosymi piętami. Niech ten kit kupuje, kto chce. Mnie o to nie boli serbski fiut, którego nie mam. Z relacji dziennikarzy wynika jasno jak drut, że Amerykańcy są

bojownikami o wolność. Nawet gdyby wszyscy tę wolność mieli w dupie. Oni przyjdą i wyciągną ją z dupy. Idziemy dalej. Tylko powoli, tak żeby wszystko było dla was jasne. Bin Laden zburzył im bliźniaki. I pomyśleć, że nam to wciskają. Amerykańcy mają CIA, mają FBI, mają satelity, mają, co tylko zechcą. Gdybym teraz pierdnęła, choć nie pierdnę w łóżku, tylko wyjątkowo, kiedy mam pewność, że Kiki mocno śpi, a i wtedy robię to cicho, i... podnoszę kołdrę, wietrzę. Dobrze... Ale powiedzmy, że ja teraz tutaj pierdnę. Zastrane Amerykańce gdzieś by to zarejestrowały. Gdzieś by zapisano: „Tonka – córka, mam nadzieję, świętej pamięci Živka Babicia, pies jebał jego matkę Živkę, jeżeli się nazywała czy nazywa Živka – pierdnęła o...”. Tu by wpisali godzinę. Kumacie?! A o ataku na główniane bliźniaki to niby nie wiedzieli?! Nie wiedzieli!!!! Takiego chuja nie wiedzieli! Czego wdychacie? Czego sapiecie? Jesteście skończonymi kretynami! Manipulują wami! Wierzycie dziennikarzom?! Tak? Przejrzyjcie na oczy! No! Ja wam mówię, że Amerykańcy poświęcili kilka tysięcy Amerykańców, żeby móc zaatakować talibskie śmieci. Pewnie potrzebna im ropa czy jakieś inne gówno, nie wiem. Ale że to nie jest wojna o wolność biednych kobiet, tego jestem pewna. Dziwicie się, że Amerykańcy poświęcili swoich ludzi. Amerykańców?! Hola! Hola! Drodzy państwo! A czy ich niby ludzi mają poświęcać?! Węgrów? Czyich ludzi poświęcają politycy, by głupi naród postawić w stan gotowości?! Swoich ludzi. Którzy w żadnym wypadku nie są „ich” ludźmi. To są tylko ludzie. Naród. Przeogromne stado bydła. Mięso dla armat, miotaczy ognia i boeingów bez amerykańskich pilotów. Pięć tysięcy Amerykańców odeszło ku chwale Boga. Reszta

się wkurwiła. I tej reszcie politycy odebrali wszystkie prawa i tysiące z nich wysłali gdzieś w pizdu, by zdejmowali czadory z talibskich kobiet. Kumacie? Ni w ząb? Ja też bym nie kumała, gdyby mój ojciec nie nazywał się Živko. Gdyby mój ojciec nazywał się Hrvoje, nie kumałabym ni w ząb. I nie szukałabym ofiary. Tylko ofiara wyczuje ofiarę. Ja nie jestem ofiarą? A co oni robili?! Jeszcze raz wam powtarzam, zostawcie mnie w spokoju. Co mnie łączy z „nimi”? Jaki związek mają Talibki z Amerykańcami? Nie mają, a mają. Ja, córka, mam nadzieję, świętej pamięci Živka i pieprzona zakapturzona Talibka to jedno. I Amerykaniec, który na zadupiu zdejmuje kapcie z talibskiej nóżki. Ktoś w naszym imieniu prowadzi swoją grę. Dla naszego dobra zdejmuje się te czadory. Ale, ślepcy wy moi, to, czego nie widzicie, to fakt, że wszyscy jesteśmy pod czadorem. Pod czadorem są pieprzone Talibki. Pod czadorem są Amerykańcy, którzy zginęli w bliźniakach, i żywi Amerykańcy w pipidowie w Indianie i Afganistanie, i w Iraku, i w Iranie, i w Bośni, i w Hercegowinie, i w Gwatemali, i na Filipinach, i we Włoszech. Pod czadorem jestem i ja, i wy, zakute pały, choć nie rozumiecie ni w ząb.

– Czy są jacyś bez nakrycia głowy?! – słyszę, jak się drzecie pełni nadziei. Są. Na świecie jest może stu albo stu pięćdziesięciu skurwieli z gołą głową, którzy trzymają nasz los w swoich łapach. Pięć coca-coli dyma cały świat. My, cała reszta, jesteśmy Talibkami.

Powoli gubię wątek. O coście mnie pytali? Kiedy Miki mnie pierwszy raz zerznął? A kiedy wyście się pierwszy raz dymali? No? Jak było? Zapomnieliście. Powiem wam. Nijak. Ona prawdopodobnie nie miała orgasmu. Ona go na pewno nie miała, jeżeli to wy ją jebali-

ście. Okej. Okej. Nie gniewajcie się. To był tylko mały żart. Niewinny żarcik. Pierwszy raz? Ja bym przeskoczyła ten pierwszy raz. A wy znowu: dlaczego? Noc jest długa. Do siódmej jeszcze daleko. A może i nie. Bawi mnie to, że nie mówię wam, która jest godzina. Naprawdę mnie bawi. I teraz nie macie pojęcia, czy Mikiego złapię za jaja za dwa kwadransy, czy za sześć godzin. Super. Miłe uczucie. Zjadłam wszystkie czekolady. Pięć tabliczek. Gdybyście wiedzieli, ile czasu mi potrzeba, by zjeść jedną tabliczkę czekolady, to wtedy pomnożylibyście ten czas przez pięć i już by było jasne, która godzina. Tak! Ale nie wiecie, kiedy zaczęłam. Ha! Pierwszy raz? Do Mikiego poszłam z Elą. Przypominacie sobie Elę, moją najlepszą przyjaciółkę. Razem poszłyśmy do jego kancelarii. Miki jest najlepszym adwokatem w Mieście. Od rozwodów. Nie każdy zajmuje się wszystkim. Ci, którzy wspaniale rozwodzą, nie mają pojęcia o prawie karnym. Za chuja nie byliby w stanie obronić zabójcy. Ale z męża klientki zedra ostatni grosz. I na odwrót. Niektórzy w ciągu trzech dni mogą wyciągnąć z więzienia mordercę, ale nie są w stanie od męża wyciągnąć trzech marek. A od rodziny zabójcy mogą wydrzeć kupę szmalu. Póki koleś siedzi w więzieniu. Jak wyjdzie, jest trochę trudniej. Na wolności nawet najgorszy zbrodniarz myśli, że jest niewinny. Męczy mnie mówienie wam, dlaczego Ela weszła do kancelarii Mikiego i dlaczego ja musiałam zostać w poczekalni. Nie lubię paplać o cudzych intymnych sprawach. Nic wam nie powiem. Jestem głową bez języka. Kiedy Ela i Miki wyszli z kancelarii, spojrzałam na niego. Nie wiem, ile lat ma twój mąż. Może trzydzieści, a może sześćdziesiąt. Kiki ma... Dobrze. Rozumiem. Nie interesuje was Kiki. Ani mnie. Tylko Mi-

ki. Kancelarię ma w centrum, przy deptaku. Zaraz. Nie tak. Skaczę z Eli na Mikięgo, z Mikięgo na Kikięgo, z Kikięgo na kancelarię... Pomalutku. Jak wygląda Miki? Wszyscy adwokaci są dla was, w pewnym sensie, tacy sami. Ciemny albo jasny drogi garnitur: cavalli, zegna, boss albo coś innego – kradziony. Jasna koszula – kupiona. Jedwabny krawat – kradziony. Buty paciotti – kradzione. Drogi neseser bridge, za tysiąc marek albo i więcej – kupiony. Ogoleni. Drogie perfumy, armani albo boss, albo... – kupione. I to by było tyle. Taki jest Miki. I jest młody. Kiedy od moich lat odejmiecie dwanaście, to by było tyle. Ale nie wiecie, ile mam lat! Ha! I znowu ha! Biuro ma pstrokate. To jest właściwe określenie. Na ścianach wiszą obrazy. Botero. Oczywiście reprodukcja. Ależ z was matoly! Botero jest prawdopodobnie najdroższym żyjącym malarzem. Skąd wiem? Czytajcie „Glorię”. No i Vojo Radoičić, i Damir Stojnić, to oryginały, i... Ale was to nic nie ochodzi. I ma wielki skórzany fotel w swoim gabinecie. W poczekalni stoją zwykłe krzesła. Szare. Właściwie ten fotel tylko wygląda na skórzany, ale wcale nie jest. Skąd wiem? Znam zapach skóry. Znaczą się, ma skórzany fotel z dobrej imitacji skóry. Powinnam wyrzucić „skórzany” i powiedzieć tylko „z dobrej imitacji skóry”, ponieważ jeśli jest z dobrej imitacji skóry, to nie jest skórzany... Wasza drobiazgowość działa mi na nerwy. Jeśli będę musiała uważać na każde słowo, jeśli będziecie się do wszystkiego czepiać, to się zezłoszczę. I nie powiem wam, jak się pierwszy raz pierzyliśmy. Miki trzyma na biurku zdjęcie żony i córki. Żonę ma młodą. Chuda, długie włosy koloru miodu. Do ramion. Mała jest blondynką. Taki kolor nazywa się „baby blue”. Raz byłam blondynką. Właśnie baby

blue. To znaczy chciałam być baby blue. Fryzjerka przekonywała mnie, że jestem baby blue. A potem byłam na pogrzebie sekretarki prezesa Jadroplova. Tam pracowałam. Siedziałam w trzecim rzędzie, płakałam. Jakiś typ za mną powiedział do innego typu: „Przeleciałbym tę żółtą”. Powiedział „żółtą”. A chodziło mu o mnie. No i skumałam, że nie jestem baby blue, że fryzjerka zrobiła mnie w konia, więc zmieniłam i fryzjerkę, i kolor włosów. Teraz chodzę do Aleksandry. Ale mała Mikięgo jest baby blue.

Nie twierdzą, że przeczytałam mnóstwo książek. Nie twierdzą. Nie powiem też, że czytam od deski do deski każdą „Tenię”, „Przyjaciółkę”, „Glorię”, „Mój Sekret”, „Mój Smutek”, „Moją Historię”. Ale czytam. Również romansidła. W tych szmatławcach do bzykania dochodzi na koniec, po długich cierpieniach, rozterkach, wyrzutach sumienia. „Wyrzuty sumienia”, dobrze powiedziane! W romansidłach żona głównego bohatera jest suką. Natomiast panienka, którą chce przelecieć główny bohater, jest dziewczyną. Pod koniec opowieści suka ginie w wypadku samochodowym i tym samym otwiera drogę niewinnej dziewczynie do serca jebaki. Tak, jebaka ma córeczkę blondynkę, z włosami w naturalnym kolorze baby blue. A ta mała jeszcze przed śmiercią matki-suki bardziej kochała służącą albo nianię, albo przyzwoitkę – podoba mi się słowo „przyzwoitka” – niż matkę-dziwkę. No i zdziwę zakopią, małą położą do łóżeczka, przyzwoitka czyta jej o siedmiu koziołkach, pomija wilka, bo mała dopiero co straciła matkę. Jaka była, taka była, ale to jednak jej matka, dlatego pomija wilka, żeby się mała nie posikała ze strachu. A potem ta służąca i jebaka, który jest właścicielem połowy wsi



i dwóch międzynarodowych firm, piją przy kominku dry cherry. On kieliszek, ona tylko kropelkę, bo poza tym, że jest dziewczyną, nie pije. Wokół panuje nastroj żałoby, wrócili przecież z pogrzebu, pogrzebu dziwki, ale jednak pogrzebu. Czuje się wszystkimi zmysłami, to wisi w powietrzu, że kiedy minie żałoba po tej dzidzie – nikt tu nie cierpi, ale ze względu na ludzi, ze względu na wieśniaków... – to tych dwoje będzie się bzykać. No właśnie. Tak jest w dodatkach do „Glorii”, „Przyjaciółki”, „Claudii”, „Tenii”...

Ale ja nie jestem niańką, a Miki nie jest mężem dziwki. Jego żona jest normalnym stworzeniem, które pracuje w Allianzie i którego nigdy nie ma w domu. To jej krwawica. By w tej chorwackiej biedzie namówić ludzi na ubezpieczenie kawalerki, domu czy starej lodówki. To wyjaśniliśmy. Ta młoda kobieta, Anna, nie jest dziewczyną, ja nie jestem niańką, a adwokat Miki nie płaci nawet składek złodziejskiej izbie adwokackiej, gdyż przyszli rozwodnicy nie mają forsy. Ani przed rozwodem, ani po rozwodzie. Mikiemu się nie przelewa. A bzyknęliśmy się ot tak. Raz przyszedłam do Mikiego bez Eli. Może wam już mówiłam, a może nie. Regularnie chodzę do Aleksandry, to moja fryzjerka, zęby mam w porcelanie, śmieję się bez przerwy, jestem wesołą kobietą, ludzie lubią wesołe kobiety, dużo gadam, ludzie lubią ludzi, którzy są językiem bez głowy, i noszą superbieliznę. Kiki zawsze, kiedy trafi na dobrą bieliznę, odkłada dla mnie stanik 85C i jedwabne figi. Tego dnia miałam świeżo ufarbowane włosy. Dzień wcześniej byłam u Aleksandry. Bo fryzura zawsze lepiej się układa dzień później, nie zamęczajcie mnie. Czarna bielizna, jedwabne, ale obcisłe body, czarne rajstopy, nie za grube, ale dostatecznie

grube, by nie było widać popękanych naczynek, i czarna suknia od Yves Saint Laurenta. Myślicie – bo nie macie pojęcia – że drogie suknie wyglądają szykowicie. I że można je nosić tylko na premierach albo urodzinach prezydenta. Kłamstwo, panowie! Smutno jest być biednym i nigdy nawet nie zobaczyć drogiej sukni. Gdybyście nie byli w takim gównie, w jakim jesteście, gdybyście mieli szmal i stać by was było na kupno żonie sukni, jaką ja wtedy miałam na sobie, wiedzielibyście, że można ją nosić i w południe, i o północy. A na wieszaku wygląda jak szmata, w której chodziłam do opatijskiego gimnazjum. Kiedy? Wtedy! Suknia zapina się na jeden guzik. Jeden. Stałam przed biurkiem Mikiego. Siedział w tym fotelu, o którym myślałam, że jest skórzany, dopóki mu nie powiedziałam, że to wcale nie skóra, tylko dobra podróbka. No i odpięłam ten guzik. Jedyny. I błysnęłam tym stanikiem i body, i rajstopami. Tak. Dotarło do mnie, że się przejechałam. Kiki dał mi czerwony biustonosz, pod choinkę, i czerwone majtki, i czerwone rajstopy, i żałowałam, że tego nie włożyłam. Byłoby bardziej sexy. Seksowniej. Ale nie włożyłam. Zresztą ta czerwona kombinacja byłaby chyba zbyt wyzywająca. Nie chciałam, by Miki pomyślał, że to jest zaplanowane. Chciałam, by moje rozbieranie wypadło spontanicznie. Tak jakby mi do łba zniecka uderzyły hormony. Do czegoś muszę się wam przyznać. Choć nie powinienam. Mnie hormony nie uderzają do głowy. Ani spontanicznie, ani w sposób zaplanowany. Nie mam już hormonów. Albo je mam, tylko ich nie czuję. Mam głęboko w dupie seks. Jak by to powiedzieć? Co to za figura: „Mam w dupie seks”? Co to za konstrukcja? Mówię: „Mam w dupie seks”, a chcę powiedzieć, że wca-

le nie mam ochoty na bzykanie. Ależ ze mnie poetka! To po cholere rozbrałaś się przed cudzym facetem i ojcem małoletniej dziewczynki z lokami baby blue?! Nie wiem. Rozumiecie? Nie wiem. Nie chodziło mi o szaloną miłość. Dziką namiętność. Tęsknotę za kawalkiem młodego, muskularnego, chudego, jędrnego, świeżego mięsa. Nic z tych rzeczy. Rozebrałam się i tyle. Bez pożądania i specjalnego zamysłu. Z nudów, chęci zmiany albo z ciekawości. Lubię patrzeć na mężczyzn, kiedy im staje kutas, a ich oczy nabierają jakiegoś mętnego, jedwabistego blasku. Tak jakby patrzył na ciebie, ale cię nie widział. Cały jest odmieniony. Zawsze kiedy mężczyzna tak na mnie patrzy, myślę, że podczas tych jedwabistych, mętnych chwil on jest mój. A kiedy potem, już po, dziesięć minut później, charczy albo pierdzi, albo myje fiuta w łazience, wtedy jest wasz albo swój. Wówczas mnie nie interesuje. Rozumiecie? Ja po prostu chciałam, by oczy Mikięgo stały się jedwabistymi, mętnymi, ciemnymi oczkami. By przestał być adwokatem i stał się zwierzęciem między moimi nogami. Nie bestią. Bestia mnie wkurza. To znaczy zdzieranie bielizny, podrzucanie w górę majtek i bokserek, szarpanie zapinek stanika. Dobry stanik kosztuje kupę forsy. A nikt aż tak nie wariuje z pożądania, by nie mógł spokojnie rozpiąć stanika. Chyba że w filmie. Ale filmy to nie życie. I kręcą je mężczyźni. Bzykanie na filmie to tylko pożywka dla zboreźników. Mam przyjaciela. To zwariowany, szurnięty osobnik. Uwielbia pornosy. Jeździ po świecie i skupuje pornosy. I znosi je do domu. A jego żona prędeż by umarła, niżby powiedziała „cipa” albo „chuj”. Nie ma szans. Głupia baba. Dziewica z dwójką dorosłych dzieci. A on zbiera te filmy. Opo-

wiadał mi, co się dzieje na frankfurckim lotnisku. Są tam jakieś kabiny. Wchodzisz do środka, siedzisz przed ekranem, blisko, więc ci się wydaje, że trzymasz nos w wielkiej cipie. Albo coś w tym stylu. Mój przyjaciel, kiedy się znajdzie na tym lotnisku, przed odlotem, trzyma sobie nos w cipie. Mężczyźni są szaleni. Której kobiecie wpadłoby do głowy jęczeć w jakimś fotelu w jakiejś kabinie na jakimś lotnisku podczas oczekiwania na samolot? Każda normalna kobieta boi się latania i na pewno ostatnią rzeczą przed wejściem na pokład samolotu byłoby dla niej oglądanie na dużym ekranie wielkiego kutasa. Mój kumpel przysiągł mi, że w tej kabinie nie trzepie konia. Tylko ogląda filmy. Przysiągł mi na dwójkę swoich wówczas małoletnich dzieci. Wierzę mu. Nie dlatego że przysiągł. Wkurwiają mnie ludzie, którzy powtarzają w kółko „na głowy moich dzieci”, tak jakby dzieci były same w sobie czymś świętym, więc jak przysięgniesz na nie, to jest coś! A my wszyscy, którzy mamy dzieci, wiemy już, jakie tam one dla nas święte. Dzieci wkurwiają. Same kłopoty. I tylko kłopoty. Dziecko jest pijawką, która cię tylko ssie, ssie i ssie. Dopóki cię nie wyssie do cna. Dopóki nie zmienisz się w muszlę bez tego miękkiego w środku. I teraz ktoś tobie przysięga na coś, co cię ssie, i coś, co cię przeistacza w coś, co nie jest już tobą, tylko twoim cieniem, pustym domem, w którym ciebie nie ma, bo cię nie ma nie tylko w tym domu, ale nigdzie cię nie ma, i przysięga na to, i jeszcze oczekuje, że mu uwierzysz. Sranie w banię! Przysięgać na naszych największych wrogów, tak jakby oni byli czymś najwartościowszym, co mamy?! Gównoprawda! Wszyscy nienawidzimy swoich dzieci. Nasze dzieci wystrychnęły nas na dudka. Rozczarzo-

wały. Zdradziły. Nasze dzieci są wszystkim tym, czym my dawniej byliśmy. Tchórzami albo odmóżdżonymi zuchwalcami. Niemymi cykorami w kacie albo bezczelnymi pyskaczami walczącymi o prawa człowieka. A wszystko to jeden chuj. I wy, i ja, i oni jesteśmy i tym, i tym. Wystraszonymi tumanami, którzy trzęsą się przed inkasentem, albo bojownikami o prawa związkowe, którzy wznoszą do góry transparenty na placu Bana Jelačića. Domagamy się sprawiedliwości. Oczekujemy sprawiedliwości. To nasze dzieci. Wieczni wyczekiwacze. Tacy sami my, tylko młodszy. Gówniarze, którzy żyją w ciężkich czasach, więc sami nie mogą płacić za swoje błędy. Tylko my za nie płacimy. Swoimi emeryturami, mieszkaniami, zszarganymi nerwami... Połknę apaurin. Trzy zielone. Łykam. Bez wody. Kiki nie wie, że mam sześć opakowań apaurinu. Gdyby wiedział, byłaby chryja.

Raz połknęłam całe opakowanie. Chciałam się zabić. Tak. To była afera. Nigdy nie chcieliście się zabić? Zakłamanie dupki! Dlaczego chciałaś się zabić? Co to za wielka afera? Co wywołało wielki zamęt w twojej głowie? Od razu wielki, wielka, wielkie. Jesteście opętani wielkimi powodami i wielkimi aferami. Dlaczego człowiek nie miałby się zabić z powodu małej afery? Albo bez afery? Bo tak mu w duszy gra? To wam nigdy nie przyszło do głowy? Super. Myślicie, że macie rozum. To świetnie. Może trzeba wyjaśnić każdą próbę samobójczą. Pogmerać w głowie. Znaleźć powód. Ciężkie dzieciństwo. Matka dziwka. Ojciec przeleciał cię na szóste urodziny. Ojciec ma na imię Živko, a ty mieszkasz w Chorwacji. Wojna. Bieda. Nie masz na dentystę ani na prąd. Twoje dziecko ma białaczkę, a ciebie nie stać na leki. Trzeba znaleźć powód. Zaw-

sze istnieje powód, dla którego człowiek chce się zabić. A wiecie, co mnie męczy przez całe życie? Jak znaleźć jeden jedyny pierdolony powód, dla którego warto żyć. Po jakiego wała? Spójrzcie na mnie. Urodziłam się w Opatiji. Stara nie chciała pożydowskiego mieszkania. Nie chciała żadnego mieszkania, więc życie spędziłyśmy w suterenie. Przez cały ogólniak chodziłam bez górnej lewej dwójki i w cudzych sukienkach. Przez tę dwójkę, której nie było, nie śmiałam się w ogóle. Poszłam na pedagogikę. Tam studiowali tylko opóźnieni i biedni. Trzy lata paradowałam po deptaku w tej samej czarnej sukience, która w końcu świeciła na moim tyłku jak psu jaja. Kikiego poznałam na tej zafajdanej uczelni, pobraliśmy się, a potem... i tak dalej. A mój Kiki to nieudacznik. Bez kasy, jeśli nie sprzeda jakiegoś kradzionego garnituru. Więc Aki wlecze się przez studia jak kot z przetrąconą łapą, bo nie stać nas na zapłacenie pięciuset marek za każdy egzamin. O tym właśnie wam mówię. I mnie, i was powinien ktoś spytać, dlaczego się nie zabijemy. Ja przynajmniej próbowałam. A wy, kutasy, nie macie jaj nawet do tego. Połknęłam garść tabletek i zasnąłam. No i obudziłam się w szpitalu. Kiki płakał przy moim łóżku. Zanosił się od płaczu. Zdziwiło mnie to. Dlaczego Kiki płacze? Dlaczego mnie nie rozumie, choć gramy w tym samym filmie? Jeżeli on mnie nie rozumie, to kto mnie zrozumie? Dociera do was? A on mnie pytał: „Dlaczego, dlaczego, dlaczego...”.

Wtedy skumałam, wtedy po raz pierwszy, że Kiki i ja to dwa różne światy. Że nasz film nie jest „nasz”, tylko mój. A Kiki gra w jakimś innym filmie. Rozumiecie? Bo gdyby nie, po co miałby mnie pytać dlaczego, dlaczego, dlaczego... Jak w ogóle mógł mnie o coś ta-

kiego pytać? Dziwi mnie, doprowadza do szału, dlaczego wszyscy Chorwaci, wszyscy mieszkańcy Republiki Chorwackiej się nie pozabijają?! Po cholere czekają? Na co czekają? Hej, czemu się nie pozabijacie? Czy to nie odjazd, czysty odjazd żyć tylko po to, by Bóg nam zesłał lekką śmierć?! Czy to nie chujoz? Owszem! Tylko wy o tym nie myślicie. Jesteście głupi jak but i dlatego się nie zabijacie. Co was takiego dobrego spotyka? Co was dobrego czeka? Nowe wybory?! Na to czekacie?! Cha, cha, cha... Zdechłabym ze śmiechu, gdybym się normalnie śmiała. Ale się nie śmieję z powodu tej lewej górnej dwójki, którą mam, lecz ciągle wydaje mi się, że jej nie mam.

56 Trochę jestem zmęczona, ale nie chce mi się spać. Mam ochotę przytomna doczekać dzwonka do drzwi. Tak. Leżę wypacykowana, puder w płynie, szminka, maskara, tylko z pidżamy wskoczę w dżinsy. I złapię Mikiego za jaja. Myślałam, że lewą ręką, ale lewa ręka mnie coraz bardziej i bardziej boli. Przez ten poranny wypadek. Było mi przykro, kiedy mnie obudzili, w szpitalu. Prawdopodobnie czuje się tak każdy, kto nałyka się tabletek albo jakiegoś innego świństwa. Akurat – podoba mi się to „akurat” – akurat chcesz coś zmienić w życiu, a oni ci płuczą żołądek. No i rozmawiają z tobą. Ze mną gadała młoda lekarka. Wielkie niebieskie oczy, chuda blond suka. Wysoka.

– Ja panią rozumiem. Życie jest dzisiaj ciężkie. Nie tylko dla pani, dla wszystkich. Ale dlaczego pani nie myśli o swoich najbliższych, którzy tak panią kochają?

Co ty powiesz?! Dlaczego moje gówniane bidowanie na tym padole też – jakie świetne słowo „bidowanie” – miałoby być afrodyzjakiem dla moich najbliższych?! Dla kogo żyję? Czyim życiem jest moje życie?

Moim życiem! Moim! Co jest moje, jeśli moje życie nie jest moje? Czy mam jakiegokolwiek prawa? Jeżeli nie mam prawa do śmierci, to do czego mam prawo? Do życia, które by miało uszczęśliwiać moich najbliższych?! A co, jeśli mam w dupie moich najbliższych? A co, jeżeli chcę dogodzić sobie? I zasnąć?! Na dobre?!

Dobija mnie cholerna bezsenność! Dobija! Nie wiem jak wy, ale ja dostaję kurwicy, kiedy nie mogę zasnąć. Mogłabym całe życie spędzić na czuwaniu. I tak je spędzam. Ci starcy na ekranie szlochają i szlochają. Szlochają. Mieszanka płaczu, cichego łkania i mocnych, przenikliwych dźwięków, ale nie krzyków... Szlochają i szlochają.

– Kiedy po raz pierwszy przyszło pani do głowy żeby...? – spytała mnie lekarka.

– Kiedy po raz pierwszy przyszło mi do głowy, żeby się zabić? – dokończyłam.

– Właśnie – powiedziała lekarka.

– W dwunaste urodziny – odparłam.

– Dlaczego? – spytała lekarka.

No i widzicie. Jakie głupie, głupie, beznadziejne pytanie! Dlaczego? Jaki był powód? Co mi się stało? Czy tort był za mały? Czy mama mnie zbiła? Jak mam wyjaśnić tej schludnej pindzie z jasnoróżowym lakierem na paznokciach, dlaczego chciałam się zabić na dwunaste urodziny? Świętowaliśmy w ogrodzie. Przed suterenką, w której mieszkaliśmy stara, babcia i ja. Dostałam od babci ładną sukienkę, zieloną, i halkę z tiulu, różową. Tort upiekła ciocia Zora, bo moja stara nie umie piec ciasta. Ani babcia. Zdmuchnęłam świeczki, piłyśmy coktę z moimi przyjaciółkami i wtedy przyszło mi do głowy, że to wszystko razem nie ma żadnego sensu. Poszłam do naszej sypialni, sypiałyśmy razem

ze starą, siadłam na małżeńskim łóżku i spojrzałam w lustro psyche. Toaletka-psyche to szafka z lustrem. Nazywa się psyche, bo ma lustro, a człowiek w lustrze szuka swej duszy, psychiki. Siedziałam na tym łóżku i przyglądałam się w lustrze swoim obojczykom. Kiedy byłam dziewczynką, nie była w modzie chudość ani wystające obojczyki. Wtedy modne były obojczyki obrośnięte mięsem i dziewczynki, które mogły nosić sukienki bez halek. Na mnie wisały nawet z halką. Nic nie mogło utrzymać rozszerzanej spódnicy na moich chudych biodrach. Patrzyłam na moje sterczące obojczyki. A mojej najlepszej przyjaciółce Ketii wcale nie sterczały. I kiedy patrzyłam w to lustro, przyszło mi do głowy, że należałoby się zabić. Że nie ma żadnego sensu męczyć się przez całe życie, by na koniec zdechnąć w straszliwych mękach. Widocznie już wtedy przeczuwałam, że nie będę miała kasy na kroplówkę z jakimś narkotykiem. Nie chcę zdychać bez kroplówki. Ale to wszystko nieważne. Chcę powiedzieć coś innego. Dlaczego wtedy się nie zabiłam? Jak odnalazłam sens życia? Po prostu powiedziałam sobie, że jeżeli Ketii nie zadaje sobie pytań egzystencjalnych, a wiedziałam, że moja najlepsza przyjaciółka o nic siebie nie pyta, nie będę ich stawiać ja. Jeżeli Ketii żyje, żyć będę ja. Na świecie tak wiele Ketii nie zastanawia się nad sensem istnienia, więc i ja przestanę przejmować się obojczykami. Ale to było wtedy, gdy miałam dwanaście lat. A człowiek rośnie. Nie jest się takim samym w dwunastym i... Nie powiem wam, ile mam lat. Jeżeli chodzi o moje lata, jestem głową bez języka. Zapewne to głupie, ale dla mnie za tym wyrażeniem kryje się mrok. Absolutna ciemność. „Głowa bez języka”. Mrok! Ta młoda lekarka w białym rozpię-

tym fartuchu zaprowadziła mnie na onkologię. Żeby zobaczyć, jak ludzie rękami i nogami, i głowami bez jednego włosa, walczą o życie. O chemioterapię, na którą ich nie stać, o naświetlania, na które muszą czekać miesiącami. Żeby zobaczyć, że oni nie zadają sobie durnych pytań i nie oglądają swoich obojczyków. Oni, choć tysi, gnijący, pożółkli i biedni, z odciętymi cyckami, z torebkami na mocz, bez kiszek i pęcherzy, oni są przepelnieni radością życia. Radością życia! Dociera do was?! Człowiek musi mieć raka, by zrozumiał, na czym polega radość życia w całej krasie! A ja, dzięki Bogu, żywa i zdrowa, otoczona troską najbliższych, ja wszystko to posyłam w diabły i samolubnie tykam tabletki. Kto mi dał prawo do takiej bezduszności? I pychy? Czy nie mam, po tym wszystkim, choć trochę, choć śladowo, wyrzutów sumienia? Dobrze powiedziane! „Wyrzuty sumienia”. Nie mam. Nie powiedziałam tego tej głupiej lekarce. A chciałam jej wyjaśnić kilka spraw. Chciałam. Była młoda. Na początku krwawej jatki. Chciałam jej powiedzieć: Słuchaj, życie spędzisz wśród takich jak ja. I wśród kolegów, z którymi będziesz walczyć do upadłego o każdy wyjazd na zagraniczne stypendium. Będziesz szukała fachowców, by ci odmalowali oddział. Będziesz mówiła, że znalazłaś „sponsorów”. Kiedy fachowcy odmalują twój oddział, szef przerzuci cię na inny. Nieodmalowany. Za każdy wyjazd na sympozjum dasz dupy albo forszę wyciągniętą od jakiegoś Kikiego, który będzie płakał przy jakiejś Tonce. Będziesz w bólach rodzić. Dziecko będzie głupie po ojcu i bez ambicji. Może da sobie w żyłę już w trzynastym roku życia. W siedemnastym na pewno. Mąż, lekarz, będzie miał nocne dyżury trzy razy w tygodniu oraz w weekendy i bę-

dzie rznął pielęgniarki, jak leci. Wszyscy będą o tym wiedzieć. Ty też. Lekareczko, dałabym kupę forsy, naprawdę kupę forsy, by być przy twoim łóżku, jak się przebudzisz, jeżeli zdążą cię odratować, bo lekarze są zreczniejsi niż my, amatorzy, i powiedzą ci: „Proszę pani, moja droga, dlaczego, dlaczego zrobiła pani to swoim najbliższym?”. Pinda, głupia pinda, która niczego nie rozumie. Niczego.

60      Spytajcie kochanego Boga, gdzie jesteście. Tu jesteście? Tu. Muszę wam to opowiedzieć. Na ten temat: gdzie jesteś – tu jestem. Miałam siostrzeńca. Okej. Mam go nadal. Tylko już nie jest mały. A to się zdarzyło, kiedy miał trzy albo cztery lata. Bawiliśmy się w chowanego u mojej szwagierki. Mój szwagier miał ukryć brzdąca, a ja miałam go szukać. Byłam wtedy młoda. „Pełna życia”, powiedziałby ktoś, kto mnie nie zna. Mój szwagier jest kretyńcem. Otóż to. Dokładnie kretyńcem. Nie jakimś wyjątkowym. Zwykłym idiotą. No i ukrył małego Bakiego. Schowanie czteroletniego brzdąca w trzydziestometrowym mieszkaniu traktował jak wojnę. Kwestię życia albo śmierci. Chciał mi za wszelką cenę udowodnić, że Bakiego nie znajde. Że jestem na to za głupia. Schował go do kosza na brudną bieliznę. Ja smarkacza w ogóle nie szukałam. Tylko krzyknęłam: „Biki, gdzie jesteś?!”. A Biki z kosza wesoło zawołał: „Tutaj!”. Szwagier go zlał. Pasem. Myślał, że się ulituję nad bitym dzieckiem. Mały po szóstym czy siódmym chowaniu się ledwo chodził. A ja go dalej wołałam: „Biki, gdzie jesteś?!”. On szeptał: „Tutaj”. Co mi szwagier chciał udowodnić? Co ja jemu chciałam udowodnić? Ludzie są dziwni. Na ogół nie rozumieją się nawzajem. A wam się wydaje, że mnie znacie, bo spędzamy razem tę noc. Część nocy już za na-

mi. Większa część nocy. Wszystko wam opowiem. Jestem językiem bez głowy. Wkrótce Miki zapuka do moich drzwi.

Na czym stanęłam? Aha. Wtedy rozpięłam sukienkę. Od Yves Saint Laurenta. Sukienka była naprawdę szalowa. Miki na mnie patrzył. Kobiety przeważnie nie są pewne siebie. Rzadko która kobieta ma dość ikry, by rozebrać się przed obcym facetem i pierwsza rozpocząć grę. Tylko na filmach. Ale scenariusze do filmów piszą faceci. My kobiety nigdy nie rozbiierzemy się przed nieznanym, nie spojrzymy mu w oczy, nie powiemy do niego: „Zerznij mnie”. A ja powiedziałam Mikiemu: „Zerznij mnie”. Nie dlatego że jestem odważna. Nie dlatego że mam sporo lat i tupetu. Nie. Miałam w dupie, czy mnie zerznie, czy nie. Jasne? Było mi wszystko jedno. Mógł mi powiedzieć: „Proszę pani, to czy sio”, jak to zazwyczaj mężczyźni odtrącają kobietę. Nic o tym nie wiem, nigdy żaden mężczyzna mnie nie odtrącił. Szczęściara? Ślicznotka? Mnie żaden mężczyzna nie odtrącił, bo mnie mężczyźni nigdy szczególnie nie interesowali. Ani kobiety. Kiki po prostu sto lat temu przyprowadził mnie do tego mieszkania. I odtąd jesteśmy razem. Mężczyźni robili do mnie podchody. Wielu. Mężczyźni napalają się na mężatki. Mężatki promieniają. Wysyłają wiadomość: „Nie potrzebuję faceta”. To ich rajcuje. Podrywali mnie. Na obchodach ósmego marca w firmie, na zawodach sportowych, podczas podróży służbowych, przy biurku w firmie, na wszystkich statkach Jadroplovu, bo byłam tam oddelegowana. Ale mnie mężczyźni nie interesowali. Nie kręcili mnie. Nie, nie jestem oziębła. Nie powiem, że nigdy w życiu nie zrobiło mi się mokro w majtkach. Że nie szczytowałam.

61

62 Że nie wiem, co to orgazm. Wy naprawdę nic nie rozumiecie. Mężczyźni mnie po prostu nie interesowali. Są jacyś tacy przewidywalni. Przynudzają. Nie chcę powiedzieć, że są tępi, głupi, nudni, bo to nie byłoby fair. Nie poznałam wszystkich mężczyzn, którzy chodzą po świecie. Mówię tylko o tych, których spotkałam. Chcę powiedzieć, że nie miałam szczęścia. Ale kiedy człowiek mówi „nie miałem szczęścia”, wygląda na to, że za czymś tęskni. Na przykład, szkoda, że nigdy nie spotkałam posiadacza fiuta, który by mnie zwał z nóg. „Zwalić z nóg”. Mocno powiedziane. Żeby było całkiem jasne. Nie miałam szczęścia, a jednocześnie mam to w dupie. Relacji męsko-damskich nigdy nie przeżywałam jak jakichś dramatów. Dla mnie te wszystkie zabójstwa i samobójstwa z powodu miłości czy zazdrości, i ten strach, że zostawi cię ukochany, dla mnie to wszystko jest gówno warte. Zostawi mnie? A niech mnie zostawi! Chuj mu w dupę! Co takiego stracę, jeżeli Kiki mnie zostawi? Okej. Kiki mnie nie zostawi, ja zostawię jego, ale niektórzy ludzie lubią słowo „przypuśćmy”, no więc przypuśćmy, że Kiki mnie zostawi. No i co mi się, do cholery, takiego stanie? Nic. Oprócz tego, że zostanę bez fiuta, który nie jest mi potrzebny. I którego nie chcę. I który mnie męczy. I którego znam od nasady po czubek, no i od nasady w stronę kłaków na tyłku. Mój status się zmieni? Nie będę Zameżną Kobietą, tylko Porzuconą Kobietą. W czym mniemaniu? Waszym? W mniemaniu was wszystkich, którzy jesteście wokół mnie? Już wam powiedziałam, że mam w dupie, co wy o mnie myślicie. Tak więc, mnie mężczyźni nie interesowali. Ale ich pożądanie czasami mnie bawiło.

Nie pamiętam, kiedy faceci przestali się na mnie

gapić. Nie umiałabym powiedzieć, kiedy to się zaczęło. Którego dnia którego roku. To przychodzi jakoś tak niezauważalnie. Kiedy byłam młoda, mini ledwo zakrywało cipkę. Przeważnie chodziłyśmy ubrane w krótki podkoszulek. Wtedy myślałam, że nigdy nie stanę się jedną z tych bab, które patrzyły na mnie wtedy pełne nienawiści. Byłam pewna, że starość dopada tylko innych. Że nogi zawsze będę miała długie, jędrne i szczupłe. Cycki wielkie i sterczące. Oczy bystre nawet o piątej nad ranem po nieprzespanej nocy. Wtedy myślałam, że wszyscy ludzie zasypiają, ledwie przyłożą głowę do poduszki. Raz na plaży w Opatiji zastała staruszka. Przyjechała karetka i ją tam na oczach wszystkich rozebrali, i coś jej robili z ustami. Może wyjmowali sztuczną szczękę. Wtedy pierwszy raz w życiu widziałam starą cipkę. Prawie zupełnie bez włosów. Tylko kilka siwych na wysuszonym wzgórku. Biedna kobieta, pomyślałam. Wydawało mi się, że starość jest rodzajem choroby, że stara wysuszona cipka nie trafi się mnie, tylko wam. I waszym bliskim. Dziś też tak myślę. Kiedy spojrzę w lustro, wydaje mi się, że to, co widzę, zniknie. Że te dwie jasnobrunatne plamy pod oczami są od opalania, choć się nie opalam, że mój tyłek jest gigantyczną pomarańczą z powodu czekolady. Ale nie martwię się zbytnio. Żałuję, że jestem stara, tylko z czysto estetycznych powodów. Rano w lustrze przyjemniej by mi było zobaczyć twarz Aki zamiast mojej. A z drugiej strony nie chcę być młoda tak, jak młodzi są młodzi. Nie chciałabym mieć dwudziestu lat i dawać dupy za każdy egzamin. Dupa nie była kiedyś tak modna jak teraz. Dupy nie były gwiazdami, nie udzielały wywiadów, nie mówiły, co myślą o wojnie, pokoju, turystyce, roz-

członkowi chorwackiego wybrzeża, rozminowaniu i urokach Dubrownika. Dupa to była dupa. Na uczelniach, w biurach, szkołach, kancelariach, w służbowych samochodach, hotelach, między kolanami szefów. Nie było ich znów tak dużo. Za moich czasów niewiele lasek za pomocą dupy przebijało się przez życie. Dziś jest inaczej. I to mnie niepokoi. Okej. Pieprzyć to. Nie biorę udziału w tym wyścigu. Nawet gdybym chciała, to nie mogę swoją dupą niczego kupić. Miki, który zapuka do drzwi jutro rano albo dzisiaj rano o siódmej, nie będzie pukał z powodu dupy. On mnie kocha. Ja mówię o dupie. Dziś w Chorwacji rządzą dupy. W gazetach, w radiu, w telewizji... Piętnastoletnia cycatka na długich nogach daje wywiad na dwie strony o tym, co myśli o Bin Ladenie. Pojedzie na Seszele i zostanie najpiękniejszą dupą świata. I głosić będzie prawdę o Chorwacji. Druga pojedzie na Karaiby. Tam dupą zwróci uwagę na chorwackie pola minowe. Czwarta ruszy do Ameryki i dupą przekazuje Bushowi swoje zaniepokojenie z powodu gwałtownych zamieszek na Bliskim Wschodzie. Dupy, dupy, dupy... Wszystko w Chorwacji kręci się wokół młodych dup. One są na tytułowych stronach, są głównym tematem, wiadomością dnia i breaking news. Nie jestem zazdrosna. I nie uważam, że byłoby lepiej, gdyby na Szeszelach o urokach młodej Republiki Chorwackiej zamiast młodych dup opowiadały spasiono kutasy między młodymi nogami. Nie to chciałam powiedzieć. Okej. Przeszkadza wam takie słownictwo. To zbyt mocne słowa. Chuj. Dupa. Pierdolenie. Kutas. Do tego w ustach kobiety. I do tego w ustach kobiety w latach. Rozumiem. Przyjmuję do wiadomości. Zgadza się. Okej. I pieprzę to. Ale z was gnojki.

Dajecie sobą manipulować. Pozwalacie, by wam, wygodniałym, podrzucali jako temat dnia historię sukcesu jakiejś pindy znad dalekiego ciepłego morza, zamiast ratować własną dupę od głodu. Ale kiedy ktoś wam to powie, kiedy w całkowicie dobrej wierze zwróci wam na to uwagę, kiedy otworzy wam głupie, tępe, ślepe oczy, to wtedy okazuje się, że ten ktoś ma problem! Ja mam problem? Ja?! Bo mówię pizda, chuj, pieprzyć? A wy nie jesteście pełnoletni? Gdybyście byli mali, tobyście już dawno spali. Ale i mali, a nawet ci najmniejsi już w przedszkolu wiedzą, co to jest pizda i chuj. Tylko nie robią z tego afery. Póki są bardzo mali. Póki nie rozumieją. Bo kiedy zaczną coś kojarzyć, starsi im od razu wyjaśnią, co to jest chuj i co to jest pizda, i że pierdolenie jest czymś nieprzyzwoitym. „Nie zwracajcie uwagi”, mówią gościom. „Nie śmiejecie się, to zapomnę”. Nikt nigdy nie napisał, do którego roku życia słowa „pizda” i „chuj” wywołują tylko śmiech. Trzeciego, szóstego, piątego? Wy nic nie kumacie. Na miłosiernego Boga! Kiedy jako mali, śliniacy się smarkacze zgodziliście się wymawiać słowo „chuj” tylko pod nosem i tylko wtedy, gdy nie słyszeli was dorośli, zgodziliście się na manipulację. I chuj, i pizda są tylko początkiem. Tak władza uczy dyscypliny. Później przychodzi czas na następne lekcje. Ucz się, myj ręce, idź na religię, graj na skrzypcach, opanuj solfeż, trenuj piłkę, studiuj, obroń dyplom, nie onanizuj się, graj w totka, wystaw cipę na Karaibach. Kumacie?! Daj! Daj! Daj! No już! Jazda! I mają w dupie, co wy o tym myślicie. Czy was te wszystkie solfeże i pokazywanie wygolonej cipki w ogóle interesuje. Może chcieliście spędzić życie, głaszcząc ciepłe futerko królika. Albo sprzedając herbatę na wiedeńskim tar-



gowisku. Tam jest fantastyczna herbata. Jest też grecka restauracja, w której Amerykanka z Florydy podaje śniadanie w południe. I możecie tam kupić buty z magazynów amerykańskiego wojska. I używane. I nowe. Nie ma różnicy w cenie. Okej. Rozumiem. Zaczyna was wkurzać moje nocne kazanie. Ale co ze sobą poczniecie, jeśli mnie wyłączycie? Jak przetrwacie noc? Co, u diabła, będziecie robić do rana? Co będziecie robić rano? Co w ogóle robicie? Hej, Chorwaaaciiii! Okej. Nie wszyscy jesteście Chorwatami. Okej. Nie chodziło mi o Chorwatów. Miałam na myśli obywateli Republiki Chorwackiej. A co, jeśli mnie słyszają i ci za miedzą? Dlaczego nie powiem czegoś po słoweńsku? Może słyszają mnie też Słoweńcy? Okej. Super! Lubię, jak jesteście uszczypliwi i w dobrym nastroju. Nie znam słoweńskiego. I mam gdzieś Słoweńców. Zaraz, chwileczkę. Czy przyszło wam do głowy, że macie świetny nastrój, bo jesteście ze mną? Że mój dobry humor jest zaraźliwy? I teraz wasza śpiączka nie jest już taka głęboka. Zdziwiałam, jak bezkolejnie radzicie sobie z życiem. Bez paniki?! Bez krzyków?! Bez złości?! Nawet nie macie ochoty wyjść ze swoich klatek, za które płaciliście już setki razy? Dlaczego nie zorganizujecie się w trójki, dwójki, czwórki? Dlaczego nie wyciągniecie z szaf i piwnic granatów i pancerników?! I nie powybijacie tych gnid, które was ruchają z telewizyjnych ekranów?! Okej. Nie teraz! Nie w tym momencie! Ten Płaczliwy Wór wciąż pokazuje uchodźcom wygolone nogi. Chuj z twoimi łzami, pindo! To przestępstwo?! To, do czego was namawiam. Co to?! Wzniesienie powstania?! Burzenie ładu publicznego?! Rewolucja?! Sianie nienawiści?! Jeszcze na mnie doniesiecie, gadziny. Zapominacie,

że jest noc, że to tylko rozmowa, że nikt nas nie słyszy. Że Oni nas nie słuchają. Oni wszystko słyszą. No proszę! I wy macie paranoję? A mnie, gdy byłem w szpitalu, powiedzieli, że paranoja jest chorobą. Że lch nie ma. Że tylko mi się wydaje. Że to typowe dla tej choroby. I że Oni odejdą, jeżeli będę potulna, łagodna i regularnie brała leki. Czyli, moi drodzy, albo jesteście chorzy i Oni są, albo lch nie ma. Nadążacie? Nadążacie. Okej. Zgoda. Jeżeli lch nie ma i istnieją tylko w takich stukniętych głowach jak moja, to wyjaśnijcie mi, kogo chcecie zabić, kogo chcecie zniszczyć, komu wsadzić w usta pancernika, o ile w ogóle da się wsadzić do ust pancernika? O tak. To jest właściwe pytanie. Okej. Jeden zero. Albo dwa zero. Albo dziesięć zero!!! Okej! Wykrzykuję to okej, żebyście mnie lepiej słyszeli! Tak wam zależy, by ze mną wygrać?! Udowodnić, że macie rację?! Po co? Chrzanię was. To tylko rozmowa. Nie mam guli w gardle. Mówię wam, co myślę. To jest wolny, demokratyczny kraj. Nie gorączkuję się. Nie trzęsą mi się ręce. I nie pocą dłonie. To wy macie problem. Sądzą, że wasz nędzny żywot ma sens. No, dalej. Zamieniam się w słuch. Nie mówię, że powinniście wpakować sobie kulę w głowę, w której brakuje połowy zębów! Nie namawiam was do niczego. No nie, nie chrzańcie! Nie sprzedaję wam swojej recepty. Nie jestem wzorem do naśladowania. Spudłowałam. Otrzeźwiło mnie. Słucham was. Słucham. Słyszycie?! Słucham! Kiedy po raz ostatni ktoś was słuchał? Po prostu słuchał? Nie czekał, żebyście zamknęły ryj, a on mógł wreszcie otworzyć swój. Czy przyglądacie się swoim dzieciom, kiedy do nich mówicie? Kiedy ja mówię coś do mojej Aki, ona na mnie patrzy, a kciukiem stuka w komórkę

i wysłała esemesy. „Mów, mów. Ja cię słucham!”. Więc mówię. Nie chcę, by pomyślała, że wiem, że mnie nie słucha. Kumacie. Nie chcę, by jej było przykro. Zachowuję się tak, jakby Aki była kimś, kto mnie kocha. Gówno tam mnie kocha. Ma mnie w dupie. Ona ma swoje życie, o którym nic nie wiem. Bo nigdy nie słucham, co ona do mnie mówi. A mówi. Lubi ze mną rozmawiać. Mówić do mnie. Ale nie lubi, kiedy jej odpowiadam. Bo ja nie odpowiadam, ja mówię. Każda z nas jest z innej bajki. Każda gada swoje. Kiedy byłam mała, mieliśmy w szkole lekcje wychowania muzycznego. Nigdy nie miałam drygu do muzyki. Miki lubi muzykę. Nie Kiki, Miki! Dobra, Kiki też lubi muzykę! Ale Miki się na niej zna. Nie umiem włączyć kompaktu. Ani wideo. Ani telegazety. Ani komputera. Ani serfować. Ani czatować. Ani wysłać e-maila. A mamy komputer i laptopa. Wszystko mamy. Wszystko kradzione. Komórka też. Nie mam komórki. I nigdy nie będę jej mieć! Dźwięki to dla mnie koszmar. Wszystkie. Nienawidzę muzyki. Żadnej. I dźwięku telefonu. I komórki. I bzyczenia wielkiej, tłustej czarnej muchy. Gaszę wtedy w sypialni światło, a zapalam w przedpokoju, więc kiedy to tłuste ścierwo ruszy do światła, zamykam drzwi sypialni, zapalam światło i słucham, jak gadzina tłucze się o szybę w drzwiach. Na próżno. Lubię ciszę. Ciszę. Bez kompaktów, much, komórek, ludzkich głosów, wesołego dziecięcego szczebiotu, trąbek, cheerleaderek, marszów, maskarad. Tylko ciszę. Ciszę. Tak. Nie lubiłam lekcji muzyki. No i w czwartej klasie podstawówki dostałam pałę z dyrygowania. Tłumaczyłam starej, jak trudno jest dyrygować. Pojedynczy, potrójny, poczwórny – chodzi o takt. Machaj, zawsze inaczej i nie wiadomo po co.

Tłumaczyłam starej, jaką męką jest dyrygowanie, które zupełnie mi nie wychodzi. Nie słuchała. Powtarzała tylko w kółko: „Pała z muzyki?! Ty naprawdę nie jesteś normalna! Nie jesteś normalna!”. Wtedy sobie przysięgałam. Nie wierzycie? Teraz wam opiszę kuchnię, w której wtedy sobie przysięgałam. Mówiłam wam, mieszkaliśmy w suterenie. I z kuchni patrzyłam na ludzkie nogi, jak wchodzić i schodzą po schodach. Patrzyłam na ludzi tak jak ten kot z kreskówek na nogi grubej Murzynki. Widać tam tylko grube nogi tej Murzynki. I ja oglądałam tylko nogi. Grube. Chude. Męskie. Damskie. Dziecięce. W zimie ubrane. Gołe latem. Ludzie zawsze coś rzucali pod okno sutereny, gdzie mieściła się nasza kuchnia. Tak jakby to okno nie było oknem naszej kuchni. Tylko piwnicy, w której są szczury i drewno na opał. Ale nie to było najgorsze. Faceci bez przerwy pluli pod to okno. A raczej charkali. Na ten dźwięk, w ogóle nie lubię dźwięków, ale gdybyście mnie spytali... Gdybyście spytali, jaki jest najohydniejszy dźwięk, to nie odpowiedziałabym, że syrena alarmowa. Choć słyszałam ją w czasie wojny. To było straszne. Raz syrena zawyła, kiedy siedziałam na grzejniku i coś czytałam, a Aki była w szkole. I to było potworne. Ta świadomość, że spadną bomby na Miasto, a Aki i ja zginiemy z dala od siebie. Ona w szkole, ja na tym grzejniku. Nie wiedziałam, nie mogłam wiedzieć, że syrena może oznaczać bomby, ale nie musi. To była moja pierwsza wojna. Okej. To było straszne. A jednak to, o czym wam opowiadam, było gorsze. Kiedy ci faceci przystawali pod naszym oknem, chrzqkali, charczeli, bardzo się starali, by jak najwięcej wy-

ciągnąc z zatok albo z jakiejś innej dziury w głowie, a potem spluwali tym pod nasze okno. Moja stara gorącą wodą ciągle szorowała i zmiatała miotłą to, co nam ci faceci zostawiali. Dobrze. Opiszę wam naszą kuchnię. Siedziałam w kącie, a stara przy kuchence węglowej. Palił się ogień. Okej. Mogłabym powiedzieć, że ogień palił się wesoło, ale nie. Gdyby tak było, tobym wam powiedziała. Stara na mnie patrzyła, a ja patrzyłam na nią. No i wtedy powiedziałam jej o tej pale z muzyki. A ona odpowiedziała to, co już wam mówiłam. No i sami widzicie, że to prawda. Wtedy przysięgłam sobie, że będę słuchać swoich dzieci. Słuchać. Właśnie słuchać. Że będzie mnie interesowało to, co mi będą mówić dzieci. Że nie będę nieobecna duchem. Że nie będę tylko patrzyła. Że moje dzieci i ja będziemy w tej samej bajce. No i widzicie. Co znaczy przysięgać samej sobie. I ile jest warta własna przysięga. Nic. Pierdnięcie. Nie słucham Aki. Nigdy. I nigdy jej nie słuchałam. Najmilsze dni z Aki to te, kiedy leżała chora w łóżku, z gorączką, a ja oglądałam włoską telewizję. Pronto, Rafaela! Wtedy myślałam, że istnieje więcej niż jedno życie. Że moje życie z małą Aki i Kikim, który wtedy był referentem w Departamencie Obrony Cywilnej, ale dostał wypowiedzenie i teraz handluje krawatami i garniturami, ale to już wicie, otóż że to życie z małą Aki i Kikim jest czymś tymczasowym. Że to minie. Jak pryszcz ukryty w brwiach. A wtedy zacznę wszystko od początku i będzie „Pronto, Tonka!”. I będę patrzeć w kamerę i mówić z uśmiechem: „Pronto, pronto!”. Lubiałam chodzić z Aki na górę piachu, wtedy wokół tego bloku była budowa, mała godzinami tarzała się w piachu, a ja byłam wtedy w innym życiu. Życiu bez Aki, bez Kikie-

go, bez kredytów, bez chodzenia do biura, w którym wszystkie kobiety szydełkowały i robiły na drutach, oprócz mnie. To okropne uczucie. Kiedy jesteś osaczona przez ekspertów. Kiedy ktoś w ciągu pięciu minut może z moheru wydziergać pająka, jakiego ty nie zrobisz, nawet gdybyś miała trzy życia. To mnie dobijało. Moja koleżanka Koka w osiem godzin, jeżeli nie szła na drugie śniadanie, robiła biały szal moherowy. Szal był wielką pajęczą siecią, śnieżnobiałą, a w tej sieci snuły się wielkie, misterne pająki. Istne arcydzieło. Oczywiście, że nie lubię pająków. Mam długą teleskopową miotłę i daję im popalić, jak tylko nadarzy się okazja. Nie w tym rzecz. Niektórzy twierdzą, że zabijanie pająków przynosi pecha. Należy je delikatnie wyrzucać przez okno. Okej. Róbcie, co chcecie. Ja też nie zawsze masakruję pająki. Kiedy jestem roztrzęsiona, podenerwowana, wtedy łapię je za nogi i wyrzucam. Kiedy nie jestem rozdrażniona, kiedy jestem pewna siebie, wtedy... wtedy urządzam im jatkę. Coś mi się przypomniało. Powiedziałam wam, że łapię pająka za nogi... W Jadroplovie pracowało wiele kobiet. Było tam pełno myszy. W tym starym budynku. Wtedy Živko, tak, nazywał się Živko, sekretarz samorządu pracowniczego... Widzicie, dopiero teraz uświadomiłam sobie, że może to był Serb? A może i nie. Ten katolicki kaznodzieja, ten co wciska nam kit w gazetach, też ma na imię Živko, ale chyba nie jest Serbem. Zresztą nieważne. Živko wysmarował klejem papierowe tacki, położył na nich kawałki sera i słoniny, no i myszy wpadały w pułapkę. Od ich pisków ciarki przechodziły po plecach. Raz złapały się trzy małe myszki, i wtedy stara mysz albo samiec polecili im na pomoc, no a potem tej starej myszy na pomoc przygnął

samiec albo temu samcowi na pomoc przybiegła mysz, złapała się cała rodzina. Okej. Nie dlatego wam o tym mówię. My tam mieliśmy i dentystę, i lekarza, i bufetową. I tanią kawę. I ta bufetowa weszła rano na zaplecze i zobaczyła na tacy trzy małe, przyklepione myszki. I dwie większe przyklejone myszy. Rodziców. Okej. Nie musicie mi wierzyć. Nie będę przysięgać, że mówię prawdę i tylko prawdę. Nie trzymam Pisma Świętego na nocnym stoliku, więc nie ma na czym położyć ręki. Poza tym wiecie, co myślę o przysięgach i ślubowaniach. To prawda. Ona tym myszom odcięła nogi, „by się nie męczyły”. „By mogły pójść tam, gdzie chcą”. Ona je wyzwoliła. Co wam to przypomina? Nic? I teraz powiedzcie mi, udowodnicie, że ludzie nie są głupi! Głupi jak but! Męczyło mnie, że nie umiem robić na drutach. Że jestem autsajderką. Że mi nic nie wychodzi. Tania potrafiła w ciągu pięciu godzin pracy wydziergać trzy pary kapci na szydełku. Wtedy zatrudniła się u nas Goca. Dziś też ją czasem widuję na ulicy. Dostała wymówienie. Wzięła mnie wtedy pod swoje skrzydła. I z wielką miłością oraz cierpliwością, anielską cierpliwością, udowodniła, że kiedy się człowiekowi chce, wszystko jest możliwe. No i ja na jedną Wielkanoc własnoręcznie, tak, własnymi palcami, z jaskrawożółtej wełny moherowej zrobiłam na szydełku sześć kapturków na jajka. W kształcie kurczaczek. I na dodatek każdemu kurczaczekowi zrobiłam jedno czarne oko, ze zwykłej wełny, i czerwony dziób. Z moheru. A potem małe kurczaczki włożyłam na sześć wielkich jajek. Poczulałam się dobrze! Dobrze! Po prostu dobrze! Jak po orgazmie. Tuż po orgazmie. Nie pięć minut później. Bo wtedy dociera już do twojego mózgu, że

trzeba ruszyć dupę, wyjąć kurczaka z zamrażarki, wyprasować koszulę na jutro, pozmywać naczynia, jeśli bzykałaś się po obiedzie, wyciągnąć z kosza na bieliznę wszystkie skarpetki i spróbować znaleźć sześć skarpet, żeby skompletować trzy pary. Po co wam opowiadam o żółtych kurczaczkach? No tak. Te kurczaczki mnie rozczuliły. Wróciły miłe wspomnienia. Nie jestem już zła. I nie chcę wam więcej mówić, jakim gównem jest wasze życie. Macie rację! Kimże ja jestem, by pluć na wasze życie?! Może wam jest dobrze! Może macie w dupie szczegóły. Może wcale nie jesteście tak surowi i nabzdyczeni. Nie wszyscy ludzie są tacy sami. I nie musicie patrzeć na świat moimi oczami. Jestem agresywna. Walę prosto z mostu. Jestem taka sama jak Oni, o których wam mówię. Ci, którzy może są, a może ich nie ma. Może Oni nie istnieją? Może istniejemy tylko my? Może każdy jest kowalem własnego losu? To wbijano nam do głowy w ogólniaku. Może rozmowa o „Onych”, którzy robią nas w konia, to alibi dla nas, tchórzy, którzy nie mają jaj, by wziąć życie w swoje ręce? „My”? „Nas”? Dlaczego nagle „ja” to „my”? Macie rację. Okej. Widzicie, jaka jestem dobra. Zawsze czuję się dobrze, kiedy uznam jakiś swój błąd. Albo pomyłkę. Kiedy komuś przyznam słusność. Męczy mnie walka. Wkurwia mnie. „Zmęczony jestem, przyjaciele, zmęczony...”. Tę piosenkę puszcza mój Kiki, kiedy myśli, że nikt nie słyszy. Kiedy myśli, że ja tego nie słyszę. Innym podoba się ta piosenka. Innym? Naszym przyjaciółom. To są ci „inni”. Tak. Mamy przyjaciół. Ale nie będę ich teraz wyliczała z imienia. To nic wam nie powie. Oni mnie nie rozumieją. Niczego nie kumają. Sądzą, że ludzie są z gruntu dobrzy. Że całe to zabijanie, ta rzeź wokół nas, ta

wojna na Bałkanach albo u Talibów, albo na jakimś innym zadupiu, sądzą, że to zadymy, którym da się zaradzić. Że wojna wybucha, kiedy należy rozwiązać jakiś problem. Że wojna jest zawsze czymś przejściowym, dopóki sprawy się nie załatwi. A sprawa jest, kiedy napadają na nas Serbowie i chcą nas wyciąć w pień. A my chcemy się tylko bronić. I pozostać u siebie. A kiedy to my wybijamy Serbów w chorwackich miastach, kiedy ich wywlekamy z ich mieszkań do piwnicy albo na łakę i pakujemy im kulę w tył głowy, to jest wojna obronna. I kiedy drutem krępujemy im ręce na plecach i wrzucamy ich do rzeki, która płynie pod naszym mostem, to również jest obrona własna. Ale kiedy grabimy ich dobytek i palimy im domy, to są następstwa. Bo oni pierwsi zaczęli. A jeżeli „oni” pierwsi zaczynają, wtedy wszystko inne jest odpowiedzią sprawiedliwego, który jest u siebie. Wy tylko bronicie swego. Nie powiem: „my” bronimy swego, bo ja z powodu pierdolonego Živka nie mogę się wciskać między was. Wy nie możecie stać z założonymi, lepiej, ze skrzyżowanymi rękami, kiedy czetnik rżnie waszą matkę. Kumam. Tu się zgadzamy. Mniej więcej. Tak uważają wszyscy moi przyjaciele. Rozumiem, że jakiś koleś może w centrum Zagrzebia zabić młodą dziewczynę i wrzucić jej ciało do jamy, dlatego że jest Serbką. Mogę zrozumieć, że macie to w dupie, bo jesteście Chorwatami, bo była wojna i takie były czasy. Każdy ma prawo do własnej opinii. Zresztą na zdziczałych Bałkanach nigdy pokoju nie było. I nie będzie. Dziś ich dziewczynkę, jutro moją Aki ktoś w środku Miasta dźgnie nożem albo kutasem. Rozumiem. A jednak nie mogę znieść, kiedy przyjeżdżają ci z Europy i zaczynają mi wmawiać, że wszystko to wokół

nas dzieje się tylko dlatego, że jestem córką Živka. Te go nie lubię. To mi się nie podoba. Nie wierzę w to. Że mój Živko to bydlak. Jedyne na kuli ziemskiej. Myślę, że my wszyscy jesteśmy takim Živkiem. Wojna, przemoc, rzeznie, gwałty, podrzynanie gardeł, wyłupywanie oczu i jebanie cudzej matki od tyłu. To jest prawdziwa ludzka natura. A wycieranie nosa w papierową chusteczkę, niepalenie w autobusie, nieplucie na podłogę, niewbijanie sąsiadowi noża w plecy – to jest przymus. Dyktatura. Czyja? Onych. Kim są Oni? Nie słuchacie mnie. Oni są naszymi władcami. Oni to ci, którzy wydają nam rozkazy: „Podrzynaj!” albo „Wycieraj nos!”. Podejrzewam, że i Aki, i Kiki, i Miki, i moja stara, i ja jesteśmy mordercami. Tylko dajcie nam ku temu sposobność. Każdy z nas znalazłby gdzieś oko, które by wyłupił z czyjejś głowy, albo potylicę, w którą by wpakował kulę, albo tyłek, w który by wbił chuja, z nienawiści. Wojna jest czymś takim, w czym każdy normalny człowiek czuje się jak ryba w wodzie. Normalny człowiek! W swoim domu. Każdy, do kurwy nędzy. I pieprzony Amerykanin, i Norweg, i Włoch, i Niemiec, i mój parszywy Živadin. Wszystkim nam robi się ciepło na sercu, kiedy zarzynamy cudze córki. Czujemy się dobrze, spuszczeni z łańcucha. Wreszcie jesteśmy ludźmi. I tylko ludźmi. Jedyne szkopuł w tym, że wojna ma swój koniec. Pewnego dnia panowie zdecydują. Zabrać wiaderka, wyjąć łopatki z piasku. No i jest chryja. Bo nas już poniosło. Teraz, kiedy jest najfajniej, kiedy podpaliśmy szósty dom i wynieśliśmy dziewiątą lodówkę, zerznęliśmy małą na progę... Koniec. Koniec? Jak to koniec?! Jakie „reguły gry”? Ktoś nam mówi, że piasek latał za wysoko albo za daleko. Nie ma wszystkich wiaderek. Raptem dymanie

ich córek nie jest normalne. No właśnie. Tego nie lubię. To obłuda. Ludzie zawsze komuś gwałcą małąletnią córkę albo jebią od tyłu waszą starą. Widziałam, że ludzie w czasie wojny czują się komfortowo. Ogromna większość. Wszyscy normalni ludzie czują się dobrze podczas wojny. Dobrze. Właśnie tak, dobrze. Wielu. Możesz wrzeszczeć, śpiewać patriotyczne pieśni, machać pięknym sztandarem, zatknąć go na dachu, wielki, niech sobie powiewa, możesz zarzywać, możesz kraść, możesz wyciąć w pień pół miasta w imię prawdy i sprawiedliwości. I byłoby super, gdyby wojna trwała wiecznie. Ale nie trwa. I dlatego jesteśmy w kłopotach. I wy, i ja. Zdecydowali, że wojna się skończyła. A wam się wydaje, że wojnę prowadzi prezydent i że pokój ustanawiają dwaj prezydenci. Jesteście stuknięci. Prezydenci tylko podpisują. Nie decydują. Clinton nie decydował nawet, która dziwka mu obciągnie. Przeprowadzano mu je według kryteriów jego mocodawców. Prezydenci?! Prezydenci to jarmarczne niedźwiedzie. Kto tak naprawdę pociąga za sznurki? Kto rozkazuje Clintonowi i naszym bosom? Ci sami, którzy nam kazali wskoczyć do piaskownicy, rozdali wiaderka i grabki, a teraz nas przeganają. Koniec. Fajrant. Time out. I jeszcze nas opierdalają. Mówią, że nienormalna była aż taka rzeź. A jaka jest normalna? Tego nie mówią. Wpędzają nas w poczucie winy. Narzucają nam pokój. A my byśmy się jeszcze pobawili. Do śmierci. Ale nie. Teraz musimy odpowiadać na ich pytania. Kto zerznął starą babcię bez lewej nogi? Czyja żona przyjęła dziewięć kutasów w ciągu jednej nocy? Czyje były te kutasy? Nasze? Ich? Czy dziewięć to za dużo? Czy za mało? A może to jest właściwa liczba? Dziewczęta musiały

obciągać pijanym żołnierzom. Ilu było żołnierzy? Jak to możliwe, że byli pijani? Dlaczego byli pijani? Gdzie był ich dowódca? Kto był pułkownikiem? A właściwie dla kogo to jest ważne? Co kogo obchodzi wyjebane dziewczynki i poderżnięte gardła? Czy wyjebane dziewczynki mogą chodzić tak, jakby nigdy sto chujów nie przewaliło im się między nogami? Nie mogą. Co wtedy? Jaki sąd może zabić tyle wyjebanych małych cipek? Żaden. Bawią się nami. Nasi panowie i władcy się bawią. Najpierw pozwalają nam być tym, kim jesteśmy: gwałcicielami, nożownikami, jebakami, grabarzami, podpalaczami, dusicielami, ludźmi... Ludźmiiii!!! A potem w ciągu jednej nocy musimy zacząć wycierać nos w chusteczkę. Nie wcisną mi tego kitu! Wiem, że są ci, którzy zaczynają i kończą grę. I wiem, że teraz jest koniec. Nie możemy już rozmawiać przez komórkę podczas jazdy samochodem. Ani palić w salach konferencyjnych. Oni muszą odechnąć. Odpocząć. Podzielić łupy. W spokoju jebać młode aktywistki, przecinać szarfy w narodowych barwach chorwackich albo jakichś innych i tupać na gołe nogi laski, która podaje im nożyczki. Bez dymu i bez czołgów, i bez rakiet, i bez noży. Mogą zapraszać dzieciaki na jacht i rznąć je na pokładzie. Albo je zabierać na polowanie na tygrysy. I w cieniu namiotu wciskać chuja w ciasne szparki. Mogą w aureoli chwały robić sobie zdjęcia z żoną, której nie ruchali od dziewięciu lat, ale tej pani to nie przeszkadza, bo ją dupczy dwudziestoletni smarkacz za jedyne tysiąc marek miesięcznie. Czegóż nie robiliśmy, wy i ja, i mój Kiki, i Miki, i wszyscy, których znam, by ten stary pierdziel, który właśnie spogląda na mnie z ekranu, mógł chrzanić, czego to się nie wyrzeknie na czas wielkiego

postu. Czy po to podpaliliście tysiące domów, zabiliście miliony ludzi, wyruchaliście tysiące dzieci, by ten stary ramol, trzymający starą żonę za rączkę, truł, co jej kupi pod choinkę? Kumacie? Bawią się nami. Cała ta wojna była po to, by to tłuste, bogate stare próchno mogło się wśliznąć między nogi mojej i waszej córki. Za sto marek. Wszystkie wojny na ziemi prowadzone są tylko po to, by szubrawcy posuwali nasze córki za friko. Odbija mi, kiedy słyszę, że my tutaj jesteśmy „Bałkańcami”. „Dzikusami”! Tylko my podrzynamy gardła, gwałcimy i podpalamy. A Amerykańcy w Afganistanie? Ci fuckerzy nie gwałcą i nie podpalają?! Jak oni wsadzają komuś fiuta w dupę, to nie jest jebanie, tylko szerzenie demokracji. Wkurwiają mnie takie teksty! Amerykańcy zrzucali bomby na Belgrad... No, nie drzycie się! Nie wrzeszczcie! Amerykańcy mieli rację! Niechby ich... Okej. Okej! Mieli rację! Przecież krzycze! Czy wy, kurwa, jesteście głusi? Nie mówię, że Amerykańcy nie mieli racji! Niech szlag trafi waszą głuchotę! Teraz będę do was mówić powoli. Amerykańcy zrzucali bomby na Belgrad. No, ciszej tam. Zrzucali jakieś bomby, z jakimś zimnym albo wzbogaconym, albo zubożonym uranem, który wywołuje raka. Niech ich zeżre rak! Niech ich zeżre rak! No, niech ich zeżre, ale nie o tym mówię. Kit im w oko! Co innego chcę wam powiedzieć. Ci sami Amerykańcy, którzy zrzucali na Belgrad bomby wywołujące raka, dzisiaj w Belgradzie zbierają kasę na pomoc dla dzieci chorych na raka. Wyszukują w Belgradzie tyse dzieci, biorą je na kolana i robią sobie z nimi zdjęcia, zatroskani spoglądają w kamerę i wołają o pomoc! O tym wam mówię! Jak ich robią w konia! Jak was robią w konia! Was i mnie! Ja przynajmniej skumałam,

że mam chuja w tyłku. Stale! Na zawsze! Ale do was nic nie dociera. Tylko czujecie się winni za wszystko, co zrobiliście podczas wojny, tak jakby wojna była czymś nienormalnym i szalonym. No i teraz, pełni wyrzutów sumienia – cudne wyrażenie „wyrzuty sumienia” – z wielkim kutasem w tyłku posypujecie głupi łeb popiołem i odbudowujecie domy, które z lubością podpalaliście, a których może byście nie podpalili, gdybyście wiedzieli, po kiego diabła zeście podkładali ogień. To jest to! Gdybyście byli mądrzy, a nie jesteście, wy głupi nosiciele kutasa w tyłku, bylibyście innymi ludźmi. Ja to kumam, ale nic mi to nie daje. Nie wykorzystuję swojej rozległej wiedzy. Gdybyśmy byli mądrzy, wy i ja, wy nie bylibyście wami, a ja nie byłabym mną, tylko bylibyśmy nimi. Wstrętnymi ryjami z ekranu. Wtedy mój Kiki rznąłby młode ciało, no i jakieś młode ciało rznąłoby mnie. Albo i nie. Ale miałabym prawo wyboru. Wybór! Wolność jest prawem wyboru. Jebać! Albo być jebanym! Mieć prawo wyboru! Wy go nie macie! A mnie to prawo odebrali. Kiedy mnie przebudzili w tym cholernym szpitalu. I to mnie gnębi.

A teraz wam powiem, jak się pierwszy raz pieprzyliśmy, Miki i ja. To wiele znaczy dla stosunków męsko-damskich. To nic nie znaczy dla stosunków męsko-damskich. Kobiety przeważnie nie mają orgazmu, bo to nie takie łatwe trzymać w ręku nieznajomego fiuta, a mężczyźni przeważnie tak, ale dręczy ich pytanie, czy byli dobrzy, bo myślą, że ona była w siódmym niebie, skoro darła się wniebogłosey, choć przeczuwają, że jednak było inaczej. Dobija ich ta niepewność. Dlatego ona zaklina się, że było super. No właśnie, super. Palce lizać, jak by powiedział mój przyjaciel ze Splitu,

którego uwielbiam, ale on nie jest istotny dla tej opowieści. No więc tak. Rozpięłam sukienkę, pokazałam cycycki w czarnym staniku, a także jedwabne body i rajstopy. Na filmie Miki oszalały z namiętności skoczyłyby na mnie, zerwał ubranie, rzucił na fotel i wsadził mi kutasa. On by jęczał, ja bym jęczała, a potem razem – pieprzyć orgazm, jeśli nie jest wspólny – krzycząc, osiągnęlibyśmy szczyty rozkoszy. W filmie. Ale my nie byliśmy w filmie, a Miki nie jest szalonym Clintem Eastwoodem, który bzyka muchy w locie. Miki to adwokat, który – wtedy tego nie wiedziałam – nie ma kasy nawet na zapłacenie składki izbie adwokackiej. Jest więc dobrze ubraną myszą kościelną. Filmy potrafią namącić człowiekowi w głowie. Miki tylko się we mnie wpatrywał.

80

– Nie rozumiem – rzekł, kiedy mu powiedziałam: „Zerznij mnie”.

– Zerznij mnie – powtórzyłam.

Wpatrywał się we mnie. Nie że bez zainteresowania, to nie, tylko tak jakoś z zakłopotaniem. I jeszcze zerkał w stronę okna. Mimo że żaluzje były prawie zamknięte. Nie czułam się głupio. Już wam mówiłam. Było mi wszystko jedno. Jeżeli mnie zerznie, to dobrze. Jeżeli mnie odtrąci, też dobrze. Miki mnie nie odtrącił. Tylko powiedział: „Nie rozumiem”. Odbił piłeczkę. No i musiałam wyjaśnić, co autor miał na myśli. To dla mnie najtrudniejsze. Pisarz przeważnie nie ma nic na myśli. Pisarz pisze, wyjaśnia ktoś inny. Jego zamysł. Nić przewodnią. Ja byłam w tej historii pisarzem. A miałam też być jeszcze „wykładowcą języka chorwackiego i serbskiego”. Tak mam wpisane w dyplomie. Po tej pedagogice... Obciach. Więc chwilę na niego popatrzyłam, w rozpiętej sukni, w tym idiotycznym stani-

ku, body i rajstopach. Czułam się jak ci zboczeńcy w parku, kiedy rozchyłły poły płaszcza i pokażą zakonicy swojego wielkiego kutasa, a ona, zamiast wrzasnąć przerażona i złapać za różaniec albo za coś innego, co wisi na jej dziewiczej szyi, tylko się zatrzymuje, rusza w kierunku wielkiego kutasa i łapie go między kciuk i palec wskazujący. Tak właśnie się czułam. Jak zboczeniec, któremu zakonnica ogląda chuja. Podłe uczucie. Usiadłam na krześle dla interesantów. Miki siedział w fotelu, który nie jest skórzany, on tego wtedy nie wiedział. Nie zwałam się na krzesło. Nie zatkało mnie. Usiadłam. I nie zapięłam się. Powiedziałam:

– Nie mam ochoty się pieprzyć, ale podoba mi się twoja kształtna potylicca i grube usta, i łoczki na karku.

Totalnie głupia gadka. Prawdziwe sranie w banię.

81

– Rozluźnij się – powiedział Miki. – Uspokój. Wydaje mi się, że nie jesteś całkiem zdrowa. Co ci się stało?

– Nic – odparłam – dlaczego miało mi się coś stać? Nigdy ci żadna kobieta nie powiedziała: „Zerznij mnie”?

– Nie – odparł Miki. – Ty jesteś pierwsza, więc nie wiem, jak się zachować. Co mam zrobić? Rzucić się na ciebie?

– Tak – powiedziałam, ale jakoś niepewnie.

Bo kancelarię miał małą i jakby skoczył na mnie, to kto wie, na co by się tak naprawdę nadziało. A zresztą między nami stało biurko. Nie mógł skoczyć. Musiał wstać, obejść biurko, podejść do mnie, podnieść mnie z krzesła i zaprowadzić gdzieś, gdzie jest więcej miejsca. No. Kumacie? To nie było miejsce na dziką namiętność.



– Okej – powiedział Miki – chodźmy do poczekalni.

I teraz wyobraźcie sobie taką kretyńską sytuację. Myślicie, że mnie znacie, a jednak nigdy byście nie odgadli, co mu powiedziałam. Ja zresztą też bym nigdy nie odgadła, co mu powiem. A powiedziałam z głupia frant: „Podobam ci się choć trochę?”. Co za krowa! Co za pieprzona idiotka! Rozchyłam sukienkę, mówię „zróżnij mnie”, a potem sonduję i dopraszam się wyznań miłości. Jakby to nie mogło być zwykłe bzykanie, bez uczuć, tylko zaraz prawdziwa miłość. Przy czym w dupie miałam miłość, wiem, że to nie była miłość, zwiślał mi ten numer, zwiślało mi wszystko, a jednak za wszelką cenę chciałam, by to było czymś, czym nie jest. Jakby ktoś mnie z boku obserwował, z lewa lub z prawa, albo z góry. Ktoś, przed kim muszę się tłumaczyć. I mówić mu, widzisz, robię to, ale nie jestem dziwką. Tak jakby było istotne, czy jestem dziwką, czy nie. Tak jakby to kogoś obchodziło. Tak jakby kobieta stawiała się dziwką, kiedy się puści z nieznanym mężczyzną w jego biurze. Prawie nieznanym. A jeśli nawet jest dziwką, jakie to ma znaczenie? Kumacie? Przez cały czas, zawsze, bez przerwy, w każdej chwili, w każdym dniu mojego pieprzonego życia odpowiadam na niepostawione pytania. Rzygać mi się chce. Pieprzę to. Jest taki przesąd – albo mnie się wydawało, że jest – według którego intelektualści, ci kolesie z dyplomami, prawnicy, lekarze, profesorowie, adwokaci mają małe fiuty. A robotnicy portowi i Serbowie wielkie. Że wielkość fiuta jest odwrotnie proporcjonalna do wielkości mózgu. Zawsze uważałam, zresztą teraz, w tej chwili też tak uważam, że Miki jest mądrym człowiekiem. Może to mnie najbardziej w nim pociąga. Lubię mądrych mężczyzn. I mądre kobiety. Może

dlatego, że sama jestem głupia. Dlatego lubię mądrych. Można by wprawdzie zapytać o moje kryteria. Okej. Będę precyzyjna. Żebyście się nie wkurzyli. Uważam, że Miki jest mądry. To na pewno mylne założenie, ale myślę, że jest mądry, bo skończył studia. Choć znam wielu, którzy mają dyplom, a są głupi jak tępy nóż. Pomińmy to. Nieważne. Spodziewałam się, że Miki ma małego kutasa. I że będę miała z tym problem. Trzeba będzie go pocieszać. Przekonywać, że wielkość nie jest istotna, no i w końcu przekonam go, i prawdopodobnie sama sobie będę musiała wkładać jego fiuta, dopóki Miki z czasem nie nabierze wiary w siebie. I pewności. Dopóki wielkość, lepiej powiedziane: małość fiuta nie przestanie być dla niego problemem. My, kobiety, na to mogę wam przysiąc, ale nie chcę, bo wiem, jak dotrzymuję danego słowa, my, kobiety, jesteśmy kosmicznymi kretynkami. Przemądrzały mi kozami, które myślą, że wiedzą wszystko o mężczyznach. A my o nich wiemy tyle, ile oni o nas. Czyli nic. Więc kiedy zobaczyłam to, co wychyliło się z boksera Miki, oniemiałam. No właśnie. Oniemiałam. Pojawiła mi się nad głową chmurka ze stu pięćdziesięciu znakami zapytania i bardzo wieloma wykrzyknikami. Spoglądał na mnie fallus o wielkim, uniesionym, tępym łbie. Okej. Prawdopodobnie to nie było do końca tak. Nigdy nie mierzyłam. Tak mi się wydawało. To brzydkie słowo, tłuste i nie na miejscu – myślę o słowie „kielbasa” – ale to naprawdę była kielbasa. Powiedźcie na głos „kielbasa”, a zrozumiecie, o czym mówię. Trzydziestocentymetrowa kielbasa. Może z centymetr albo dwa mniej. Ale niewiele mniej. Miki między nogami miał kutasa w sam raz do pornosów, a nie do siedzenia na niewygodnym drewnianym krześle w cias-

nej sali sądowej, w której nerwowa sędzina, stenotypistka, przyszły były mąż, przyszła była żona i adwokat przyszłego byłego męża wypruwają sobie flaki dla stu chorwackich kun na alimenty. Tylko wybałuszyłam gały. A wtedy Miki mnie rozebrał, choć planowałam, że to ja go rozbiore, bo wedle metryki mogłabym być jego sporo starszą siostrą. Oparł mnie o stół w poczekalni i mi wsadził. Wsadzał i wyjmował, a ja przez półprzymknięte żaluzje obserwowałam, co się dzieje w butik w kamienicy naprzeciwko. Na trzecim piętrze. Kiedy Miki mnie rznął, patrzyłam, jak kobiety przymierzają płaszcze. Długie. Może od mury? Bóg jeden wie. Nie widzę dobrze bez okularów. Głównie się przeglądały. Młode sprzedawczynie rozbierały je i ubierały. Spodobał mi się ciemnoczerwony płaszcz, długi, bogato zdobiony czerwonym sztucznym futrem. Wpadło mi do głowy, że mogłabym go kupić, kiedy Miki już skończy i jak się umyję w jego łazience, i ubiorę, i zejść na ulicę, i jak się wdrapię do tego butiku. Wtedy kupię sobie ten płaszcz. Ale. Mówiłam już. Kiki ma stertę dobrych płaszczy. Wszystkie światowe marki. I byłoby naprawdę głupio nosić coś niemarkowego, kiedy można aquaskutum czy burberry. Choć ja nie wychodzę z czarnych, anonimowych rzeczy kupionych z przeceny. Wiecie, ludzie są na ogół przewrotni. Tak. Miki skończył, kiedy wysoka brunetka płaciła kartą za zielony płaszcz. Krótki. Bez futra.

Nie powiedziałam wam o szczegółach. Tak naprawdę nic wam nie powiedziałam. Jak zdjął mi rajstopy. Czy mu pomagałam. Czy zdjął bokserki, czy też wyciągnął go przez rozporek, „rozporek”, co za odjechałe słowo, ani jak mi ściągnął majtki, jak mnie obrócił do siebie, nadział, i jak przenieśliśmy się na kanapę, ja

siedziałam na niej, a on klęczał na terakocie w poczekalni i... Tak. Nie powiedziałam wam o szczegółach. I nie powiem. Nie chciałabym, żebyście się onaniżowali, kiedy wam opowiadam swoją historię. Peszyłoby mnie wasze sapanie.

Ludzie zresztą mają już dosyć jebania. Jebania i wojennych opowieści. Spójrzcie tylko w telewizor. Albo się pieprzą, albo w tle majaczy bomba atomowa, albo jakaś inna bomba oświetla skok do jakiegoś rowu. Mierzi mnie to, te pospolite wojenne opowieści. Z bombami, okopami, czołgami, błyskami, pomazanymi twarzami, samolotami, heliopterami, to wy tak wymawiacie – „heliopoter”, takich wojennych opowieści mam po dziurki w nosie. Lubię dokumenty o wojnie. Te z życia. Ale na coś takiego rzadko, bardzo rzadko można trafić. Nie ma już takich wojennych historii z prawdziwego zdarzenia. Dla mnie i Aki super był pogrzeb tego niemowlaka. Pamiętacie przecież... Na pewno pamiętacie. Tego niemowlaka zabili albo zadźgali, albo wrzucili do zimnej wody. Czetnicy. Najbliżsi sąsiedzi. Najbardziej boli, kiedy ci dokopie najbliższy sąsiad. Ma to wtedy swoistą wymowę. Istna beczka prochu. Właśnie. Trzydzieści lat wspólnego picia kawy, odprawiania dzieci na rozpoczęcie roku, oglądania meczów w telewizji, a potem wybuch wojna i sąsiad zabija ci matkę. Albo wrzuca niemowlę do studni. To ma swoistą wymowę. Aki i ja oglądałyśmy bezpośrednią transmisję z pogrzebu tego dzidziusia. Było super. Płakałyśmy. Wspaniałe uczucie, naprawdę wspaniałe, kiedy człowiek może sobie popłakać nad cudzym nieszczęściem. Nie macie pojęcia, jak rozpaczalam, kiedy zginęła Lady D. Ryczałam jak głupia. I zużyłam całą dużą paczkę chusteczek higienicznych. Szłochaliśmy

i zanosiliśmy się od płaczu. Trumna była biała, mała i taka śliczna. Niosła ją czwórka gwardzistów w mundurach moro. Bardzo uroczyście. Z trudem powstrzymywali parcie wody do oczu. Oni też by płakali, gdyby nie byli bohaterami i gwardzistami, gdyby byli zwykłymi ludźmi, których, jak wszystkich zwykłych ludzi, nie zobowiązuje ranga i mundur. Mogliby płakać, szlochać i zalewać się łzami do woli. Podtrzymywali młodą mamę. Staniała się za trumną. Obie z Aki umierałyśmy z żalu. Młodego tatę też podtrzymywali. Był w moro. Prosto z frontu przyjechał na pogrzeb dopiero co narodzonego dziecka. Tata miał oddzielnych podtrzymywaczy. Babcię też podtrzymywali. Prawdopodobnie była to prababcia. Bo babcia tak małego niemowlaka, matka tak młodej mamy nie może być starsza ode mnie. Tylko młodsza. Znaczą się, podtrzymywali prababcię. Ksiądz szedł sam, bez pomocy, ale wyraźnie wstrząśnięty. Mimo że księża znoszą pogrzeby ze spokojem, bo wiedzą, że nieboszczycy idą do nieba, a nie obracają się w proch albo stają popiołem lub robakami. A jednak ksiądz był smutny. Człowiek zawsze może pójść do nieba, ale ma na to czas, nie musi jako niemowlę. Może tak sobie myślał i to nim wstrząsnęło. Wszyscy wieśniacy w kondukcje mieli wodę w oczach. Kobiety płakały, mężowie je podtrzymywali. Niektórzy ukradkiem zerkali w kamerę, ale operator szybko z nich przekakiwał. Dziennikarka na żywo komentowała pogrzeb. Na ile jej pozwalały oczy podlane wodą i jasnoróżowe wyszminkowane usta w podkówkę. Kontur ust był ciemniejszy. Podkreślony delikatnie kredką. Na ekranie pokazali, gdzie niemowlak został zarżnięty czy wrzucony do studni. Pamiętam ogród i studnię, ale nie pamiętam szczegółów. Pokazywali zdjęcia z chrztu,

to polewanie główki, dzidzius w białej sukieneczce, wszyscy wokół uśmiechnięci, pulchne rączki maleństwa. Bobas na urodzinach brata. Trzecich. Tak. Brata czetnicy też zarżnęli, a może wrzucili do studni, tyle że sześć miesięcy wcześniej. Aki i ja nie mogłyśmy odebrać wzroku. I szlochałyśmy, płakałyśmy, łkałyśmy i wycierałyśmy nos, i płakałyśmy, łkałyśmy, szlochałyśmy... Dość tego! Jesteście bezdusznymi świniami! Tacy jesteście! Wtedy, kiedy z Aki wylewałyśmy strumienie łez, nie wiedziałam, że cały ten pogrzeb w bieli to oszustwo. Nie miałyśmy pojęcia. Zwykła lipa. Ostatnio zgłosiła się jakaś baba z telewizji i ujawniła prawdę. Telewizja kupiła i małą trumnę, i kwiaty, i wieńce z białymi szarfami, opłaciła i mamę, i tatę, i babcię, i smutnych wieśniaków, i czterech gwardzistów. I tego księdza. Pani z telewizji żaliła się, że najbardziej przeszkadzał jej sposób, w jaki czterech nabitych, rumianych osiłek niosło maleńką trumnę. „Tak jakby była pusta”. To wydawało się tej pani nieprzekonujące. Bo wy albo Aki, albo ja, którzy oglądaliśmy relację z pogrzebu, mogliśmy się kapnąć, że to wszystko gównno warte, grubymi niemi szyte. Bo niby ci, co nieśli trumnę, musieli ugiąć się pod jej ciężarem. Durna baba! Jakby czterech chorwackich zuchów nie mogło udźwignąć siedmiu kilogramów martwej wagi?! Wiecie co?! Jeżeli o mnie chodzi, nasza telewizja mogła na żywo transmitować zabijanie małych bobasów i rozbawionych brzdąców. Nie obudziłoby to we mnie żądzy mordy. Nie popędziłabym zaraz po transmisji na pierwszą linię frontu, by szukać ołtarza, na którym mogłabym złożyć swoje życie za Ojczyznę. Nie przysłoby mi to do głowy. Ani mojemu Kikiemu. My w czasie wojny zabijaliśmy się o to, jak przeżyć, a nie jak oddać życie. Nie twierdzą, że

dzieciaki ginęły po nic. Absolutnie. Nie twierdzą też, że chciały polec za nic. Poległy. Całe szczęście, że nigdy nie dowiedzą się po co. Nie zdążyły się dowiedzieć. Pamiętajcie gazety z czasów wojny? Parszywe gadziny! Nigdy nie publikowali nekrologów, dopóki trwały walki. Zawsze dopiero po. Ale nigdy pięćdziesiąt fotografii poległych dzieciaków w jednym numerze. Tylko po dwa na stronie albo dziesięć na dziesięciu. Po dziesięć na dziesięciu, jeżeli akurat była sterta trupów. Zdjęcia zabitych po ustaniu walk, by żywym nie odjechało. By przyszli bohaterowie się nie spietrali. Mój Kiki i ja, my sraliśmy w gacie od początku. Nam było wszystko jedno, czy w wiadomościach jest pięć, czy sto martwych osób. Kiki i ja nie mieliśmy złudzeń, że w obronie Ojczyzny stanie ktoś inny. I dla niej odda swoje młode życie, złoży je na ołtarzu. Niech tam sobie błyszczy dla przyszłych pokoleń. Bez nas. Ile to ma kosztować, niech kosztuje. Ile kosztowało? Wiecie co? Nie jestem do końca pewna, czy wojna się skończyła. Za wcześniej mówić, ile Kiki zapłacił za to, że nie oglądał Liki albo jakiegoś innego zakątka ukochanej Ojczyzny. Akurat do was nie mam zaufania. A co, jeśli zaczniecie paplać naokoło, ile Kiki zapłacił i komu? Skąd mogę mieć pewność, że jesteście głową bez języka?

## Rozluźnijcie się

Borys, mąż Eli, już wam to mówiłam, i nasz przyjaciel, był zawsze niezaradną ofertą. Dostał wezwanie. Sąsiad zadzwonił do jego drzwi. Borys zobaczył go przez wizjer. Otworzył. Stary śmierdziel wepchnął mu do ręki wezwanie i powiedział: „Dobranoc”. Kiki i ja dowiedzieliśmy się o tym w czasie jednej z tych wojennych Wigilii. Poczułam ulgę. Bo tak w ogóle to fajnie, kiedy przyjaciele mają kłopoty. To oni rozpaczają, nie ty. Możesz pomóc i dobrze ci z tym. Jednak nie wtedy, kiedy twój kumpel dostanie wezwanie. Tu nie można pomóc. Zostaje tylko dobre samopoczucie. Bo ty nie dostałaś wezwania. Borys wbił sobie do głowy, że to szef Departamentu Obrony specjalnie go wystawił. Jakiś Wiktor. Jego żona ma na imię Mirjana. Serbka, ale wygląda normalnie. Widziałam ją na Deptaku. Blondyna z wielką grzywą. Pasemka. Setka odcieni koloru blond w pięknie utrzymanych włosach. Co najmniej dwieście marek. Wysoka. Niezła szprycha. Borys spotkał ją pewnego wieczoru, kiedy przez Deptak sunął korowód przebierańców, i wylizał ją. Skąd wiem?

Od Eli. Jak ją wylizał? Ale z was zbrojeńcy! Nie żal wam człowieka, który dostał wezwanie, a jego żona trzęsie się ze strachu. Ela wbiła sobie do głowy, że Borys wróci w czarnym worku. Ja struchlałam, bo bałam się, że moja przyjaciółka Rena, która jest patolo-  
giem, będzie go rozcinać i zszywać... Zamiast się prze-  
jąc, domagacie się szczegółów: jak Borys lizał Mirja-  
nę, kiedy przez Deptak sunął korowód. Co za zboki! Gnoje! Gnoje bez serca! Kiedy dokładnie doszło do te-  
go lizania? Przed wojną, drodzy państwo! Podczas wojny przebierańcy siedzieli w domu. To byłoby nie  
w porządku, gdyby przebierańcy szczyrzyli zęby i dar-  
li się na Deptaku, kiedy ludzie giną, kiedy poświęcają  
swoje młode życie wszędzie tam, gdzie należy. Chcia-  
łoby się powiedzieć „od Vardaru po Triglav”, ale wiem,  
że to już nie są prawdziwe granice, więc to tak jakbym  
nic nie powiedziała. Wiem, że to było przed wojną.  
Kiedy zaczęła się wojna? Wiedziałam. Wiedziałam, su-  
kinsyny, że mnie o to spytacie! Wiedziałam. To wy mi  
powiedzcie, kiedy zaczęła się wojna! No, kiedy zaczę-  
ła się wojna? Kiedy, no już, głowy bez języka! Powiedz-  
cie, to ja wam opowiem, jak Borys wylizał Mirjanę. Kie-  
dy zaczęła się wojna?! Milczycie. Ja wiem tylko o tam-  
tej wojnie. Zaczęła się, kiedy wypaliła pierwsza strzel-  
ba w małej, malutkiej wsi Rudo. Gdzie jest wioska Ru-  
do? Nie róbcie mnie w bambuko! Wiecie przecież, że  
nie znam geografii! A wy wiecie, gdzie jest mała wio-  
ska Rudo?! Gównno wiecie. Może jej w ogóle nie ma.  
Może wymyślili tę małą wioskę. Wiecie co? Ja nie  
wiem nawet, kiedy skończyła się ta wojna. „Nie mam  
bladego”, powiedziałaaby Aki. Ale wiem, kiedy skończy-  
ła się tamta wojna. Partyzanci na koniach wjechali  
do Zagrzebia. Konie były białe i kare. Dziewczęta rzu-

cały kwiaty. Partyzanci obejmowali je w talii i sadzali  
na konie. I te białe, i te kare. Widziałam fotografie  
w książce historycznej. Kiedy się skończyła ta wojna?  
Kiedy?! No, dalej, głowy bez języka! Wy też nie wiecie.  
Może jeźdźcy dopiero wjadą do Zagrzebia? Może do-  
piero trzeba im będzie rzucić kwiaty w twarz?!

Deptak. Ładny schyłek dnia. Tuż przed zmierz-  
chem. Znika ostatni promień słońca. Mroźno. Na try-  
bunach nie było gości. Co za trybuny? Jaki znów schy-  
łek dnia? Co się dzieje na Deptaku? Dlaczego przeska-  
kujesz z tematu na temat jak chora dzika koza? Wylu-  
zujcie. Opowiadam wam o mroźnym schyłku dnia,  
mówię o dniu, kiedy korowód przetaczał się przez  
Deptak. Kiedy ma się odbyć karnawałowa parada,  
ktoś na Deptaku, pewnie jacyś robotnicy, stawia try-  
buny. Tak by ojcowie i matki miasta, i goście z dale-  
kich krajów mogli oglądać paradę na siedząco. Dzie-  
ki temu mogą szczyrzyć zęby i machać wesolo  
do przebierańców, a nogi im nie zdrętwieją ani nie  
połamie ich w krzyżu. Ci ojcowie i matki, i delegaci  
przeważnie mają już swoje lata. Są nawet goście z Ja-  
ponii. Ta parada nie jest jakimś tam prowincjonalnym  
festywnem. Już powiedziałam, było mroźno. Puste try-  
buny. Bachory skakały po ławkach. Gdzie się podzieli  
matki i ojcowie, i goście z Japonii? Zbyt wiele pytań.  
Pewnie poszli do jakiejś knajpki. Bóg raczy wiedzieć.  
Kolumna ustrojonych aut przesuwawała się powoli. Ka-  
żdy pojazd – wielka ciężarówka, mała ciężarówka, au-  
tobus, samochód – tworzył całość, jeden obraz. Ob-  
raz? Jaki obraz? Obraz, do diabła. Obraz. Nigdy nie  
ogłądaliście karnawałowej parady?! Nie widzieliście  
słynnych w świecie parad?! Ta nasza jest trzecią naj-  
bardziej znaną paradą na świecie. Pierwsza jest

w Rio, druga w Wenecji, trzecia tu. W Mieście. Nasze parady mają długą tradycję. Mają swoją historię. Na przykład do historii tutejszych parad na pewno przejdzie ogromne udekorowane auto, w rzeczywistości ciężarówka, diabli wiedzą o jakim tonażu brutto, przerobiona na muszlę klozetową. Szkoda, żeście tego nie widzieli. Ludzie na widok tego sedesu pokładali się ze śmiechu. Goście z dalekich krajów też. I Japończycy. I miejscowi ojcowie, i miejscowe matki. Wszyscy gadają w kółko o seksie, ale nikt jeszcze głośno nie powiedział, jak wielkie znaczenie w ludzkim życiu ma sranie. Gdyby nie miało, to ci ludzie tak by nie klaskali i nie zaśmiewali się, a tej wielkiej ciężarówce nie przyznano by pierwszej nagrody i nie przeszłaby do historii. Znaczący się, ciężarówka była gigantyczną muszlą klozetową, do tej muszli była przymocowana ogromna, szeroka, srebrna rura... Dlaczego srebrna rura? Zadajecie głupie pytania. Nie wiem. Chcecie, bym was okłamywała? Czy bardziej do przyjęcia byłaby dla was złota rura? Żartownisie! Na tę muszlę w regularnych odstępach czasu siadał wielkolud. Mówię wielkolud, więc nie trzeba chyba dodawać, że był ogromny. I pociągał za gruby łańcuch, to znaczy spuszczał wodę, a z rury wychodziły gówna naturalnej ludzkiej wielkości. Wychodzili z niej ludzie przebrani za wielkie, okrągłe, jasnobrunatne gówna. Tłum wył z zachwyty. Dlaczego? Nie wiem. Musielibyście tam być. Nauka jeszcze nie dała odpowiedzi, dlaczego w mroźny wieczór wielkie gówno wywołuje zbiorową histerię. Tego wieczoru, kiedy Borys wylizał tę kobitkę, kolumna poruszała się powoli. Z reguły porusza się powoli. Okej. Kolumna poruszała się wewnątrz pasa... Jakiego pasa? O Matko Boska! Wy naprawdę ni-

gdy nie oglądaliście parady!?! Wewnątrz pasa. Istnieje pas oddzielający paradę od zwykłych śmiertelników. Od widzów. Od tych bez masek. Pełnych powagi. Nie chcę powiedzieć, że ci poważni wpatrzeni byli w dal, nie, tylko nie stali na autach, byli z drugiej strony pasa, nie mieli masek... Czy możecie nadążyć za tym, o czym mówię? Matko Boska! Były tysiące ludzi. Tysiące! Wszystko na żywo relacjonowało Radio Miasto. Znaczący tych dwóch reporterów... Których dwóch reporterów? Nie słuchacie Radia Miasto? Tylko od czasu do czasu? Więc jak mam wam to opisać? Nieważne. Dwóch reporterów. Wszyscy ich znają oprócz was. Jeden ma włosy, drugi nie ma. Ludzie ich uwielbiają. Szaleją za nimi. Bo szerzą wokół radość, uciechę i optymizm. Oczywiście, że nie byli pijani. Czy byli trzeźwi? Co za głupie pytanie! Oczywiście, że nie byli trzeźwi. Przebierańcy rzucali im ze swoich aut plastikowe butelki po coca-coli wypełnione winem. Nasz tandem od czasu do czasu pociągał głębokiego łyka. Ale czym innym jest głęboki łyk co pewien czas, a zupełnie czym innym bycie pijanym. Musicie wiedzieć coś jeszcze. Zawsze kiedy po Deptaku sunie parada, panuje piekielny harmider. Reporterzy muszą się wydzierać ile sił w piersiach. Nie pytajcie mnie, jaka siła kryje się w piersiach... Słuchajcie! To jest super! Możecie mi wierzyć! Ale nie musicie! Zajarzyłam, co znaczy wydzierać się ile sił w piersiach! To znaczy, ile wam starczy powietrza. Wydzierać się całym sobą... Całym ciałem... aż wypłujesz płuca. Wypuść już z siebie to powietrze! Dlaczego jesteście tacy nerwowi? Okej. Przeważnie się darli: „Jest czaaaaadoowo-o! Czadowoooo!”. I „Jest suuuupeeeeeerr! Suuuuuupeeeeeeeeeer!” Albo: „Podchodzi do mnie ka-

czuszka. Heeeeeej, kaaaczuuszkoooo, chcesz mojego kaczoraaaa?! Cha, cha, cha, cha, kochani słuchacze”. Albo „Kłamie! Kłamie! To nie jest kacuszka! To wielki kaczor! Panie kaczorze, proszę coś powiedzieć dla Radia Miasto”. Tyle. Reporter kierował mikrofon w stronę ogromnego dzioba ogromnego kaczora, który stał na ogromnym podnośniku w kształcie wielkiego, żółtego kaczego gniazda. „Kaczor ma was gdzieś – powiedział wielki kaczor do mikrofonu. – Dlaczego siedzicie w domach? Dlaczego nie przyjdziecie na Deptak?!”. „Suuuuuuuper! – wrzeszczał ten łysy. – Słyszeliście kaczora, cha, cha, cha! Cha, cha, cha, kochani słuchacze!”. „W moją stronę kroczy mała baletnica! – darł się ten z włosami. – Mała baletnico, czy chcesz mój flecik, cha, cha, cha, drodzy słuchacze!”. Borys obserwował przetaczającą się kolumnę. Ogromne pajęczyny, gigantyczni więźniowie na szczydłach w pasiakach, przedwojenni politycy karykaturalnej wielkości, dom publiczny, półnagie dziwki, ich klienci w bokserkach, Hiszpanki, egzotyczne tancerki, czterometrowy smok, miss Miasta zmarznętego tyłeczka, mistrz ceremonii we fraku... Borys poczuł rękę na swoim biodrze. Jakiś pedał? Tak pomyślał. Borys jest przystojny. Wysoki, szczupły, z krągłym tyłeczkiem, brzuch... Nie wspomnę o desce do prasowania, powiem tylko brzuch jak deska, a wy sobie sami dodajcie, co wam pasuje, kruczoczarne włosy, błękitne oczy... Nie pierdol! Co to za język, moi drodzy?! Nie bądźcie wulgarni! Myślicie, że się zgrywam, że tacy ludzie nie istnieją. Że wszyscy są podobni do was i do mnie, z lekka oklapnięci, zamiast deski poduszka. Borys wygląda jak tancerz riverdance. Co to jest riverdance? Nie podpuszczajcie mnie. Pogięło was? Jak był

ubrany? Kogo to obchodzi? Wśród tych wszystkich przebierańców?! Nie mam pojęcia. No więc poczuł rękę na biodrze i powoli odwrócił piękną głowę. Powoli. Borys nie ma słabych nerwów. Ja mam słabe. Jak włos. No i zobaczył brązowe oczy Mirjany. Jak dojrzał w mroku, że są brązowe? Dlaczego brązowe? Ładniejsze są błękitne! Ładniejsze są zielone! Ładniejsze są szare! Chwila. Powoli. Nie przekrzykujcie się. Borys wiedział, że Mirjana ma brązowe oczy. Nie widział jej po raz pierwszy. Chodzili razem do jakiejś średniej szkoły. Do jakiegoś LO. Co to jest LO? Znajdźcie sobie tłumacza. Mirjana jest Serbką. To nieważne. To na pewno nie jest ważne. Kogo to obchodzi. Pieprzyć tę informację. To tylko informacja. Żadne przesłanie. Wiecie, co się dzieje w telewizji? Przyszli młodożęcy podskakują i próbują wielkimi szpikulcami przebić balony, które wiszą im w girlandach nad głowami. Każda para ma numer na plecach. Kto przebije najwięcej balonów, dostaje nagrodę. Telewizja Miasto zawsze miała fantazję. Mają zvariowanych prezenterów. Montypythonowcy. Zwycięzcy dostaną zaproszenie na kolację dla dwojga w drogiej restauracji w Opatiji. Na ekranie pojawił się stół. Stół nad samym morzem. Siedzieliśmy przy tym stole. Właściciel restauracji był winien Kikiemu trzysta dwadzieścia marek, więc zaprosił nas na kolację. Kelner podjechał do nas z wózkiem z martwymi rybami. Wybrałam małą doradę. Kiki zamówił smażone kalmary. Kiki uwielbia smażone kalmary. Mógłby je jeść do śmierci. Będą jego ostatnią wieczerzą. Te sieroty z ekranu skaczą jak małpy i przebijają, wciąż przebijają. Zwycięska para siądzie przy tamtym stole. Oni nie wiedzą tego, co wiem ja. Tam tak śmierdzi, że można ociepieć. W morzu, tuż

przy tym stole, kotłują się, mieszają i rozkładają wszystkie opatijskie gówna. Nie można tam wytrzymać. Przy tym stole siadają tylko ci, co nie płacą, oraz Czesi, jak pierwszy raz przyjadą do Opatiji... Nieładnie tak mówić o Czechach? Uważacie, że to świństwo, co powiedziałam o Czechach? Jestem ohydną świnia? A nie właściciel, który trzyma dla nich zarezerwowany cuchnący stół? Hipokryci! Gnoje! My z Kikim nie jedliśmy. Przez ten smród pożarliśmy wszystko migiem i zmyliśmy się. Czy kiedykolwiek zdarzyło się wam być bliskim zejścia? Oddajesz Bogu duszę, a On ma to gdzieś. Nie chce duszy, gówno Go ona obchodzi. Spogląda w drugą stronę. A wy Go błagacie, weź duszę, weź moją duszę, do kurwy nędzy. Oto moja dusza. Tak się czułam, kiedy dotarłam do domu. Najpierw było mi zimno, potem przeszły mnie ciarki po plecach, w górę, w dół, w górę, w dół... Dlaczego mam się streszczać? Włączyłam trzy grzejniki. „To na pewno jakiś wirus”, powiedział Kiki. Wirusy są dziś w modzie. Wszyscy przez cały czas chrzanią, „szaleje jakiś wirus”. Dopiero na kamiennym stole mojej przyjaciółki Reny... Rena kroi trupy. Dopiero na tym stole można stwierdzić, czy to był wirus, czy nie. Lodowate dreszcze. Głowa pęka. Sufit wiruje. Światło przewierca mózg. „Podaj mi wielką miskę” – wybełkotałam do Kikiego, myślałam o tej plastikowej misce, w której kiedyś robiłam francuską sałatkę. Możecie mnie zabić, bo za nic nie pamiętam przepisu. Francuską kupuję w billi. Myślałam o tej misce. Ale Kiki podał mi wielką miskę ze szkła murano, którą kupiliśmy w Wenecji za kupę szmalu. Usiadłam na muszli klozetowej, z miską murano na kolanach. Okej. Rzygałam do tej miski i srałam do muszli. Kiki

podniósł mnie z klozetu, wytarł tyłek – ludzie w małżeństwie bywają ze sobą blisko związani – obmył ciepłą wodą, wytarł ręcznikiem, potem ciepłym ręcznikiem wytarł usta... Nie, nie tym samym ręcznikiem wycierał mi usta i tyłek. Nie drwijcie sobie. No i na tapczan. Usta mi posmarował – nie wiem dlaczego, o to musicie jego spytać – maścią „white petroleum jelly U.S.P.”. Sto gramów. Kanadyjska. Możecie ją kupić na końcu Deptaka za siedemnaście kun. Ta maść jest dobra i na popękane usta, i na hemoroidy. Jeśli je macie. Jeśli ich nie macie, nie smarujcie nią dupy, bo zostawia tłuste plamy na gaciach. No i tak sobie leżałam na tym tapczanie przez osiem dni. I czytałam pamiętnik. W pobliżu naszego Miasta jest miasteczko. Żyli w nim Serbowie. Kominarze, sędziowie, prokuratorzy, urzędnicy, nauczycielki... A co oni nam robili?! Hola, hola, uspokójcie się trochę. Mieszkali w bloku kwaterunkowym. Zapadła ciemna noc, no i zamaskowani kolesie weszli do tego bloku i puk, puk, puk... A Serbowie na nich czekali. Za zamkniętymi drzwiami. Jak u Anny Frank. Tak, Anny Frank! Nie będę się leczyć! I nie jestem starym próchnem! Sami się leczcie! Pedaty! Kolesie wyłamali drzwi, zgarnęli Serbów, zaciągnęli do jakichś koszar, potem na ciężarówkę i na łakę, no i tam ich rozstrzelali, zwalili na kupę i podpalili... A co oni nam robili?! No właśnie. Co oni nam robili. Może i macie rację. Wojna to totalny bajzel. Okoliczność łagodząca. Tak jest. Jeżeli o mnie chodzi, to wszystkich zbrodniarzy wojennych i tych, którzy się tak czują, wypuściłabym na wolność. To nie to samo wyruchać dziewczynkę podczas wojny i w czasie pokoju. Wrzucić staruszkę do studni podczas wojny i w czasie pokoju. Zabić



chłopczyka. I to pierdolenie o młodości podczas wojny. Pierdolenie. Wojna jest właśnie dla młodych. Dzieściocioletni smarkacz podczas wojny nie jest już smarkaczem. Kto może wiedzieć, ile lat najmniej może mieć nieprzyjaciel? Kto? Nikt. Dlaczego pięcioletnie dziecko nie mogłoby być czetnickim sukinsynem? Dzisiaj dzieci są mądre. A przypomnijmy sobie tylko Boška Buhę... I innych. Tak. Ile oni mogli mieć lat?! A jakimi byli zuchami!

Te niedojdy. Ci przyszli młodożeńcy na ekranie. Skaczą i skaczą. Przebijają i przebijają. Prezenterka krzyczy. Suknia z rozcięciem do pasa. No i łyska młode biodro. Zwycięzcy przebili dwadzieścia trzy balony. Na ekranie migają numery do telewizji Miasto. Kto się dodzwoni, otrzyma żel do włosów. Zwycięska para wygląda jak dwójka dzieci, z których każde mieszkało z macochą. Jaś i Małgosia, tyle że nie są rodzeństwem. Nie będą dzwonić. Pieprzyć żel. Od niego wyskakują mi syfy na głowie.

Dobra. Na czym stanęłam? Borys patrzył w oczy Mirjany. A może nie. Może patrzył na jej cycy. Albo w ich kierunku. Kto to wie? Było ciemno, a Mirjana okutana w płaszcz. Mirjana powiedziała: „Haj!”. Dlaczego „haj”? A co miała powiedzieć? Niech będzie pochwalony? Powiedziała „haj” i już. Nie wydziwiającie. Borys też powiedział: „Haj!”. Trochę szybciej. Zda się, że i wasze nerwy nie są ze stali.

– Co tutaj robisz? – spytał Borys.

Ale palnął. Co ona tam robi? Nie dzierga rękawiczek z czarnej wełny. Ogląda karnawałową paradę. Ale człowiek musi jakoś zagaic rozmowę. I wy, i ja wiemy, że za kilka minut albo za godzinę ją wylizę, co zupełnie nie znaczy, co wcale nie znaczy, że Borys powie

do kobiety z marszu, chodźmy, zrobię ci patelnię na błysk, a potem do domu. To byłoby grubiańskie i nie na miejscu. I jakoś tak po serbsku. A Borys jest Chorwatem. Kulturalny człowiek. Wykształcony. Dyplomowany konstruktor statków. Z którego roku? Trochę za wiele ode mnie wymagacie.

– Zgadnij – odpowiedziała Mirjana, ale nie kpiąco. Żeby Borys się nie obraził. Mężczyźni są przeczuleni na swoim punkcie. Jak poczują, że kobieta z nich drwi, od razu im kutas kłęśnie. A Mirjana nie chciała, by Borysowi skłąś.

Nie, Borysowi nie stał! Naprawdę jesteście mili. Borys nie jest napalonym piętnastolatkiem. Mirjana liczyła na to, że mu stanie, że powinien mu stanąć, chciała, by mu stanął. Dlatego to „zgadnij” powiedziała czarująco, a nie zaczepnie. Nie tak jak ja bym mu powiedziała. Bo mam gdzieś wszystkie fiuty. Zwłaszcza gdy jest lodowato, a na dodatek pijani przebierańcy wyją na Deptaku. To zdecydowanie nie moja filiżanka herbaty, jak by to powiedzieli Anglicy i wielcy znawcy języka angielskiego. Zatem Borys i Mirjana stali w tym tłumie, a do nich zbliżał się statek gigantycznych rozmiarów. Statek? Olbrzymi kuter rybacki. Oczywiście, to nie był statek do połowu wielorybów, tylko ciężarówka, która wyglądała jak statek. Dlaczego marynarz w podkoszulku w paski rzucił sieć w stronę Mirjany? Kto to wie? Dlaczego w sieć zaplątała się jakaś kobieta w moim wieku? Kto wie?

– Chodźmy stąd – powiedział Borys do Mirjany – żeby nikt mi cię nie porwał.

Kumacie? Kawał drania. Szczęśliwy żonkoś boi się, by ktoś mu nie porwał Mirjany. Jemu?! Mężczyźni to prawdziwe gnojki.

– Muszę pomachać Wiktorowi – powiedziała Mirjana i głową wskazała przejeżdżające właśnie przystrojne auto. Wielka klatka. Szyja żyrafy wystaje przez kraty na górze. Trzy ogromne kury nieziemskich rozmiarów dziobią kurze ziarno nieziemskich rozmiarów. Lew ryczy. Tygrys szczyrzy kły. Struś, prawdopodobnie naturalnej wielkości, nie trzeba powiększać strusia, strusie są ogromnymi ptakami, idealne na parady... Na czym stanęłam? Olbrzymi struś miał okienko tam, gdzie się łączyło jego tłuste, wielkie ciało z długą, cienką szyją. Dlaczego to miałyby być bez sensu? To przecież przebierańcy! Te zwierzęta nie były powiększonymi kopiami okazów z encyklopedii zwierząt, jeżeli taka w ogóle istnieje. To były kukły. A struś miał okienko, bo w strusiu siedział Wiktor. Wiktor wyglądał przez to okienko i próbował w tłumie wypatrzeć Mirjanę. Prawdopodobnie było mu w tym strusiu gorąco. Mirjana wesoło machała do strusia. Obiema rękami. I krzyczała. Wiktor! Wiktor!... Suka. Wiktor na próżno rzucał spojrzenia zakochanego małżonka. Na próżno. Kto wie. Gdyby Wiktor przez to okienko dojrzał Mirjanę, gdyby Mirjana napotkała jego wzrok, gdyby... Czy Borys wylizałby Mirjanę? Gdyby... Jakby... Co tu gdybać. Co się stało, to się nie odstanie.

Poszli do hotelu, który mieści się przy samym Dep-taku. Wtedy ten hotel był tamtym starym hotelem. Dziś jest odnowiony. Nie jest już tym, czym był, kiedy Borys i Mirjana weszli do niego owego wieczora. Nie. Tam jej nie wylizał. Pójdźcie do hotelu stanowiło prelu-dium. Grę wstępna. Było krótkim wepchnięciem języka do ust. Delikatnym ukąszeniem w lewe ucho. Uśmiechem i spojrzeniem. Zresztą dołóżcie do tego coś, co robicie komuś, zanim mu wsadzicie albo zanim rozło-

życie nogi. Nie zamęczajcie mnie. Hotel. Ten stary hotel. Przed remontem. W nim przedwojenni politycy mieli pokoje do „popołudniowego wypoczynku”. Myślicie, że plotę od rzeczy, ale to szczerza prawda. W godzinach pracy mogli wyskoczyć do hotelowego pokoju, przelecieć swoją sekretarkę, kochankę albo jakąś dziwkę, po czym wracali do biura. Po pracy szli do domu na obiad, a po obiedzie do małżeńskiego łóżka na prawdziwy popołudniowy wypoczynek. Oni – skurwielami? Spójrzcie na tych dzisiaj! Wtedy, w tym hotelu, swój pokój do popołudniowego wypoczynku miała też jedna sędzina. Kilka razy wyciągała z aresztu jakiegoś kryminalistę, dymała go w swoim popołudniowym pokoju i odsyłała do pierdła. Czy dziś możecie wyobrazić sobie coś takiego?! Dziś dziennikarze nie zostawiliby na biedacze suchej nitki. Sępy! Dziś taki numer jest niemożliwy. Dziś sędziny nie pieprzą się w pokojach hotelowych. Dziś hotele są inne. Mirjana i Borys weszli do hotelu, w którym unosiło się powietrze gęste od minionych namiętności, od wspomnień owych krótkich, słodkich przedpołudni spędzonych w pokojach popołudniowych. Mirjana chuchała w lodowate palce, pewnie ma słabe krążenie. Borys wziął jej palce w swoje dłonie, ogrzewał je ciepłym oddechem i patrzył jej w oczy. Sto razy byliście na tym filmie. Podeszła kelnerka. Od razu było dla niej jasne, że przy małym stoliku ze szklanym blatem siedzą dwie osoby po ślubie, tyle że nie tym samym ślubie. Mężowie nie ogrzewają oddechem palców swoich żon. Zamówili poncz albo grzane wino, nie czepiajcie się szczegółów. W każdym razie było to coś ciepłego. Kiedy mi Ela o tym opowiadała, powiedziała, że powinnam o czymś wiedzieć. Że ta informacja mi pomoże. Że łatwiej mi

będzie pojąć. Tak jakby człowiekowi potrzebne było specjalne szkolenie, by zrozumieć mężczyznę, który wylizał kobietę, która nie jest jego żoną. Tak jakby coś takiego mógł zrozumieć tylko doktor psychologii. Albo psychiatra przed emeryturą. Tak jakby teraz, dokładnie w tym momencie, nie lizały się miliony osób, które nie mają za sobą nocy poślubnej. I jakby teraz, dokładnie w tym momencie, dalekie od lizania się nie były miliony osób, które zobowiązały się do wylizywania co najmniej dwa razy w tygodniu. Jasne? Ela przesadza. Nieważne. Ela powiedziała mi wszystko, co powinnam wiedzieć. Borys i Mirjana chodzili razem do szkoły średniej. Ona podobała się Borysowi, nie zdążyli się bzyknąć, bo szkoła średnia trwa krótko. Pod warunkiem że nie powtarzasz klasy. Ani się obejrzyś, a tu już matura, no i trzeba przygotować się do wstępnych, jeśli twoi starzy nie mogą zapłacić... Przepadło. Ale tęsknota, by przelecieć kogoś, kogo w liceum albo jakiejś innej szkole średniej nie przeleciałeś, ta tęsknota zostaje. Jak mówi Ela, „pókiś żyw”. Kiedy walisz konia, myślisz o tej szkolnej miłości, kiedy bzykasz żonę, myślisz o szkolnej miłości, inaczej ci nie staje, i kiedy pieprzysz kochankę... Oczywiście, mówimy o normalnych ludziach. Ela powiedziała, że Borys mówił, że to się nazywa „niespełniony sen”. Wszyscy przez to przeszliśmy. Napisano o tym wiele książek, rozpraw, pieśni, nakręcono wiele filmów dokumentalnych, szaleję za nimi, i filmów opartych na historiach z życia wziętych. Widzieliście ten film. Lecił w telewizji. Nakręcony na podstawie prawdziwej historii. Wielka świetlica w domu starców. W kącie świetlicy staruszek na wózku inwalidzkim. W drugim kącie staruszka na wózku inwalidzkim. Przychodzi pielęgniarka. Wie-

zie staruszkę na obiad. Przychodzi druga pielęgniarka. Wiezie staruszka na obiad. Wózki się zderzają. Staruszka ledwo widzi, ale ma wyczulony węch. To się nazywa kompensacja. Wącha. Wącha. W powietrzu wyczuwa zapach wypranych koszul. W powietrzu, w świetlicy tego domu starców w momencie zderzenia się tych wózków. Zapach wypranych koszul! Tak pachniał John w liceum w trzydziestym piątym.

– Czy to ty, Johnie? – pyta drżącym głosem.

Trochę skrócę, bo starzec był głuchy jak pień, więc staruszka musiała krzykiem, powtarzać pytanie: Czy to ty Johnie?!

– To ty Dorotee?! – wrzasnął starzec po półgodzinie.

Tyle czasu potrzebowały siostry, by starcowi, również krzycząc, wyjaśnić, o co go pyta staruszka z sąsiedniego wózka. Starcy nikogo nie interesują, więc skrócę opowieść nakręconą według historii z życia wziętej. Wielki ślub. Oczywiście John był wdowcem, a Dorotee wdową. Mąż Dorotee, którego ona nigdy nie kochała, bo przez całe życie śniła o Johnie, zmarł przed dziesięcioma laty. Zatrut się rybą. Trwali przez sześćdziesiąt lat w nieszczęśliwym związku. Niekochana żona Johna zmarła po pięćdziesięciu latach nieszczęśliwego małżeństwa. Bez jakiegoś szczególnego powodu. Ot, zgasła. Ci dwoje, którzy w ogólniaku czy też leśnej partyzanckiej szkole nie zdążyli się bzyknąć, spotkali się po latach. Na ślubie są wszyscy. Staruszkowie i staruszki z domu starców, dzieci z ich małżeństw, lekarze i pielęgniarki. Umowy o darowiznach zostały podpisane, więc dzieci mogą się cieszyć szczęściem Johna i Dorotee. Jest i telewizja, i wielki tort. I plastikowa młoda para na siódmym piętrze tortu. Dlaczego akurat na siódmym? Spodziewałam się.

Spodziewałam się tego kretyńskiego pytania. Teraz ja zapytam, czy wy w ogóle skumaliście przesłanie tego filmu, kiedyście go oglądali? Jakie ma znaczenie, ile pięter miał ten cholerny tort? Żadnego. Może był siedmiopiętrowy, bo weselników było wielu? A każdy musiał dostać kawałek tortu! Gnojki! Czy do was cokolwiek dociera? Akcent postawiony jest na historii o niespełnionym śnie, historii, która nie przydarza się tylko mnie, Borysowi, Mirjanie. To jest powszechne zjawisko. Powszechne zjawisko, w którym najlepiej objawiają się różnice między ludźmi. Jest ogromna, normalna większość, która z ukochaną osobą z ogólniaka lub jakiejś innej średniej szkoły nie bzyknęła się, i znikoma mniejszość, która to zrobiła. Spójrzcie na mój przypadek. Świętowaliśmy piętnastolecie matry. Poszłam. Chciałam spotkać swój Niespełniony Sen. Mój Kiki o nim wiedział. Ja Kikusowi, przed ślubem, opowiedziałam całe moje życie. Dlatego Kiki tego popołudnia, zanim poszłam na uroczystość, porządnie mnie zerznął. Tak bym na zabawie nie oglądała się na boki. Świętowaliśmy w restauracji Pieczara. Kiki zna całe Miasto jak własną kieszeń.

– Tam gra taki duet – powiedział. – Całą noc będą grali *Angie*. A ty znasz *Angie*!

Nie znam się na muzyce. Muzyka mnie odrzuca oprócz piosenek Gabi Novak i Tyny... Wcale nie dlatego, że jesteśmy rówieśniczkami! Ścierwa! Złośliwe ścierwa! Tym właśnie jesteście! One śpiewają super. Nie lubię muzyki, ale *Angie* znam.

– Uważaj – powiedział Kiki – nie będzie mi wszystko jedno, jeżeli ten typ cię puknie. Miej to na uwadze. Jeżeli ten typ, kiedy tamci dwaj palanci będą nucić An-

dżelę, złapie cię za tyłek, przypomnij sobie, że na was patrzę i mówię: Odsuń się od tego chuja, Tonka!

No i dobra. Siedzieliśmy za wielkim stołem. Białe obrusy. Szum morza. Niespełniony Sen bardziej pojętny niż w czasach ogólniaka. Uszy mniejsze, szyja grubsza. Kiedy zjedliśmy kolację, na podium wspięli się dwaj faceci. Każdy z gitarą w ręce. Kiki powiedział mi w domu, że są „akustyczne”. I *Angie* popłynęła w parną noc. Podczas kolacji udawałam, że Niespełniony Sen nie jest dla mnie Niespełnionym Snem, tylko zwykłym kumplem, kimś takim jak gruby Matko, który był nogą z historii. Historyca Mara wzywała go do odpowiedzi, a on zaczynał zawsze głębokim głosem, głosem dojrzałego faceta: „W tamtych czasach...”. Potem robił dramatyczną pauzę. Następnie do nas, którzy siedzieliśmy za nim, piszczał dziecięcym głosikiem: „Podpowiadajcie, do kurwy nędzy”, i znowu: „W tamtych czasach...”, i pauza, i znowu: „Do kurwy nędzy...”. Kumacie? Udawałam, że Niespełniony Sen i gruby Matko grają w moim życiu taką samą rolę. Jednak każda gra kiedyś się kończy. Wszystko ma swoje granice. Kiedy koleś zaczął grać Andżelę, Sen chwycił mnie w objęcia. Nie możesz tańczyć Andżeli, trzymając się na dystans pięciu metrów albo i więcej. To chyba dla was jasne. Od razu poczułam, jak mu nabrzmiewa wielki fiut. Skąd wiedziałam, że jest wielki? Powiem wam coś, czego o mnie nie wiecie. Z tej dziedziny mogłabym napisać magisterium, doktorat, zostać profesorem nadzwyczajnym, dziekanem, profesorem zwyczajnym, felietonistką w szanowanym tygodniku. Niespełniony tańczył z zamkniętymi oczami. Ja przez jego ramię wpatrywałam się w ciemnoniebieskie morze, było ciemno-

niebieskie, to wiedziałam, choć wyglądało na czarne, bo było ciemno. Poczułam jego wielkie dłonie, dłonie miał jak łopaty, na moim małym, wystającym, krągłym tyłeczku... Kto kłamie! Skąd wiecie, jaki mam tyłek?! Mocno mnie przyciągnął do giętkiej, twardej bestii, której unikałam jak ognia, bestii, która stała się niecierpliwa i wyrwała się już spod kontroli. Może nawet głowę wychyliła z klatki. Na chwilę przymknęłam oczy. Andżela odplynęła. I wróciła. Nie znam się na muzyce. Prawdopodobnie użyję niewłaściwego określenia. Ta muzyka tamtej nocy to był popuri... czy mówi się „popuri”? Nie macie pojęcia. To był chyba popuri złożony z dziesięciu albo więcej Andżeli, które bez pauzy następowały jedna po drugiej. Czy popuri oznacza piosenkę za piosenką bez pauzy? Nie wiem tylko, czy popuri zawsze się składa z powtarzanej w kółko tej samej piosenki? Wciąż ta sama śpiewka? Wy też nie wiecie. Sen, tańcząc, wyprowadził mnie na taras. Przytuleni, patrzyliśmy w dal. Tam pojawił się rankiem wielka, czerwona albo jakiegoś innego koloru kula. Oczywiście pod warunkiem że patrzyliśmy na wschód. Jeśli nie, rano nie będzie kuli, ale to bez znaczenia.

– Zrobimy to? – zapytał Sen i wskazał głową w kierunku czerwonego audi. Swojego.

A wtedy w moim uchu zabrzmiało: „Odsuń się od chuja, Tonka!”. Kiki mówił jakby z pogroźką w głosie. Tak w ogóle Kiki to spokojny człowiek. Trudno wytrącić go z równowagi. Ma nerwy jak postronki. Ale kiedy taki człowiek się wkurwi, kiedy taki człowiek zacznie mówić głosem, którym Kiki tego wieczoru wysyczał w moje lewe ucho „odsuń się od chuja, Tonka”, to wtedy nie jest to miłe uczucie. Odkleiliśmy się

od chuja i tańczyłam w takt Andżeli. Z grubym Matkiem.

Tak. Mirjana i Borys trzymali się za ręce i splatali palce. Patrzyli sobie prosto w oczy. Przebierańcy wrzeszczeli na Deptaku. Mirjana wiedziała, że struś powoli zdąży do celu. Jakiego celu? Do parkingu o pół kilometra od Deptaku. Kiedy nie jedziecie udekorowanym autem i nie jesteście strusiem, do parkingu możecie dotrzeć w kilka minut. Przez nowy most. Most Bohaterów. Ale kiedy suniecie w paradnym korowodzie, na przystrojonej furgonetce i siedzicie w strusiu, droga na parking trwa godzinami. Ela była u chorej mamy. Odwiedziny u chorej mamy też mogą trwać godzinami. Musicie zaparzyć herbatę, przeczytać, co drobnym drukiem napisane jest na ulotce. Czy rzeczywiście antybiotyki należy brać co dwie godziny po dwie tabletki, jak sądzi chora mama, czy jakoś inaczej. U mamy usłyszycie, jak partyzanci zabijali za kradzież czereśni, a ci dzisiaj... Mamę uwierają zęby i dolne, i górne, protezy nie są takie jak kiedyś, zmarła ciotka Slavka, jaka ciotka Slavka, ta, która cię niańczyła, zmarła też Maca, jaka Maca, ta ze sklepu... Trzeba obejrzeć dziennik. Zdjęcia z czasów młodości mamy. U mamy człowiek musi obejrzeć też zdjęcia z własnego dzieciństwa. Z psem, z kotem, z nieboszczykiem ojcem nieboszczyka ojca. Ustawić antenę satelitarną, obejrzeć spuchnięte palce u stóp, wymasować wątlą kark, znaleźć tabletki voltarenu na noc, przełamać tabliczkę z dziesięcioma tabletkami irumedu na dwie części po pięć... To wszystko trwa. Mirjana i Borys mieli dużo, dużo czasu. Jednak ludzie, którzy latami czekali na spełnienie swojego snu, zawsze są trochę niecierpliwi. Nie będą tracić

cennego czasu na chuchanie w zgrabiące palce i ich rozcieranie. Wstali od stołu. Dlaczego mam się streszczać? Dlaczego mam od razu przejść do seksu? Wiem, wiem, że macie w domu i irumed, i voltarren. I maść, i tabletki. Wiem, że macie też mamę. Okej. Wstali od stołu. Borys zaprowadził Mirjanę do swojej stojedynki... Kto tu pieprzy?! Zapomnieliście o stojedynce?! Nie przypominacie sobie swoich stojedynek? Pewna jestem, że je pamiętacie. Przynajmniej raz w miesiącu, kiedy wpłacacie pięćset marek raty za żelastwo, którym teraz jeździcie. Do diabła z wami! Borys zaprowadził Mirjanę do swojej stojedynki! Tak! Była zaparkowana przy klasztornym ogrodzie. Jakim cudem znalazł miejsce w tej cizbie? Podejrzliwe fiuty! A takim, że Borys zna Miasto, natomiast księża przed wojną nie mieli takiego parku samochodowego jak dziś. Dziś każdy wielebny ma jeepa, audi na podróż do Triestu i smarta do jazdy po mieście. Kiedyś tak nie było. Zadowoleni? Dziś w tym ogrodzie już nie można parkować. Nie ma miejsca. Bramę otwiera się pilotem. Ogrodzenie jest pod prądem. Mają alarm. Teraz jest przechlapane. Muszę wam opowiedzieć, do czego w tym aucie doszło. Choć mnie tam nie było. Z tym zawsze mam kłopot. Mówić o czymś z drugiej ręki. Najprawdopodobniej Mirjana zdjęła w stojedynce buty, rajstopy i majtki, a przedtem płaszcz oraz zakiet i rozpięła bluzkę, a potem stanik. Chyba. Prawdopodobnie. A Borys rozpiął rozporek. „Rozporek”, mocne słowo! Dużo lepsze niż suwak. Suwak brzmi tak jakoś ostro, jak brzytwa. A brzytwa i chuj... jakoś nie idą ze sobą w parze. Mirjana powiedziała do Borysa:

– Wyliz mnie.

Borys ją wylizał. Jak? Jak? Pewnie normalnie. Tak jak się zwykle wylizuje. Nie było w tym nic widowiskowego. W stojedynce, przy klasztorze, przy siedmio-stopniowym mrozie?! Mirjana pewnie miała orgazm i podobno szepnęła:

– Marzyłam o tym od lat.

Widzicie. O tym wam mówiłam. Człowieka dręcząc niespełnione sny. Potem Borys powiedział Mirjanie: „Obciągnij mi”. Albo coś w tym stylu. Albo nic jej nie powiedział. Zamężnym kobietom na drugim końcu fiuta nie trzeba nic tłumaczyć. Wystarczy skinąć głową. Zamężne kobiety są normalnymi kobietami. Mirjana mu obciągnęła. Skrócę trochę. Wciągnęła majtki, rajstopy, buty, zapięła stanik, bluzkę, może poprawiła body. Borys zapiął spodnie i wytarł usta o rękaw koszuli. Wysiedli z auta i przed stojedynką pocałowali się ze smakiem spermy i cipki na ustach. Mirjana poszła na parking i czekała na strusia. Borys ruszył do domu i czekał na Elę. Czekał, czekał i czekał. Ale z chorymi mamami nigdy nie wiadomo. Ela została u mamy na noc.

Dlaczego Mirjana po trzech tygodniach albo trzech miesiącach zadzwoniła do Eli? Dlaczego wszystko wyznała mężowi? Dlaczego zadzwoniła do Borysa i powiedziała mu, że dzwoniła do Eli i wszystko powiedziała Wiktorowi? Dlaczego? Na te pytania nigdy nie otrzymamy odpowiedzi. Eli odbiło.

– Wydaje mi się – powiedziała mi Ela – że oglądam niemy film. Same obrazki. Bez dźwięku.

Tak mi powiedziała. Słuchałam jej jednym uchem. Borys wylizał Mirjanę. To był fakt. Reszta to ból i łzy. Dlaczego „niemy film”, dlaczego „same obrazki”? Pieprzenie.

- Tonka - mówiła mi Ela - oglądam obrazki. Jedno ujęcie, mój Borys oddechem grzeje Mirjanie palce, drugie ujęcie...

Ela dziergała koronkowy obrus. Na dwanaście osób. Wiecie, co to jest? Krwawica. Trwa wieki. To dzierganie tej koronki. No to się wyłączyłam. I włączyłam, kiedy Ela zaczęła płakać, a ludzie na nas się gapić. Siedziałyśmy w kawiarence Stare Miasto, obok tego kościółka. Wielki pies, ogromny dog, wysoki gdzieś na metr siedemdziesiąt trzy, wylizywał cukiernice, które stały na stołach. Łaził od stołu do stołu i wyciągał w stronę cukiernicy długi ciemnoczerwony język. Wylizywał i ruszał do następnego stołu.

- Patrz! - szturchnęłam Elę i ryknęłyśmy śmiechem.

Na ekranie oglądam siwego gościa. Opowiada o ostatnich chwilach wielkiego pisarza Krleży. „Wymachiwał w typowy dla niego sposób rękami i nogami, tak jakby się od czegoś odganiał. Dziwne, bardzo dziwne”. W tym nie ma nic dziwnego. Ludzie nie wiedzą w czym rzecz i gadają głupoty. Czy opowiadałam wam, jak umarła moja babcia? Opowiem wam, to lepiej zrozumiecie Krleżę. Dlaczego Krleża was wkurwia? Dupki! Nie będę wam wyklądać teorii Filipa Latinnovicia, tylko opowiem wam, jak zmarła moja babcia. Pochodziła z Liki. Kiedy sto lat temu przeniosła się do Opatiji, nazywali ją Chorwatką, bo w Opatiji była obca. I ja, i moja stara miło ją wspominamy, bo przekręciła się bez wielkiego hałasu i ceregieli. Jeżeli żyjecie ze starcem pod jednym dachem, to wiecie, o czym mówię. Wasza matka nosi pieluchy? Pst! Ale i to jest dla ludzi. Zmieniać starcom obsrane pieluchy. Ktoś, kto nie ma starców w domu, uważa, że zmienianie pieluch starcowi i niemowlakowi to jedno i to samo.

A to niebo i ziemia. Kupa na początku życia i kupa u schyłku życia nie śmierdzi tak samo. Pieluchy starca sieją depresję. Człowiek zaczyna stawiać sobie pewne pytania. Dlatego babcię super wspominamy. Nie srała do łóżka. Przynajmniej nie u nas. Wpakowałyśmy ją do szpitala. Nie, nie mogę waszej mamy umieścić w szpitalu. Babcię wpakowałyśmy do szpitala dzięki mocnej protekcji. Kiedy teraz o tym pomyślę, wydaje mi się, że moja stara była wtedy ważną kobietą. Kiedyś tylko nieliczni mogli wystać starców do szpitala po śmierć. Babcia w szpitalu ciągle płakała. „Zabierzcie mnie do domu. Zabierzcie mnie do domu”. Podawali jej kroplówkę. To, co miało znaleźć się w żyłach, nie wchodziło do żyły, rozlewało się wokół. Za każdym ukłuciem igły wyrastało małe fioletowe zgrubienie. Pewnego dnia znalazłam babcię na innej sali. Malutkiej. Leżała w zakrwawionej koszuli, wyrwane igły kłuły powietrze, wymachiwała rękami i nogami. Jak Krleża. Tak jakby leżąc, jechała na rowerze. „Grrrrrrrr, hrrrrrr...”. Albo jakoś tak. Bulgotała.

- Siostrrooo...! - wrzeszczałam.

Siostra przyszła. Te w filmach poklepują rodzinę po plecach, szepczą im miłe słowa do smutnych uszu, a starcy albo młodzi udają jazdę na rowerze za zamkniętymi drzwiami.

- To normalne - powiedziała mi siostra.

Krzyczałam. Ale jeśli nie jesteście postacią z filmu, siostra ma w dupie wasze krzyki. Ta sobie poszła. Przytrzymałam babcię za nogi, za ręce, no i znowu za nogi... Okej. Skrócę. Babcia umarła. Nie wspominałabym wam o tym, gdyby ten mądrała z ekranu nie mówił o ostatnich chwilach pana Krleży. I gdyby nie twierdził, jakie to wszystko było dziwne, dziwne i „ty-

powe dla Krleży”. Wkurzają mnie świadkowie ostatnich chwil życia, którzy nie wiedzą, że rowerek w powietrzu to nic dziwnego. Normalka. Moja babcia machała, Krleża machał. I wy będziecie machać... I ja... Tak! Spalam się bez sensu. Moje nerwy są... Macie rację. Cienkie, cieniutkie jak włos.

Czy byliście kiedyś w Dwóch Kasztanach? Dwa Kasztany to kawiarenka w centrum, na parterze. Na ekranie jakieś smarkule w tej kawiarence piją piwo i obnoszą wielkie cycki. Ta kawiarenka na ekranie to główniane miejsce. Nierdzewna stal, chrom... Bez duszy. Dwa Kasztany w czasie wojny były super. Tam się zbieraliśmy: Kiki, Borys, Ela i ja. Robiliśmy w gacie ze strachu przed armatami i okrętami. Właściciel, Djuro, nie był Serbem. Właścicielka Nela to Chorwatka. I rotweiler Roti... Roti nie był Serbem. Nie wkurzajcie mnie! Faszyści! Do Kasztanów przychodziliśmy zawsze przed Dziennikiem. I patrzyliśmy, gdzie jest strefa zagrożenia. „Županja!”. „Strefa zagrożenia w Županji!”. Nikt z nas nie wiedział, gdzie leży Županja. Ale byliśmy solidarni z mieszkańcami miasta oddalonego od naszego o miliony kilometrów. Albo: „Strefa zagrożenia w Babinej Gredzie”. Wszyscy znamy Babina Gredę. Babina duża literą i Greda duża. Tak. Jeżeli nic się nie zmieniło w ortografii. Ale nikt nie wie, gdzie jest Greda. Gdzie jest nieszczęsna Babina. I jej mieszkańcom współczuliśmy. Do Dwóch Kasztanów przychodzili nasi bohaterowie i za drinka opowiadali wojenne historie. Jak weszli do wioski. Podpalili ją. Jak wyły psy. Zabili je. Jak ryczały krowy. Wydoili je. Jak jacyś wieśniacy uciekali. Zabili ich. Jak w zgliszczach znaleźli dziewczynkę i staruszkę. Zabili je. Bo jednemu bohaterowi był potrzebny sztok. Co to jest „sztok”? To futry-

na do drzwi. Po czakawsku. No i załadowali ją na ciężarówkę. A co oni nam robili?!!

To muszę wam opowiedzieć. Pewnego wieczoru w Dwóch Kasztanach oglądaliśmy *Przeminęło z wiatrem*. Mogę to oglądać milion razy i tyle razy oglądałam. Ten film to istne jądro ciemności. Najmroczniejsze z mrocznych. Dla mnie Rhett i Scarlett to postacie pełne blasku. Jak figury z lodu w poświacie księżyca, klejnoty w białym śniegu, mała panda, maleńki koala. Kociątko w wiklinowym koszyku. Aki, kiedy była niemowlakiem. Kiki, kiedy mi przyniósł gałązkę orchidei do szpitala po skrobance. Rhett i Scarlett. Mogłabym ich oglądać trzy razy dziennie. Tego wieczora, kiedy oglądaliśmy *Przeminęło z wiatrem*, w strefie zagrożenia znajdowało się Miasto. Nasze miasto. Przez ekran bez przerwy przepływał napis: „Strefa zagrożenia w Mieście, strefa zagrożenia w Mieście, strefa...”. Kumacie to. Okej. Jeden wielki bajzel. Co innego, kiedy przez ekran przelatuje „Čazma” albo „Greda”, albo „Zagrzeb”. Człowiek może jakoś zrozumieć, że te miasta pochłonie dym i wielki ogień. Wojna to wojna. Wszystko jest możliwe. To miasta zapomniane przez Boga. Nie są twoim domem. Ale Miasto?! Do kurwy nędzy! Okropny bajzel. A do tego jeszcze na ekranie Atlanta w płomieniach, Tara w płomieniach, Rhett pędzi na koniu przez straszliwy pożar, Murzyni krzyczą i padają trafieni w czarne serca, niebo w ogniu, ziemia w ogniu, konie stają dęba... A człowiek nie może się wczuć w cały ten bajzel. Nie może się rozkoszować. Kiedy przez ekran przelatuje „strefa zagrożenia w Mieście”, człowiekowi doskwiera to „zagrożenie”. Okej. Będę się streszczać. Każdy z nas zamówił po dwa albo nawet i trzy dania, bo myśleliśmy, że to



będzie nasza ostatnia kolacja. Kiki pochłaniał smażone kalmary, a ja spaghetti z sosem pomidorowym. Dużo piliśmy. I czekaliśmy na koniec filmu. Tak jakby wymawiane przez Scarlett „Jutro będzie nowy dzień” miało postać „strefę zagrożenia” do Bjelovaru albo w jakieś inne zadupie. Skąd wiecie, że Bjelovar nie jest zadupiem? Okej. Czekaliśmy na koniec. Nic. Napisy. Nic. Kto wie, jak długo gapiliśmy się w ekran porażeni strachem i grozą, aż w końcu dotarło do nas, że oglądaliśmy film z kasety wideo, że „zagrożenie” było sprzed dziesięciu dni i że nas pieprzona Nela, właścicielka, zrobiła w konia. Suka. Złośliwa suka. Tylko wolnego, wolnego! Myślicie, że nie ma sprawiedliwości na tym świecie? Że nie ma Boga? Posłuchajcie tego. Zaczynam! Wyobraźcie sobie stary hotel w Rimini. Trzydzieści obskurnych pokoi. I jeden apartament. W nim mieszkają Lucio i Lina. I Ona. Lucio ma osiemdziesiąt jeden lat i parkinsona. Lina ma osiemdziesiąt jeden lat i parkinsona, i alzheimera. Lucio jest zakochany w Linie, Lucio do szaleństwa kocha Linę, czule do niej przemawia, trzyma ją za rękę, śpi z nią w łóżku. Lucio jest straszliwie bogaty. Tylko na książeczkę oszczędnościowej ma dwa miliardy lirów, ale Jej nigdy nie zapłacił sto tysięcy lirów więcej. Posłuchajcie dalej.

6.00: Ona wstaje. Pije kawę na tarasie i pali pierwszego papierosa. W środku nie może palić.

7.00: Ona odstawia żelazko i przygotowuje tabletki na cały dzień dla obojga. Wkłada je do pudełeczek. Gotuje rzadką kaszkę i rzadki budyń. Sprząta trzy pokoje i łazienkę.

8.00: Lina musi połknąć łyżeczkę rozgniecionych tabletek. Nie chce otworzyć ust. Ona próbuje otwo-

rzyć jej usta palcami. Lucio je śniadanie w kuchni. Lina jest zasikana po czubek głowy. Ona wkłada gumowe rękawice i przebiera ją. Lina jest koścista. Wymachuje rękami i nogami. Waży trzydzieści dwa kilo, ale jest silna. Nie lubi się myć. Zastyga. Po prostu zamienia się w kamień. Ona sina jest od jej uderzeń. I mokra od wody. Kiedy wytrze Linę, ubiera ją. I zdejmuje pościel. Pościel zmienia dwa razy dziennie oprócz tych dni, kiedy Lina bierze laksantes. Wreszcie Lina jest ubrana. Siedzi na łóżku. Przywiązana. Cały czas się trzęsie. Ona łyżeczką wpycha do jej ust rozrzedzoną kaszkę. Lina pluje. Jednak coś jej tam wpada.

9.00: Przychodzi pielęgniarka. Podłącza Linę do kroplówki. Lina jest niespokojna. Ona przywiązuje ją za ręce do łóżka. Wpycha jeszcze trochę kaszki w jej wpółotwarte usta. Lina się broni. Ale Ona jest wytrwała.

10.00: Ona wkłada zasikaną pościel do pralki. Zbiera suchą z poprzedniego dnia i prasuje.

10.30: Ona przygotowuje obiad dla Liny. Jarzyny, mięso, marchewka, ryba. Wszystko to miksuje na rzadką, bardzo rzadką papkę. Dla Lucia nakrywa stół w kuchni. Na obiad każdego dnia musi być przystawka i danie główne. Przystawka: spaghetti albo ryż, główne danie: kurczak i pureé. Cukinie muszą prawie parzyć, bo inaczej nie będzie ich jeść. Cukinie muszą być na obiad. Każdego dnia.

12.30: Obiad. Lucio w pidżamie. Trzęsie się. Podpytuje. Dlaczego Lina jest przywiązana? Czy zjadła dostatecznie dużo? A czy piła? Trzęsie się. Ona zostawia go w kuchni. Je obiad sam. Ona idzie do Liny. Znowu łyżeczka. Znowu wpółotwarte usta, które się zaciskają. Próbuje jej wepchnąć w małą szparkę tro-

chę ryby, jarzyn i marchewki. Lina jest cała zasikana. Ona w dzienniczku zapisuje, ile łyżeczek połknęła Lina. Ile wypita płynów. To dla lekarza rodzinnego.

13.30: Ona myje Linę od stóp do głów. Lina ma kroplówkę w żyłę. Zapiera się. Ona ją ubiera. Podnosi z łóżka. Lina ciąży Jej na rękach. Jak kamień. Ona nie sie ją na fotel. Lucio za nimi przenosi kroplówkę. Ona przywiązuje Linę do fotela. Musi uważać na wolną rękę Liny. Żeby nie wyrwała kroplówki. Ściele łóżko. Zasiakaną pościel wrzuca do pralki. Zmywa naczynia, sprząta pokój, prasuje pościel...

15.30: Przenosi Linę do czystego, suchego łóżka. Lucio niesie kroplówkę. Lina się zapiera. Ciężka jest jak ołów. Nie chce do łóżka. Ona przywiązuje ją do łóżka i podłącza drugą kroplówkę. Do żyły spływa woda z glukozą. Lucio leży teraz obok Liny. Trzyma ją za rękę, tę wolną i szepce do niej: „Wiesz, kim jestem? Jestem Lucio. Lucio, twój mąż...”. Lucio zażądał kiedyś, by Linę zabrano do szpitala, bo lekarz zobaczył, że ma coś na macicy. W szpitalu Lucio domagał się badań u najlepszego ginekologa. Na szczęście ukochana Lina nie miała raka. Córnka przyjeżdża do nich dwa razy w tygodniu. Kiedy idzie do fryzjera. Lucio gładzi Linę po włosach. Ona prasuje. Prasuje.

17.30: Przyjeżdża lekarz. Odłącza kroplówkę. Zakłada na rękę opatrunek, ale dziura w żyłę zostaje.

18.00: Kolacja. No tak. Ona lekarstwa podaje im przez cały dzień. Kolacja. Lina wypluwa kaszkę owocową. Ona małą łyżeczką zbiera kaszkę wokół wąskich ust i wpycha z powrotem. Kiedy Lina zje, Ona ją przebiera. Lina zasikana jest po czubek głowy. Ona zdejmuje pościel. Lucio je kolację w kuchni. Filet z ryby, jarzyny, kaszka owocowa. Tak. Co drugi dzień Ona

podaje Linie laksantes. Nie wie, jak to nazwać. Lina robi pod siebie kilka razy dziennie, po szyję. Albo obsrywa się kilka razy dziennie do czubka głowy. Albo... zresztą zrozumieliście. Dopóki Lina robi pod siebie albo sra czy jak tam chcecie, Ona w kółko zmienia pościel, pierze, suszy i prasuje.

20.30: Lina leży w łóżku, gotowa do snu. W ciągu dwudziestu godzin połknęła jedną tabletkę. Nie powinna zasnąć.

21.00: Lina połyka ostatnie tabletki. Roztarte na łyżeczce. Lucio leży przy Linie. Nie śpi.

22.00: Lucio łyka swoje ostatnie tabletki. Ona zmywa. Pali na tarasie. Prasuje. Wiesz na suszarce mokrą pościel. Pali na tarasie.

23.00: Ona się kąpie. Idzie do łóżka. Myślicie, że od razu zasypia, bo jest zmęczona jak pies? Mylicie się. Bez swoich tabletek nie mogłaby w ogóle zasnąć.

24.00: Połyka tabletki na sen.

24.30: Śpi.

Zarabia osiemdziesiąt trzy tysiące lirów dziennie. Ma prawo do czterech wolnych godzin tygodniowo. Nie buntuje się. Rosjanki i Polki są o połowę tańsze. „Ona”, kim jest Ona? Ona to Nela. Nela, ta sama co nam puszczała *Przeminęło z wiatrem* z kasety wideo. Istnieje sprawiedliwość! Sami widzicie, że nie należy robić sobie z ludzi jaj!

Szkoda, że nigdy nie zobaczycie Eli. Mojej najlepszej przyjaciółki. Jest młodsza ode mnie o dwanaście lat. Dziś ma może czterdzieści, może trzydzieści osiem albo trzydzieści sześć. Pamiętacie, jak siedzieliśmy razem w kawiarence obok kościółka... Kiedy ten pies wylizywał cukier? Otóż to. Wtedy jeszcze nie mia-

ła trzydziestki. Ela jest wysoka, smukła. Może z metr osiemdziesiąt. Sześćdziesiąt dwa albo trzy kilogramy. Włosy jasnobrązowe. Gęste. Do ramion. Proste. Przeważnie związane w kucyk. Pamiętam, jak wyglądała wtedy, gdy ten pies w kawiarence obok kościółka... Jej oczy zasłaniały ciemne okulary, twarz blada, bez makijażu, wpatrywała się we mnie, a różowe usta, bez szminki, pełne, otwierały się i zamykały, i znów otwierały... I zamykały. Nie wkurzajcie mnie. Więc patrzyłam na jej białe, równe, duże zęby. Ma wystające kości policzkowe. Ela to piękność. Nie mówię, że było mi miło, to byłoby świństwo, że Borys wylizał Mirjanę w tamtą mroźną noc. Ela jest moją przyjaciółką. Ale kiedy patrzyłam na Elę, kiedy patrzyłam prosto w te jej piękne usta i zęby, które są jej własnymi zębami, nie ma koronek, i kiedy przypominałam sobie moje zęby pod koronkami, było mi miło, że nie ma żadnych reguł. Że uroda nie daje żadnej pewności ani gwarancji. Możesz być piękny jak kotek w wiklinowym koszyku albo oko hipopotama. To dla mnie coś najpiękniejszego na świecie, oko hipopotama. Nie wiecie, o czym mówię? Czy kiedykolwiek przyjrzelście się uważnie małemu oczku hipopotama? Szkoda. Chcę tylko powiedzieć, że możesz być piękna jak oko hipopotama, twój mąż i tak wysunie język w stronę innej cipki. Miłe uczucie. Miłe! Wtedy, w tej kawiarence, kiedy pies wylizywał cukier, ona opowiadała mi, jak Borys wylizywał Mirjanę. Poklepała mnie po ramieniu.

– Słuchasz mnie? – spytała.

– Tak – powiedziałam.

– Co byś zrobiła na moim miejscu? Co mi radzisz?

Co za słowo „radzić”! Kiedy w tej restauracji w Opatiji jadłam rybę i później miałam srakę przez tydzień,

kelner do mnie powiedział: „To bym pani doradził...”. Gnojek. Nie lubię poradnictwa. Milczałam.

– Powiedz coś – błagała Ela.

– Słuchaj – odparłam – bądźmy realistkami.

– Dobrze – powiedziała Ela.

– Stoisz na mroźnym Deptaku.

– Tak – powiedziała Ela.

– Stoisz w wielkiej cizbie.

– Tak – powiedziała Ela.

– Zimno ci. Trzęsiesz się, patrząc na korowód przebierańców, ciężarówek i cały ten harmider...

– Tak – powiedziała Ela.

– Borys pojechał do rodziny w Dalmacji. Tobie jest zimno, ale nie chce ci się iść do domu, do pustego mieszkania. Reporterzy radiowi wrzeszczą: „Super! Supeer, drodzy słuchacze!”.

– Tak – powiedziała Ela.

– Czy przeżyłaś w ogólniaku jakąś niespełnioną miłość? Jakąś wielką miłość? Jakiś sen?

– Nie – powiedziała Ela.

– Czy kiedykolwiek podobał ci się jakiś licealista? Ktokolwiek, kiedykolwiek? Może z jakiegoś innego liceum?

– Nie – powiedziała Ela.

– Czy kiedykolwiek, do cholery, ktoś ci się podobał?

– Tak – powiedziała Ela.

– Dobrze – powiedziałam ja. – Super. Stoisz tam, w cienkim płaszczu, zimno ci, jest tłok. Nie możesz się dopchać do autobusu. Borys zabrał samochód.

– Tak – powiedziała Ela.

– Nagle, w tym tłoku, ten twój dotknie twojego ramienia. Ty się szarpiesz, odwracasz i widzisz... Jakie ten twój ma oczy?

– Brązowe – powiedziała Ela.

– No i widzisz jego brązowe oczy, on do ciebie mówi: „Trochę przegiąłem, ale mam już tego dość”, po czym dodaje: „Chodźmy” i bierze cię za rękę. Poszłabyś?

– Poszła – powiedziała Ela.

– No widzisz – powiedziała i ulżyło mi.

Ela zdjęła okulary.

– On cię prowadzi do swojego samochodu. Jaki ma samochód? – spytałam.

– Stojedynkę – powiedziała Ela.

– No to jesteście w samochodzie, facet wrzuca jakąś kasetę, ty lubisz muzykę, jaką kasetę?

– Queen – powiedziała Ela.

– Okej. Queen. Znam ich. I kiedy świętej pamięci pedzio Freddie i gruba Montserrat wrzeszczą: „Barse-looooooaaaaa...”, on zaczyna cię lizać. Kiedy nieboszczyk znowu wyje „Barselooooooaaaaa”, ty obciążasz jemu. Czy to aż tak nieprawdopodobne?

– Nie – powiedziała Ela.

– Okej – powiedziała ja – więc wybac i zapomnij.

W tej kawiarence podają do herbaty ciasteczka w kształcie serca. Wpakowałam ciasteczko do ust. Kiedy zaczęło mięknąć i kiedy Ela paliła, trzymając pewną ręką papierosa, a jej oczy wyglądały jak dwie ciemnobrązowe oliwki w przezroczystej oliwie, spytałam:

– Kto jest tym facetem?

– Kiki – powiedziała Ela.

Zgadzam się z wami. Chociaż nic nie powiedzieliście. Głupio jest pleść głupoty i coś doradzać. Ale wy mnie nie znacie. Myślicie, że się wkurzyłam, kiedy

usłyszałam, że Ela marzy o języku Kikiego w swojej cipce. Nie. Było mi miło. Miło. Bo wiem, że Kiki nigdy, przenigdy nie dotknąłby ramienia Eli. Kiki nigdy by nie wyciągnął języka w stronę Eli cipki. Jestem tego pewna. Ale jeśli w ogóle, no w ogóle, kiedyś, czasem coś liźnie... Kumacie. Jeśli... Powiem wam. Ja bym spokojnie mogła przejść nad tym do porządku dziennego. Jeżeli kogoś kochasz, to jest ci miło, kiedy go coś miłego spotyka. Ludzie kochani, życie jest krótkie! Jeżeli zechcesz wylizać czyjąś cipkę, wyliz ją. Żeby potem latami nie zżerał cię żal, że nie wytarłeś ust rękawem. Nie, nie jestem Matką Teresą. Nie, nie odrąbałabym Kikiemu tasakiem fiuta, gdyby mnie zdradził. Jesteście porąbani.

Na ekranie – reklamy. „Mama” ma piętnaście lat. Może nawet nie. Wokół niej trójka „dzieci”. Dlaczego mamy w chorwackich reklamach mają piętnaście lat?! Dlaczego cholerni pedofile nie zajmą się czymś innym?! „Mama” drobi czekoladę do jakiejś mikstury, która wygląda jak ryż na mleku, ale nie jest ryżem na mleku, tylko jakąś rzadką breję. Białą. Trójka debilnych, rozwydrzonych szczeniaków oblizuje się. „Mama” łyżeczką wpycha ten ryż, który nie jest ryżem, w głupawe usta pociech. Ryż na mleku! To moje ulubione danie. Nie wiem, jak na was działają skrobanki. Co myślicie o przerywaniu ciąży? Niektórzy mówią, że wyskrobki też są dziećmi. Mali ludzie, którym nie dano szansy, by im wyrosły długie ręce i nogi. Wyskrobki mają wszystko, tyle że małe. Wszystko jest u nich śladowe. Mogą odczuwać ból. Tak jak wy albo ja. Zapomniałam o wszystkich moich wyskrobkach. Choć to były dzieci, więc powinnam pamiętać. Syn mojej babci, Joško, zmarł, kiedy miał dwa tygodnie. Babcia wspomina-

ła go przez całe życie. Pięćdziesiąt dwa lata. No i widzicie. Nie wszyscy jesteśmy tacy sami. Uważam jednak, że wokół skrobarek robi się zbyt wiele hałasu. Robią go mężczyźni. Mężczyźni, którzy mają głęboko w dupie, co się dzieje z ich dużymi dziećmi. Z tymi, które już mają długie ręce i nogi. Które idą do pierwszej klasy. Którym trzeba kupić tornister albo dres i z nimi rysować. To im wisi i powiewa. I nie płacą alimentów. Uważają, że matka zdzira przepuści je na lakier do paznokci do nóg, a potem będzie zadzierać te nogi i wpuszczać niewłaściwego chuja. Oni, ojcowie, nie mogą się z tym pogodzić. Dla swoich dzieci nie mają ani forsy, ani czasu, ale o waszych i moich dzieciach, którym jeszcze nie urosły ręce ani... Okej. Gdybym im dała szansę, urosłyby im i ręce, i nogi. Jacy wy jesteście mądrzy! Na czym to stanęłam? Ci kolesie nawet nie wiedzą, że mają własne dzieci, ale o skrobankach wiedzą wszystko. Piszą naukowe rozprawy, wygłaszają wykłady, rozdają ulotki, pokazują slajdy i filmy, na których w zwolnionym tempie możecie zobaczyć, jak się rozrywa małe ciało. Sukinsyny mają oczy pełne miłości dla martwych i przyszłych wyskrobków. Chcieliby połączyć wyskrobki wszystkich krajów. Postawić je na nogi! Wolnego! Ja zapomniałam o swoich malutkich wyskrobkach. O kilku. Ale wciąż jest panika, kiedy się opóźnia. Straszliwa panika. Najpierw dotykasz cycków. Zawsze w te dni są większe, niż powinny być. Nabrzmiąte i bolące przy dotyku. Wsadzasz palec między nogi. Może wyciągniesz coś czerwonego. Jeżeli nie czerwonego, to choćby brunatnego. Albo rdzawego. Lepszy rydz niż nic. Wolnego. Mnie ciągle dopada kandida. Co to jest kandida? Grzybica, mądrale. Rozwija się, kiedy spada odporność. A moja od-

porność jest zawsze do niczego. Ale w te dni, w ciągu tych dni, kiedy wsadzasz palec do dziury, nie ma nawet zasranej grzybicy. Nic! A nie masz ochoty na test, bo wolisz łudzić się nadzieją. Olać test! Najłatwiej kupić test! A wiecie, co jest najgorsze?! Przez to też przesłałam. Najgorzej jest myśleć negatywnie. Myśleć, że jesteś w ciąży! Choć nie jesteś, ale tego nie wiesz! No i się bzykniesz, jakbyś była, a nie jesteś, no i wpadasz... Nie nadążacie za mną? Okej. Chcę wam powiedzieć, że panika jest, dopóki nie wiesz. Kiedy się dowiesz, pozostaje technika. Wcześniej rano ruszasz na porodówkę z reklamówką w ręce i stajesz w kolejce do rejestracji. W reklamówce masz koszulę nocną, kapcie, podpaski, zapasowe majtki, bawełniane skarpetki, bo na „samolocie” jest lodowato, stopy masz lodowate... Do pierwszej skrobanki szłam na porodówkę z wielką skórzaną torbą. Tak żeby wyglądało, że jadę w podróż służbową, że wpadłam tu tylko po drodze na lotnisko. Torba była praktyczna, bo mogłam do niej włożyć dodatkowy sprzęt: szampon, ręcznik, szminkę, szlafrok frotté, *Przeminęło z wiatrem...* – na wypadek gdyby nie ustało krwawienie. Kiedy podejdziesz do okienka, musisz pielęgniarkę wykrzyknąć imię, nazwisko, adres, rok urodzenia... Cholerne pielęgniarki w okienkach zawsze są głuche. Czyste i schludne. Nigdy w brzuchu nie noszą wyskrobka. Ładnie pachną o siódmej rano i nigdy nie mają za sobą długiej nocy, ohydnej nocy, podczas której zadawały sobie tysiące razy pytanie: po kiego mi to było? Żeby było weselej, on wcale nie chciał się we mnie spuścić. Im najczęściej jest wszystko jedno. Ta dziura czy inna... Spuszczą się, gdzie chcesz. Ale my uważamy, że chcą się spuścić w nas. Chcemy im dogodzić. Dzięki temu zatrzymamy

mężczyznę przy sobie, nigdy nie będziemy samotne, drwiąco będziemy się uśmiechać pod nosem, czytając „Cosmo” u fryzjera. I artykuł pod tytułem „Jak go zatrzymać”. Nam się to udało! Nasz spuszcza się do środka, nie naciągga kapturka! My go mamy! W przeciwieństwie do głupich pind, które go nie mają, które nie postawiły wszystkich swoich dziur w stan gotowości i dlatego muszą czytać „Cosmo”. My jesteśmy szczęśliwie zamężne, szczęśliwie złączone, szczęśliwie zespolone i szczęśliwe na „samolocie”. Anestezjolog pyta cię, czy jesteś na coś uczulona, a pielęgniarka powtarza niżej, niżej, jeszcze niżej... Lekarz nic do ciebie nie mówi, dzisiaj jesteś dziewiąta, lekarz na ciebie nie patrzy i w ogóle cię nie widzi. Miał dyżur ostatniej nocy, nie spał, bo ten nowy nie daje sobie rady. Kto mu dał dyplom? Gdyby jego ojciec nie był tym, kim jest, ten matoł byłby szoferem we Włoszech. Wszystko to lekarz opowiada pielęgniarce, która słucha i milczy, bo twój tyłek jest dostatecznie nisko, a cipka wysoko. Anestezjologa nie widzisz, ale czujesz jego obecność. Stoi ci za głową. A potem – to dla mnie najlepsze chwile w życiu – wbija ci igłę w żyłę. Uczucie, że lecisz tam, gdzie chciałabyś polecieć, ale brak ci jaj albo ci się nie udało, tak jak mnie, i cię budzą. Budzą cię i mówią, że musisz myśleć o swoich najbliższych. Ten odlot jest lepszy od każdego orgazmu. Od nowej pary butów prady, od oczka hipopotama... Mogłabym oddać życie za ten moment, gdy anestezjolog wbija mi igłę w żyłę... A potem się budzisz. W sali z pięcioma albo sześcioma kobietami. Cztery już pakują koszulę nocną i zakrwawione majtki do reklamówki, piąta pali na korytarzu. Kiedy budzę się z narkozy, mam ochotę na ryż na mleku. Ryż na mleku zawsze dostają mamy po po-

rodzie. To moje ulubione danie. Podają go tylko na porodówce. Możecie mieć kupę kasy, wasz mąż może być prezydentem albo bossem chorwackiej mafii, a i tak w najdroższej opatijskiej restauracji nie dostaniecie ryżu na mleku. Za żadne pieniądze. Nie ma takich pieniędzy. Skubani nie potrafią tego ugotować. Taki ryż pierwszy raz zjadłam po urodzeniu Aki. Jeszcze czuję ten smak w ustach. Raz, po skrobance, zamówiłam ryż na mleku. Wiedziałam, że kobiety po skrobance nie zasługują ani na obiad, ani na wodę, ani na herbatę, ani na nic. Nie wolno parszywej zdzirze, która zabiła ludzką istotę, która zatrzymała wzrost malutkich rączek i malutkich nóżek, która zgasiła oczu blask i śmiech, i radość, nie wolno takiej zdzirze podać obiadu. Chyba że miałby to być jej ostatni obiad w życiu. A przecież nie jest. Wyobraźcie sobie minę pielęgniarki, u której taka smarkata zdzira, jaką byłam przed dwudziestoma pięcioma laty, zamawia ryż! Wyobraźcie sobie tę minę! Ta prośba nie jest dla niej przejawem rozkapryszczenia, szaleństwa czy głupoty. To bezczelność! Prowokacja! Wrzask: Mam was w dupie, gnojki! Kit wam w oko! Ja jestem panią swojego ciała! To jest krzyk, a oni oczekują nieśmiałego szeptu. Nie dostałam ryżu. Nie byłam zła. Pielęgniarka ma prawo do swoich zasad. Ale przysięgłam sobie. Kiedyś, wcześniej czy później... Tak. Dostanę ten ryż na mleku. Na ostatnią skrobankę poszłam, kiedy było jakieś zamieszanie wokół Plitwickich Jezior. Wielka afera! Dlatego zapamiętałam. Może to był właśnie początek tej wojny? Ale to niczego nie zmieniło. Wdrapałam się na „samolot” i przebudziłam na sali. Jedyńce. Mój Kikuś to opłacił. W wazonie stała gałązka orchidei. Marzyłam o orchidei. O bladioróżowych kwiat-

kach w szklanym wazonie. A nie o słoiku z ogórkami lub kompocie z wiśni. Chciałam po przebudzeniu spojrzeć na coś ładnego. Wiedziałam, że się przebudzę. Rzadko kto wyciąga kopyta podczas skrobanki. Przy najmniej kiedyś tak było.

- Czego sobie pani życzy? – spytała mnie pielęgniarka. – Ciepłej herbaty, soku, obiad, trochę zupki?

- Ryż na mleku, podwójny – wymamrotałam.

Gorący ryż powoli wpychałam w zgłodniałe usta. Ale co wy o tym wiecie? Co wiecie o sile szmalu?! Kiki zapłacił tysiąc marek. Za odrobinę ryżu i gorącego mleka! Dlaczego nie zażądałam czegoś spośród przepisów ze *Złotej księgi kulinarnej* świętej pamięci pani Vučetić? Jesteście głupi. Głupi jak but.

Oczywiście, że Ela wpadła w popłoch, kiedy Borys dostał to cholerne wezwanie. Zapomnieliście... Nie. Okej. To potworne uczucie. Spotkałyśmy się w Dwóch Kasztanach. O dziesiątej rano. Może jedenastej. Kellner przyniósł nam dwa podwójne mocchiata. Wiedziałyśmy, co pijemy o dziesiątej albo jedenastej rano. Oczywiście Eli błyszczały. Już wam mówiłam. Dwie wielkie, brązowe oliwki w białej przezroczystej oliwie. W lodowatej wodzie.

- Nie zniosę widoku martwego Borysa na marmurowym stole. Rozcięty tors i grube szwy.

Ela obejrzała za dużo filmów kryminalnych.

- Pieprzysz – powiedziałam – żołnierz dostaje kulę w pierś albo go bomba rozwała Bóg wie gdzie. Kto by targał na front kamienny stół...

- Tego też nie mogę znieść – westchnęła Ela i zmroziła mnie wzrokiem. Dosłownie. – Pójdę do niego. Wejdę do jego biura i powiem: „Jestem Ela, żona Borysa”.

Mówiłam wam, Wiktor, ten ze strusia, mąż Mirjany, był szefem Departamentu Obrony. Ela i Borys byli pewni, że wezwanie nadeszło z powodu tego nocnego lizania. O czym wy mówicie? Wy nikogo nie lizaliście i posłali was na wojnę?! Nie chrzańcie! Mówię o przekonaniu. Jeżeli ci się wydaje, że coś jest prawdą, to jest prawdą. Dla ciebie. Innych masz w dupie. To była afera! To jest afera! Kiedy wiesz, że zginiesz, bo twój język zetknął się z niewłaściwą śluzówką. Paskudne uczucie. Drań chciał złożyć na ołtarzu Ojczyzny życie Borysa, bo ten wylizał mu żonę. Sami widzicie, co za kurewstwo! Ludzie, bojownicy, bohaterowie giną na wojnie za ideały, za wolność, pokój i demokrację, lepsze jutro swoich dzieci... Kumacie? Co za bezsens zginąć, oddać życie Chorwacji, dlatego że wylizaleś niewłaściwą cipę?! Co to za kraj, w imię którego składane są takie ofiary?! Wszystko to kołatało nam po głowach, Kikiemu, Borysowi, mnie, Eli... Za tym stołem w Dwóch Kasztanach Ela powiedziała mi:

- Wejdę do jego biura. Jeżeli to będzie konieczne, będę się z nim pieprzyć.

Zapaliła papierosa. Ja, dzięki Bogu, już nie palę. W Mieście mówi się, że palą jeszcze tylko Serbowie i dokerzy.

- Nie rozumiem – powiedziałam. – Jak masz zamiar to zrobić? Wtargnąć do biura i powiedzieć Wiktorowi z głupia frant: „Zerżnij mnie”? Gdyby tak można było wybawić chłopaków od wojska, Wiktor jebałby przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wszystkie byśmy stały w kolejce i dawały Wiktorowi trzy razy dziennie za uratowanie życia naszych mężów. Ela, nie jesteś oryginalna. Uspokój się.

- Słuchaj – powiedziała Ela – moja cipka to nie by-

le jaka cipka. Mój Borys wylizał jego żonę, Wiktor wylize mnie i będziemy kwita.

Patrzyłam w te oczy Eli niby oliwki w oliwie.

– Co ty na to? – zapytała Ela.

– Super – powiedziałam. – Niewarto sobie nawet strzępić języka o jedno lizanie. Jeśli to może pomóc, cena nie jest zbyt wygórowana.

– Nie będzie to jedyny przypadek w historii – skwitowała Ela.

Stałam się czujna. Kiedy ktoś w rozmowie zaczyna przebąkiwać coś o historii, staję się bardzo, bardzo czujna. Nie znam historii. Nic nie wiem o historii.

– Jakiej historii? – spytałam.

– W historii zdarzały się przypadki, że kobiety płaciły za wolność własnym ciałem.

– Naprawdę? – spytałam przepętniona kosmiczną niewiedzą.

– Zresztą przypomnij sobie Judytę – powiedziała Ela. I spojrzała na mnie wymownie. Już wam mówiłam o jej oliwkach w przezroczystej oliwie. Judyta? Judyta?! Kim jest, do cholery, Judyta?! Nie musicie mi wierzyć. Jedyna Judyta, która przyszła mi na myśl, to siostra mojej teściowej. Stare skąpiradło, bogate wysuszone próchno, o którym nie chce mi się gadać. Judyta. Judyta? Judyta?!!!!

– Tak – powiedziałam – masz rację.

I patrzyłam prosto w oczy Eli, bo nie chciałam, żeby wiedziała, że ja nic a nic nie wiem o Judycie, która robiła komuś loda, by uratować męża przed wojskiem.

– Jeżeli Judyta mogła się oddać Holofernesowi, a sama wiesz, jak wyglądał Holofernes, to i ja mogę Wiktorowi.

Holofernes. Holofernes?! Holofernes!!! Może wy

wiecie, jak wyglądał Holofernes?! Może wy nie wążaliście się po opatyijskim parku, kiedy pani profesor Mara opowiadała o dziwce Judycie i jebace Holofernesie. Może wy nie. Ja tak. Jakoś brak mi odwagi, żeby się przyznać, kiedy czegoś nie wiem. Wstyd mi. Wszyscy wokół mnie mają dyplomy. I Kiki, i Borys, i Miki, i Ela, wszyscy wszystko wiedzą o Judycie i Holofernesie, i jest mi głupio.

– Co prawda – ciągnęła Ela – Judyta poświęciła się, żeby uratować swój naród, cały naród, nie jednego mężczyznę. Puściła się z Holofernesem i odcięła mu głowę, ratując w ten sposób cały naród, ale kit jej w oko, ja...

Nogi ugięły się pode mną.

– Masz zamiar odciąć głowę Wiktorowi... ty chyba nie jesteś...

– Skąd! – zachnęła się Ela. – Chcę mu tylko dać dupy albo pozwolić mu się wylizać, albo obciągnąć mu druta! Nie chcę patrzeć, jak martwy Borys leży na kamiennym stole.

Znowu reklamy na ekranie. Komórki. Eskimosi brandzlują komórki, wysyłają wiadomości do Bóg wie kogo, a stara Eskimoska śmieje się do komórki jak wariatka, która zobaczyła lalkę bez głowy. Zdumiewa mnie rozwój telefonii. Podczas ostatniej wojny Kiki i ja jeździliśmy do Ilirskiej Bistricy na szoping. Tam wszystko było tańsze. Teraz jeździmy do billi. W soboty. Znać ten mały market w Bistricy obok poczty... Nie znać? Nie wiecie nawet, gdzie jest Ilirska Bistrica?! Okej. Przy drodze jest mały market, a obok poczta. Nienawidzę marketów ani małych, ani wielkich. Wchodzę do nich, kiedy muszę i jeśli muszę. Cokolwiek Kiki kupi, jest w porządku. Jednak czasem wchodzę z nim do bil-



li. Żeby nie był tam jedynym facetem bez baby. Do tego małego marketu w Bistricy nie wchodziłam. Na pocztę, owszem. Wtedy nie można było z Chorwacji zadzwonić do Serbii. Ze Słowenii owszem. Za trzy albo cztery marki za minutę. Policzcie sobie. Wszyscy nasi Serbowie z Miasta jeździli do Ilirskiej Bistricy, no i na małą pocztę. Godzinami czekali przed kabinami telefonicznymi. Do kabin wchodziły całe rodziny. Mama, tata, dzieci. Ktoś z nich kręcił tarczą i kręcił, i kręcił. Kiedy się połączyli, jedno drugiemu przekazywało słuchawkę. „To ty Vasooo? Jak tam u was? Aa... Słyszysz mnie... Žarko, mówi Žarko... Žarko... U nas dobrze, daję ci Danicę”. „Tu Danica, Danicaaa, u nas w porządku, dostałam dowód tożsamości... wczoraj, nie, tata nie dostał... ani brat... daję ci Sašę...”. „Tak, żyję, dam ci tatę”. Łączność często się rwała. Ci w kabinie krzyczeli do głuchej słuchawki. Nie połapali się, ale za to połapali się ci, co stali pod kabiną. Następni w kolejności podchodzili do drzwi. Bez agresji i bez nerwów. Spokojnie. Tak by ci w kabinie widzieli, że ci na zewnątrz wiedzą, że połączenie zostało przerwane, i że teraz oni powinni dostać szansę. Ci z kabiny wychodzili jakoś tacy zadowoleni i posępni zarazem. A co oni nam robili?! Sto razy byłam na tej małej poczcie. Nikt nigdy nie podniósł głosu. Serbowie wycierali nogi o wycieraczkę, odstawiali parasolki, nie sprawdzali rachunków. Urzędniczki patrzyły zimnym wzrokiem i nigdy nie zamykały poczty po siódmej. Choćby czekała setka ludzi. Zawsze zamykały punktualnie o siódmej. Do kogo dzwoniłam? Czy przerywało mi połączenie? Ale z was bydlaki! Złośliwe, wstrętne bydlaki! Do nikogo nie dzwoniłam! Dlatego tam byłam! By udowodnić sobie, że tam daleko nie mam nikogo! Że jacyś

inni mają z tamtej strony Vasę, cały klan Vasów. Że oni są Serbami, a ja nie. Wiedziałam jedno, że wtrysnął mnie pieprzony Živko Babić, i że bycie Serbem to nie stan ducha, tylko biologia! Wiedziałam, że tak jest! Serbskość można udowodnić. Jeżeli matkę zerznął ci Živko, pobiorą jemu DNA, pobiorą tobie DNA, jeżeli będą pasowały, możesz wejść do kabiny i drzeć się, halo, halo... ile wlezie. Oczywiście, że możesz naokoło trąbić, że w duchu jesteś stuprocentowym Chorwatem, nikt ci nie broni, możesz wściekać się, że oddychasz po chorwacku, że wszystko co twoje masz tutaj, że nigdy nie byłeś tam, że nie chcesz do kabiny, że nie wejdiesz do kabiny, że kabina jest już przepętniona, że nie możesz dostać połączenia, że... Takiego wała! To żaden argument! To tylko interpretacja. Subiektywne odczucie. Jak mały Jovo wyobraża sobie Chorwata? A co mały Jovo wie? Mały Jovo nic nie wie. Czy to moje zerkanie w stronę kabiny w Ilirskiej Bistricy to flashback? Czy bawię się w przebłyski z przeszłości?! Po cholere mówię teraz o przebłyskach z przeszłości?! Kto za mną nadąza?! Te flashbaki. Czy kiedykolwiek się nad nimi zastanawialiście? Przypomnijcie sobie tamten sztok. Co to jest sztok? Futryna drzwi. Po czakawsku. Opowiadałam wam, jak nasi rozwalili tę małą i staruszkę z powodu futryny. A co oni nam robili?! Myślicie, że koleś, który wrzucił sztok na furgonetkę, będzie miał kiedyś flashbacki? Czy będzie go męczyć spojrzenie dziewczynki na chwilę przed tym, nim kula roztrzaskała jej główkę? Roztrzaskana, zakrwawiona, siwa potylicca starowinki będzie dręczyć jego duszę?! Kula dosięgła ją, gdy wsadzała coś do pieca. Myślicie, że zawsze, ilekroć koleś będzie przechodził przez futrynę w drzwiach swojego domu nad samym morzem

czy trochę dalej od morza, ilekroć przejdzie przez drzwi, to w tych drzwiach, zamiast Matki Boskiej, ukazywać mu się będą martwe oczy, usta, z których na chudą brodę cieknie cienka strużka śliny? Martwa dziewczynka, która się krwawo uśmiecha? Babcia i mała pojawiać się będą kolesiowi we flashach czy backach z przeszłości?!

Jesteście stuknięci. Powiedzcie mi jeszcze jedno. W jaki sposób można dowieść, właśnie dowieść, że ktoś ma przebłyski z przeszłości? Czy kiedykolwiek przyszło wam do głowy, że ci, co cierpią na posttraumatyczny syndrom, mogą udawać? Nie. A udają. Wszyscy jak leci. Chcą więcej kasy! Chcą, by ktoś ich wysłuchał! Chcą mieszkań i pracy! Jeżeli flashbacków nie da się udowodnić, to każdy palant może się flashbackować i pieprzyć do woli. A może te wszystkie flashe i backi są tylko wymysłem złodziei psychiatrów? Oni w ten sposób zdobywają kasę, kochanki, pracę dla durnej córki, która zrobiła specjalizację z psychiatrii dzięki plecocom szczwanego, zakłamanego ojca psychiatry. No i ta wojna! Kto może dowieść, właśnie dowieść, że wojna stanowi traumę? Wojenny posttraumatyczny syndrom?! Mogą mi skoczyć na czubek Živkowego fiuta. Kto może udowodnić, że wojna stanowi traumę? Dlaczego miałyby być traumą? Płonące wsie w oddali i tuż obok? Strefa zagrożenia w Županji? Okej. Kumam. Niełatwo wsadzić małego fiuta w długie gacie i ruszyć na pole bitwy przy pięćdziesięciostopniowym mrozie. Niełatwo. Nie jest łatwo przypierdolić Serbom w mroźny mróz czy w piekącą spiekotę. Niełatwo. Niełatwo jest ekscesy z Serbami w Chorwacji przerobić w bitwę na Kosowym Polu. To jedyne, co wiem z historii. Serbowie dostali tam niezły

wpierdol. Nie jest łatwo. Umyć cipkę, pójść do Departamentu Obrony i dać dupy, by ratować mężowi głowę. Niełatwo. Ale – czy to jest trauma? Zaczekajcie! Wstaję! Idę zajrzeć do słownika wyrazów obcych. Już idę! Szukam. Mam! „Trauma!”. „Trauma – wyraz pochodzenia greckiego. Uraz organizmu wywołany zewnętrznym bodźcem mechanicznym, chemicznym, elektrycznym itp.”. Widzicie! Nigdzie nie jest napisane „wojna”. Kumacie? Mechanika, chemia, prąd, wszystko to może wam się przytrafić i podczas pokoju. Jasne? To znaczy, że pokój też jest traumą!!! Czyli że pokój, w którym żyjemy, za który i dla którego bohaterowie złożyli życie na ołtarzu Ojczyzny, że to też może być traumatyczne. Córka bez pracy. Druga dała profesorowi dupy, żeby jej zaliczył egzamin na trójcę. Jedyna przyjemność to sobotnie wyjście do billi. Płacenie kartą, której debet pokrywamy, albo i nie. Przyjaciółka myje we Włoszech stare, obsrane tyłki. Ojciec, profesor, pielęgnuje komuś ogródek w Wenecji. Syn jedzie na heroinie. Córka robi laskę w Trieście. Pokój? Pokój? Pokój!!! To jest ten nasz pokój! Wiemy, że pokój nie jest traumatyczny. Nie istnieje „pokojowy posttraumatyczny syndrom”. Gdyby istniał, leczono by go wojną. Kumacie? Nie znam się na matematyce. To mnie wkurwia, więc się pogubiłam. Nie mogę złapać wątku. Za cholere. Ale coś mi mówi, że pokój też jest traumą. Tyle że bez syndromów. Jeżeli pokój, tak jak wojna, jest traumą, a pokój nie daje objawów – super, złapałam wątek! – to wojna też ich nie daje. Albo też wojna i pokój to jedno i to samo, więc trauma nie istnieje. Albo jeszcze lepiej. Wojna i pokój to jedno i to samo. A nie istnieje nic innego prócz wojny i pokoju. Eureka! Całe nasze życie jest traumą! Nie muszą na-

mi telepać posttraumatyczne syndromy! Olać posttraumatyczne syndromy!!! Mówienie o nich to jak wyście do księżycy! Tak jak powtarzanie w kółko, że życie jest trudne i uciążliwe. Jak skarżenie się wszystkim wokół, że dobija cię bezsenność. Inni mają to w dupie. Jestem wam wdzięczna. Macie serce. Kumacie, jak ciężko mi przewracać się w łóżku z boku na bok i czekać na rano, na przyjście Mikięgo. O siódmej. Słuchacie mnie?

Na ekranie znowu reklamy. Pieprzone reklamy. Gdzie dokument? Bodaj jeden! Same reklamy! Pieprzone reklamy. Znowu „rodzina”. Tym razem w domu jest również „tata”. „Tata”, „mama” i dwójka aniołków siedzą w jakimś hotelu. Przy oknie. Za oknem prószy biały śnieg. „Tata” ma dwadzieścia lat, „mama” piętnaście, dzieci są młodsze. Piją herbatę. My taką kupujemy w billi. Właściwie Kiki ją kupuje. Ja to olewam. Nie przychodzi mi do głowy, żeby kupić herbatę. Do marketów wchodzę tylko czasami i tylko by sprawić przyjemność Kikiemu. Okej. Już to mówiłam. Chodzę w sobotę do billi. Wy też chodźcie w sobotę do billi? Super. Dajecie znak, że jesteście ze mną. Świetnie. Chodzę w sobotę do billi. Pieprzona billa. Wchodzimy i pchamy wózki. Każdy swój. Najbardziej bawi mnie kupowanie owoców. Nie lubię owoców. Każdy owoc, oprócz wiśni w kompocie, w słoiczku, wzbudza we mnie obrzydzenie. Ale lubię wkładać owoce do cienkiej torebki, kłaść je na wagę, przyciskać odpowiedni klawisz, no i samoprzylepny paragon przyklejać do torebki. To jest dla mnie super. Światowo. Czuję wielki respekt do wszelakich urządzeń. Komputerów, komórek, wideo, pilotów, faksów, odtworaczy, telegazet... Dlatego bawi mnie, że potra-

fię w ten sposób kupować owoce. Umiem przyciskać guziczki. A bez tego jesteś dzisiaj skończony. Nie ma cię. Czasami mi się wydaje, tylko czasami, kiedy naklejam ten paragon na cienką torebkę, że gdybym się uparła, mogłabym nauczyć się włączać komputer, wysyłać e-maile, wystukiwać esemesy. Mogłabym. Wszystko jest możliwe. Kiki milion, milion razy chciał mi kupić komórkę. Milion razy. Na wszystkie rocznice ślubu, urodziny, gwiazdki, walentynki, kiedyśmy się bzyknęli dwa razy z rzędu, milion razy! Trzy miliony razy! Odmówiłam cztery miliony razy. Nie cierpię komórek, nie bawi mnie ich brandzlowanie. Wzdrygam się na myśl, że każdy o każdej porze dnia i nocy może mnie dopaść. I zadrećcać swoimi problemami. Żądać ode mnie odpowiedzi na pytania, które mnie nie interesują. Ludzie mnie nie interesują. Mam ich w dupie! Samolubne sukinsyny, które dzwonią tylko wtedy, kiedy czegoś potrzebują. Nigdy po to, by usłyszeć, jak się miewam albo czy czegoś mi nie trzeba. Kumacie? Dlatego nie mam komórki. Komórkę można wyłączyć. Za to was kocham. Jacyście mądrzy. Gdybyście nie byli mądrzy, nie spędzilibyśmy razem tej nocy. Dobieram sobie towarzystwo. Nikt mnie nie będzie robił w konia. Mało kto śmie robić sobie ze mnie jaja. O ile tacy w ogóle istnieją! Widzicie, mam słabe nerwy. Cienkie, cieniutkie jak włos. Tak. Bravo! Macie rację! Komórki można wyłączyć. I nikt się nie dodzwoni. No to ja was zapytam. Jeżeli w torbie noszę wyłączoną komórkę, to po cholere mi komórka?! Ja mogę do kogoś zadzwonić? Ja mam do kogoś dzwonić?! Wy mnie najwyraźniej nie słuchacie. Macie w dupie to, co mówię. Nie chcę do nikogo dzwonić! Rozumiecie?! Do nikogo! Nie istnieje na kuli ziemskiej taki, którego nu-

mer chciałabym wystukać na komórce, gdybym miała komórkę! Zostawmy to!

W billi lubię poczucie, że jestem kimś. Podchodzę do dziewczyny, która sprzedaje chleb. Na smutnej główce ma zabawną czapeczkę. Czerwoną z białym daszkiem. Zimą. Latem coś innego. Nie wiem co. Billi jest w Mieście od niedawna. Dopiero od sześciu miesięcy.

- Poproszę o gorący chleb - mówię chłodno.

- Nie ma gorącego chleba - odpowiada Kopciuszek.

- To niech pani wstawi do mikrofal - cedzę lodowato. - Wróć za siedem minut.

Wiem, że tyle potrzeba, by chleb był gorący. Albo coś koło tego. Do wózka wrzucam mleczko do ciała nivea, małą jukę, gwiazdę betlejemską, fiołki afrykańskie we wszystkich odcieniach, wielkie oliwki nadziewane migdałami. Kiedy dwie kasy z sześciu nie pracują, wrzeszczę: „Czy za moje własne pieniądze muszę tu sterczeć całymi dniami?! Gdzie jest szef!“. Wydzieram się. Kiki mnie nie słyszy, bo jest na drugim końcu wielkiej hali. Ogląda wina. Gówniara w czapeczce na małej główce wygląda zza kasy wystraszona. Cieszę się, że wsadzili ją do ciasnego boksu, w największym przeciągu. Jak ktoś wchodzi, lodowaty wiatr wieje prosto na jej wątle plecy. Leniwa krowa. Mięso mają świetne. Pokrojone i już gotowe na gulasz. Idealne dla kobiet, które chcą upichcić gulasz. Ja nie gotuję. Kiki gotuje. Zawsze mają jakieś mięso, które nazywają „promocja“. Kiki nigdy nie kupuje „promocji“, bo to olbrzymie opakowania. Na cały głos domagam się kartonów. Wrzeszczę: „Gdzie, do cholery, macie kartony? Dlaczego musimy płacić za wasze pieprzone reklamówki? Jeżeli chcecie sprzedawać ten chłam, to usuń-

cie z nich swój znak! Sprzedajecie torby z własną reklamą! Płacimy, żeby was reklamować! Banda złodziei!“. Wrzeszczę. I mam radochę. Biedne, małe suki myślą, że siedzą za tymi ladami, za tymi kasami w tych boksach tylko tymczasowo. Wierzą, że ich jędrne cycki i przemarznięte, wątle plecy doczekają dnia... Że do billi wejdzie właściciel pałacu na wybrzeżu. Tego pałacu w Medveji. Tam się kąpałam, kiedy byłam mała. Właściciel wybierze któregoś Kopciuszką, ona się do niego uśmiechnie, młody panicz wyciągnie ją z boksu i zanieś na rękach, jak jakiś cholerny oficer i cholerny dżentelmen, do swojego pałacu w Medveji. Tyle że ten pałac przed wojną nie był jego, moi państwo! Władca pałacu i mała suka z billi będą się kąpać w morzu, które przed wojną nie było ich, moi drodzy.

Tego wam jeszcze nie mówiłam. Moja babcia na swój ślub pojechała karetą. Chciałabym móc powiedzieć, że moja babcia była właścicielką pałacu podobnego do tego w Medveji. Niestety. Była służącą, ale pan ją lubił i pożyczył jej karetę na ślub. Moja babcia miała pogodne usposobienie. Często się śmiała. Ja jestem inna. Przez lata się nie śmiałam z powodu górnej lewej dwójki, dopiero później... Nie wszyscy ludzie są tacy sami. Daleko mi do śmiechu. Nic mnie nie śmieszy. Babcia się śmiała. Kiedy odgryzała zdrową część nadgniętej brzoskwini. Zawsze kupowałyśmy nadgnięte brzoskwini. Okej. Babcia nie mogła się śmiać, odgryzając zdrową część nadgniętej brzoskwini. Nie mogła jednocześnie gryźć i śmiać się. Chcę tylko powiedzieć, że była wesółka i uwielbiała faszzerowane papryki. Bardziej niż wszystko inne na świecie. Życie nie było dla niej wyprzedają w rosinim. Nie byliście nigdy na wyprzedazy butów w rosinim? To istne

szaleństwo. Szczęście można kroić nożem. Jeden mąż mojej babci zginął w Lice, a drugi w Ameryce. Mały Joško zmarł w niemowlęctwie. Potem nadeszła tamta wojna i Niemcy spalili jej dom. Została na zgłiszczach, z gołym tyłkiem, tak jak stała. W spódnicy, bluzce i buciorach. Moja stara tak samo. Babcia przez lata wierzyła w Boga. Dopóki nie zaczął przesładować jej pech. Raz za razem. Aż w końcu zerwała z Nim wszelkie stosunki. Wypięta się na Niego. Mawiała: „Gdyby istniał, nie przypierdalałby tylko mnie”. Oczywiście nie tymi słowami. Tłumaczę wam tylko. Dlatego nie chodziłam do kościoła. Myślicie, a to błąd, że w tamtym systemie nie chodziło się do kościoła. Uważacie, że Jugosławia była dla kościoła i księży posępną ciemnicą. Że wierni chodzili na msze przez góry i doliny do odległych jaskiń. Młode matki nosiły niemowlaki do chrztu, kiedy zapadała ciemna noc, a ubecy kładli się spać. Dziewczynki szły do pierwszej komunii tylko w Dzień Republiki, kiedy cała reszta sunęła w długich pochodach w stronę wielkich kamiennych pomników. W rytmie leninowskiego marszu. Instrumenty dęte! „Ponieśliście ofiarę, daliście z siebie wszystko!”. No i trach! Wielki złocisty talerz uderza w drugi wielki talerz! Słuchajcie dalej. „Krew, życie, młodość za wolnoooooość...”. Trach! Znowu talerze! Wielkie! Uwielbiam leninowski marsz. Przebój mojego dzieciństwa. Teraz opowiem wam coś z waszego dzieciństwa. Posłuchajcie. Pierwszy Maja. Albo Dzień Republiki. Albo Dzień Wojska. Albo Dzień Powstania. Albo Dzień Wyzwolenia. Albo Dzień Młodości. Długi pochód. My, dziewczynki, w małych dłoniach trzymamy koniuszki fioletowych szarf. Na wstęgach słowa powitania dla jakiejś Dywizji albo dla ja-

kiegoś Dnia. Wieńce niosą towarzysze bohaterowie albo tylko towarzysze. Pochód kroczy i kroczy. Dostojnie, ale nie smutno. Bo jest pokój i wolność, i poległi wiedzą, że nie na darmo oddali życie, więc nie ma potrzeby, by żywi się smucili. Oni tylko przejmują od ofiar pałeczkę. Dokładnie w tym miejscu. Tak by poległi towarzysze byli szczęśliwi, gdyby nagle powstałi i zobaczyli, w imię czego padli. Właśnie tak, przekonali się na własne oczy, jeśli je jeszcze mieli padając. Jeśli przed śmiercią nikt im oczu nie wyłupił. Nie takie rzeczy się zdarzały. To była krwawa jatka. Gdyby poległi towarzysze wstali i zobaczyli, za co padli, to jeszcze raz by padli za coś takiego. Gdyby to było możliwe: paść dwa razy! Ale to nie jest możliwe. Nie mogą też powstać. Ani razu. Więc poległi towarzysze nie powstają, tylko śpią snem bohaterów i poległych towarzyszy. I wtedy pochód się zatrzymuje. Albo przed wielkim szarym głazem w kształcie poległego bojownika z karabinem w dłoni, albo nad brzegiem szarego morza. Jeżeli jest Dzień Republiki. Albo nad brzegiem błękitnego morza, jeżeli jest akurat Pierwszy Maja. Wieńce składa się pod głazem. My, dziewczynki, układamy fioletowe szarfy. Wieńce długo będą się trzymać, bo są plastikowe. Jeżeli pochód zatrzyma się na krawędzi szarego albo błękitnego morza, wieńce wrzuca się do morza. Fioletowe szarfy unoszą się na powierzchni jak martwe fioletowe kałamarnice. Żywe kałamarnice są pod spodem. Na dnie. W pochodzie maszerowali i starcy, i młodzież. Małe dzieci, mamy, ojcowie, dziadkowie, babcie, kombatanci, rodziny kombatantów i rodziny poległych towarzyszy. Wszyscy. Cała wieś. Całe miasto. Zapomnieliście i dlatego sądzicie, że w tym kraju, kraju pocho-

dów i leninowskich marszy, nie wolno było wejść do kościoła w białej sukience i przyjąć pierwszej komunii. Że takie dzieci wrzucano do morza, by pływały jak białe kałamarnice! Że jakieś odważne dziewczynki w długich białych sukienkach przedzierały się przez chaszczę i strome skały do kościółka za siedmioma rzekami, za siedmioma górami! I to zawsze tylko wtedy, gdy szły pochody, tak by nikt ich nie widział! Za siedmioma rzekami, za siedmioma górami białe dziewczynki witał kapłan. Udzielał im pośpiesznie komunii świętej. Zdejmował białe sukienki z delikatnych, chudych ciał... Nie! Nie!! To nie to! Wkładał im na chude ciała niebieską spódniczkę i białą bluzeczkę, i czerwoną chustę na kruche ramiona, i niebieską czapkę na główkę, tak, i białe skarpetki do małych kostek... Bo pochód mógł zbczyć z trasy!!! Z trasy do wielkiego głazu albo błękitnego, albo szarego morza i szybko ruszyć przez siedem gór i siedem rzek w stronę kościółka!!! Zobaczyć kapłana i dziewczynkę w biele!!! A potem wrzucić księdza do morza, niech unosi się na powierzchni jak wielka czarna kałamarnica, i wrzucić do morza dziewczynkę, niech unosi się jak mała biała kałamarnica!!! Wy jesteście stuknięci! Odbiło wam, jeżeli tak uważacie! Wyście wszystko zapomnieli! Pochód nigdy nie zbacał z wytyczonej trasy! Nigdy! To, co myślicie, to wierutne bzdury! Tam gdzie ja mieszkałam, w Uvali, tam gdzie mieszkaliśmy, moja babcia, moja stara i ja, w tej suterenie, z której oglądałyśmy ludzkie nogi, i psie, i kocie, jak idą w górę i w dół, i w górę... Niektóre nogi nie wracały, bo u szczytu schodów była szosa... To już wiecie. Te nogi szły wtedy szosą w jakimś innym kierunku. W Uvali tylko ja nie chodziłam do kościoła! Ja, jedyna!

Wszyscy inni chodzili. I staruszki, i staruszkowie, i młodzi ludzie, i małe dzieci, nawet niemowlaki. Wszyscy. Oprócz mnie. To ohydne, ohydne uczucie. Ohydne. Kiedy jesteś inna. Wszystkie twoje przyjaciółki idą do kościoła w długiej białej sukience, a ty jedna zostajesz na placu boju w krótkich spodenkach. One wrócą z kościoła z małym modlitewnikiem w rękach i złotym łańcuszkiem na szyi. Ohydne. Ohydne. Ohydne uczucie. Nie jesteście w stanie mnie zrozumieć. Czujesz się zwykłym gównem! Nienawidzisz własnej matki i pieprzonej, pieprzonej apodyktycznej babki, która dyryguje tobą i twoją mamą. I która cię dołuje, bo sama miała problemy. Ona straciła niemowlaka Joška. I mężów, i dom, i wszystko. Ona, nie ja! Niech ona sobie sterczy w tych spodenkach! Niech się buja, stara jędza! Dlaczego mnie pozbawiła białej sukni długiej do ziemi i białych pantofelków, i długiej świecy?! I poczucia, że jestem taka sama jak wszyscy inni?! Jędza! Zołza! Stara prukwa!

Powoli. Wezmę oddech. Głęboki. Widzicie, jak mi mało potrzeba?! Jakie mam słabe nerwy. Moje nerwy są jak cienki włos. Wściekam się na babkę, której nie ma na świecie już od stuleci! Nie jestem normalna! A chciałam wam tylko jakoś wyjaśnić, dlaczego lubię księży. Księży nikt nie lubi. Ani wierzący, ani niewierzący. Wszyscy ludzie, których znam, nienawidzą księży. Nienawidzą ich za to, że cicho mówią, za to, że mają nerwy ze stali, za to, że mają na wszystko odpowiedź, za to, że jeżdżą dobrymi autami, za to, że rzną młode kobiety, które im do ucha szepczą swoje tajemnice, dziewczynki łapią za cycuszki, lubią też wziąć do ręki małego, dziecięcego kutasika. Ludzie nienawidzą za to księży... Kumacie. Ludzie nie lubią księży, bo księ-

za są podobni do was i do mnie. A wy byście chcieli, by księża byli tym, czym nie są. Wy byście chcieli, by księża byli tymi, za których się podają. Tak jakbyście wy byli tymi, za których się podajecie. Albo ja. Gdybyśmy wszyscy mówili prawdę o sobie, życie byłoby nie do zniesienia. Kocham księży! I nie mam nic przeciwko Bogu! Bo mi nie dokopał! Mój dzieciak żyje, Niemcy nie spalili mi domu, Kiki i ja kochamy życie. Cieszę nas małe rzeczy. Pewnego razu Kiki wpadła na miejscowego szpanera i wcisnął mu trzy kaszmiry! Czarny, niebieski i brązowy. Wiele zbiegów okoliczności musi nastąpić jednocześnie, żeby dało się wyciągnąć kasę od tego mecenasa. On jest w najlepszym nastroju, kiedy sprzedaje jakiś dom. Kupi za trzydzieści tysięcy marek, sprzedaje za sto dziesięć. Albo ktoś w więzieniu da mu specjalne pełnomocnictwo na sprzedaż domu w systemie biore, ile dasz. Kumacie? Koleś ma dom, ale nie ma kasy. W pierdlu spędzi następne sto lat. A potrzebuje na papierosy, narkotyki i młodą laskę. Dziś wszędzie drożyzna. Daje więc temu mecenasowi pełnomocnictwo, specjalne. Mecenas związa dwieście tysięcy marek, koleśowi w ciupie odpala pięćdziesiąt. I wszyscy zadowoleni. Jego żona, możecie to sobie wyobrazić, nosi męskiego cavallego, damskiego pewnie w tym rozmiarze nie ma. Tak się szczęśliwie składa, że ona nosi męski rozmiar czterdzieści osiem. To są rzadkie, wyjątkowe chwile. Za taką chwilę mogłabym oddać życie. Kiedy coś takiego się zdarza Kiki i ja idziemy do restauracji Słońce. Tej na wzgórzu, nad Opatiją. Tam jest tłok. Zawsze. Trzeba rezerwować stolik. Przy wejściu jest wielki kominek. Obok kominka stolik. Dla najlepszych gości. Kiedy człowiek ma kasę, kiedy sprzedaje jednego dnia trzy kaszmiry

i cavallego rozmiar czterdzieści osiem, wtedy zachowuje się jak najlepszy gość i ma gdzieś, że na stoliku jest napisane „rezerwacja”. Nigdy tego Kikiemu nie mówiłam. Ale wam powiem. To jest szczególny stolik, ale nie najlepszy. Wszyscy myślą, że najlepszy. Ale wcale nie. Zawsze, kiedy siadę przy kominku, w plecy bucha mi ogień. Zdycham z gorąca. Milczę. Kobiety w moim wieku nie powinny wspominać ani o gorącu, ani o cieple. Stolik w górnym prawym rogu, jeżeli patrzycie od strony wejścia, jest dużo lepszy. Plecy ogrzewa ci kaloryfer, który grzeje normalnie. Za plecami masz ścianę, przed sobą całą restaurację. Widzisz jak na dłoni wszystkie talerze, a w twój mogą zaglądać tylko ci, którzy siedzą blisko. Ale. Jeżeli siedzisz przy kominku, to nawet gdyby trawił cię ten piekielny ogień, wysyłasz sygnał. Jestem gościem pierwszej kategorii. Sądzą, że jestem głupią pindą. Głupią pindą, która chce być tym, kim nie jest. Która rozgrzewa plecy do czerwoności, by wyglądać na bogatszą, niż jest. Oczywiście, macie rację. Tylko to powiedzenie „bogatsza” nie ma sensu. Bogatszy może być ktoś, kto jest bogaty. My z Kikim tylko od czasu do czasu bywamy bogaci. Koniec wygłupów! To wspaniałe uczucie! Kiedy jesteś tym, kim nie jesteś. Super uczucie! Całe życie mogłabym tak spędzić. Jestem najszczęśliwsza, kiedy mogę być tym, kim nie jestem. Wtedy się śmieję, Kiki zamawia dingacza, kelner nalewa mi odrobinę do specjalnego kieliszka, Kiki mlaska, ocenia, mówi, że to jest to, kelner rozlewa nam dingacza do kieliszków, pijamy, choć po dingaczu swędzi mnie dupa, bo mam hemoroidy. Wiem, że nie mogę pić czerwonego wina, wiem, że będę srała krwią przez dziesięć dni i smarowała tyłek kanadyjską maścią, którą moż-

na kupić na końcu Deptaka za siedemnaście kun. Jednak piję dingacza. Pytacie mnie, dlaczego nie piję białego wina, skoro mi szkodzi czerwone. Spytajcie Kikiego. Nie znam się na winach. Po prostu się delektuję. Jak wam to objaśnić? Nijak. Albo kumacie, albo nie. Może nie macie szmalu i nie możecie usiąść przy stole obok kominka i być tym, kim nie jesteście? Może wkurza was piekielny ogień, który smaży wam plecy? Nie wszyscy jesteśmy tacy sami. Wam jest miło i wygodnie we własnej skórze. Nie czujecie potrzeby, by ją zedrzeć? By chodzić po świecie brocząc krwią, bez skóry? Nie jesteśmy wszyscy tacy sami. Okej. Uśmiecham się do Kikiego, tak jakby nie było za mną piekielnego ognia. Każdy przeżuwa swój gruby, krwisty befszytk. Zgoda. Mnie też brzydzi grube, krwiste mięso wołowe. Naprawdę brzydzi. Najbardziej lubię spaghetti z sosem pomidorowym. Tam potrafią je dobrze doprawić. W pewnej chwili poczułam zapach spaghetti z sosem pomidorowym. Kiki uwielbia tylko smażone kalmary. Ale nie możesz wejść do Słońca i zamówić sobie kalmary czy spaghetti. Wiecie, jak to jest w restauracji. Jesteś tym, co jesz. Każdy każdemu zagląda w talerz. Tylko bogaci mogą zamówić coś taniego. Oni nie muszą nikomu wysyłać sygnałów. Oni są sygnałem sami przez się. Gdybym była bogata, zamówiłabym spaghetti. Spaghetti. Ale gdybym je zamówiła ot tak, to bym wyszła na taką, co nie ma szmalu, a nie taką, która lubi spaghetti. O ile nadążacie za mną. Nie cierpię befsztyków i czerwonego wina. Ale nie o tym chciałam mówić. Ani o tym, że kiedy wracamy ze Słońca, to Kiki zawsze mnie pieprzy. Zawsze. Długo i głęboko. Nie wiem, kto powiedział facetom, że muszą dupczyć godzinami. Że to jest to. Że to dla kobiety zniewa-

ga, jeżeli mężczyzna skończy już po godzinie. Bzdury. A to się widzi we wszystkich filmach. Czyta się o tym w książkach. W literaturze fachowej. W dodatkach do gazet. Tylko zanim łkniecie te brednie, spójrzcie, kto je napisał. Faceci. A skąd faceci wiedzą, czego potrzebują kobiety? Tak jakby mężczyźni bzykali po to, by dogodzić kobiecie! Faceci bzykają godzinami, bo to im odpowiada. Potem to opakowują w „naukowe badania”. Może będę pierwsza na świecie. Zwisa mi to i powiewa. Ale powiem. Mężczyźni! My, kobiety, nie lubimy, kiedy nas rżniecie godzinami. Niby tak. Na plecach. Potem na brzuchu. Potem „nie dotykaj mi go”. Potem „proszę cię, podrap mnie po jajach”. Potem „zostaw go!”. Potem „zostaw go na chwilę!”. Potem „poliż mnie w ucho”. Potem „wsadzę ci język w ucho”. Potem „ugryź mnie w tyłek”. Potem „ugryź mnie lekko w tyłek”. Potem „weź się tylko za tyłek”. Potem „złap mnie za jaja”. Potem „tylko za jaja”. Potem „tylko jaja”. Potem „zaczekaj!”. Potem „przestań!”. Potem „zostaw mojego fiuta!”. Potem „poliż mi jaja!”. Potem „jeszcze trochę poliż mi jaja”. Potem „tylko jaja”. Potem „zostaw fiuta”. Potem „jeszcze trochę, liź go jeszcze trochę, jeszcze trochę, jeszcze trochę, jeszcze trochę, trochę, trochę, trochę, trochę, trochę, trochę, tylko... trochęęęęęę!”. Potem „dlaczego mi to zrobiłaś?!!!”. Dlaczego mu to zrobiłam?! Gdybym mu tego nie zrobiła, tobyśmy się bzykali do tej pory, dokładnie w tej chwili jeszcze wciąż byśmy się bzykali. Gadałabym z wami pieprząc się! Kurde mol! A co ja takiego zrobiłam? Po cholere cały ten seks? Jaki cel mu przyświeca? Chyba spuścić się i zasnąć. Albo się ubrać i pójść do domu. Dlatego nie marzę już o seksie z Kikim. Męczy mnie brandzlowanie go godzinami



w imię mojego szczęścia. Mnie jest łatwo zadowolić. Nikomu do tego nie są potrzebne dłuuuuuuuugie godziny! Tylko że faceci mają gdzieś nasze szczęście! Badacze! Naukowi! Ale o tym też nie chciałam mówić! Do tej restauracji zawsze przychodzą dwaj księża. Jeden stary i gruby, drugi młody. Mylicie się. Młody też jest gruby. I pieprzą się za stolikiem. Na sucho. Jedząc pierożki z wędzoną szynką i gnocchi z trufkami. Zawsze siedzą przy stoliku po prawej, na górze, jeżeli patrzycie od wejścia. Tak więc nie pali ich ogień piekielny. Na przystawkę jedzą gotowaną szynkę, młody czasem zamówi rosół z masą makaronu. To bardziej breja niż zupa. Cały czas gadają. Komórki dzwonią. Dwaj biznesmeni. Od pasa w górę. Pod stolikiem ich buty prowadzą własną grę. Firmowe, lacosta i aleksander. Stary nosi lacosty. Krokodylek lacosty splata się z aleksandrem. Ocierają się, gładzą, depczą, pieszczą. Para krokodyli wpycha się między dwa aleksandry, po czym aleksandry się zwierają, a rozchylają krokodyle. Obłąd. Znam się na dobrych butach. Możecie mi wierzyć. Kiki zdobywa je od Żeljka, z Zagrzebia. Żeljko zaopatruje w buty cały parlament. Najtrudniej zdobyć męski numer czterdzieści trzy. Wszyscy faceci noszą czterdzieści trzy. W domu stoją pacciotti czterdzieści osiem. Możecie je mieć za sto marek. Za pół ceny. No dobrze, oddam je i za pięćdziesiąt. Ale wy nie macie takiej stopy. Nikt nie ma takiej stopy. Oprócz ochroniarzy przy wejściu do ambasady amerykańskiej. A tam nie można się pojawić z pudełkiem wielkości dziecięcej trumny. Amerykanie dostali paranoi. To dlaczego Kiki je zamówił, jak nie ma ich komu sprzedać? Chcecie powiedzieć, że mój Kiki jest głupi? Nie jest. Żeljko dał mu je za drobny dług. Jakies dziesięć marek. I tak nigdy by

mu nie zwrócił tych dziesięciu marek. „To gówniany szmal”, powiedział mi Kiki. Gówniany szmal? Zależy kiedy. Kiedy jest kasa, i sto marek to gówno, ale jak nie ma kasy... Mówiłam wam, że lubię kwiaty. Wiecie, ile kosztują bratki. Pięć kun. No i proszę. Czasem nie mam tych pięciu kun. Przechodzę obok kwaciarni i mówię sobie, głupia cipo, jak będziesz miała szmal, przypomnij sobie pieprzone bratki, przypomnij sobie, co czujesz teraz, w tym momencie, przed tą kwaciarnią, gołodupko, przypomnij sobie. Nigdy sobie nie przypominam. Jak mam kasę, nie myślę o bratkach, tylko idę z Kikim do Słońca przypiec sobie plecy.

Ludzie nie lubią, kiedy ci dwaj księża migdałą się przy tym stoliku, na prawo na górze, jeżeli patrzycie od wejścia. Właściciel też nie lubi. Właściciel jest wierzący i czuje się odpowiedzialny. Jakby to on pod stolikiem ocierał swoje buty o buty swojego kelnera. Tak jakby pod stolikiem gziły się bazarowe pumy z bazarowymi adidasami. A nie jego goście. Gdyby mógł, wyrzuciłby ich na zbity pysk. Ale nie może. Kto dziś może sobie pozwolić na wyproszenie gości z restauracji? Nikt. Dla mnie całe to zamieszanie wokół księży jest gówno warte. Rzekomo księża powinni zachowywać się skromniej, bo Chorwacja jest w dołku. Nie powinni nosić drogich butów, stroić się w złoto i jedwab z importu. Sutanny powinni dostawać z caritasu. Nie powinni farbować włosów na ciemny blond, tak by wyglądały, że nie są ufarbowane. Gówno prawda! Komu potrzebni są duszpasterze gołodupcy? Co by to było za przestanie?! Jeśli księża są wysłannikami Boga na ziemi, to co by nam Bóg przekazywał?! Że to wszystko potrwa jeszcze trzysta lat?! Co by to znaczyło, że na ołtarzu zagrzebskiej katedry pojawi się... Nie

łapcie mnie za słowa, nie wiem, czy prawidłowo powiedziałam „na ołtarzu zagrzebskiej katedry”, nie wiem, bo cholerna babka nie puszczała mnie do kościoła, to już wiecie. Okej. Jak by to było, gdyby szef chorwackich księży na wigilijnej mszy w zagrzebskiej katedrze pojawił się w przedwojennym garniturze z jugosłowiańskiego vartexu i przedwojennych tenisówkach? Co by to miało znaczyć, że szef Kościoła w Chorwacji wygląda jak gołodupiec podczas wielkiej ulewy, tak jak my wyglądamy? Strój to przestanie! Przestanie! Jeżeli on jest obwieszony złotem, jeżeli oni są obwieszani złotem, to i my nie będziemy długo biedować. Jeszcze tylko trochę. Kumacie?! Bądźcie cierpliwi! Niecierpliwe dupki! Tym jesteście! Niecierpliwymi dupkami! Wyjątkowymi! Nietolerancyjnymi! Co wy byście zrobili, gdybyście byli na miejscu takiego księdza czy kardynała? Gdyby do spowiedzi przyszła do was napalona baba, która w ogóle nie myśli o swoich grzechach, wielkich i licznych, tylko mokro jej się robi w majtkach na dźwięk waszego głębokiego głosu?! Trzymalibyście fiuta w gaciach? Ksiądz, biedaczyna, musi trzymać fiuta pod sutanną?! Czyżby?! A dlaczego ta dziwka nie pilnuje w domu dzieci i nie gotuje obiadu mężowi?! O to nie pytacie?! Ksiądz czasem dorwie wiejską dzierlatkę. Albo i miastową. I rodzice muszą mówić dziennikarzom, co o tym myślą! Opinia publiczna musi się wypowiedzieć, co o tym sądzi! Tytuły na pół metra! A panienska musi sędzinie długo i obszernie opowiedzieć, co wielebny wpychał jej do cipki! To nie fair! Tak jakby tylko księży lubili dziewczynki! Jakbyście wy nigdy nie mieli ciągnąć, żeby przelecieć córeczkę najlepszego przyjaciela! Krew mnie zalewa na tę waszą obłudę! Dokumentnie. Jeżeli

li Bóg przebacza, a wszystko przebacza, to czemu księży miałoby jako jedyni trzymać fiuta pod sutanną? Albo w spodniach? Niech sobie dupczą, niech się onizują po parkach, niech farbują włosy na ciemny blond tak, by wyglądały na niefarbowane, niech dostają pensje od państwa, niech śpiewają, choć nie mają słuchu, niech zakonnice zaganiają im zbłąkane, chude owieczki do stada, a oni niech je poklepują po tyłkach! A co tam! Żyje się raz! Księża są opłacani, by dawać nam rozgrzeszenie! I rozgrzeszają. Kim jesteśmy, by ich sądzić?!

Tak, muszę wam jeszcze opowiedzieć o tym wezwaniu do wojska, wezwaniu dla Borysa. Ela i ja byliśmy w sypialni. Eli i Borysa. Mają fantastyczne łóżko. Stare. Dziadek marynarz podarował je Borysowi. Z wikliny. I wielką szafę z lustrem w drzwiach. Też od dziadka. I pleciony kosz. Ela trzyma w nim koce, kołdry, poduszki i kostiumy kąpielowe. Kosz dziadek przytargał z Chin. Ela kocha stare rzeczy. Ja też. Choć nie mam nic starego. Bo moja stara była pierdołą, która nie chciała, kiedy mogła, wziąć nawet najmniejszego żydowskiego żyrandola. Ani kryształowej nocnej lampki. Głupia krowa. Durne krówsko. Jedyń starą rzeczą, jaką ma moja stara, jest medal. To znaczy medal za zasługi dla ojczyzny, trzeciego stopnia. Albo czwartego. Tak czy inaczej bez sensu. Te stare medale to ostatni krzyk mody. Osiągają zawrotne ceny w Ameryce i we wszystkich krajach, w których nie były przyznawane. Moja stara trzyma go w czerwonym pudełku, oryginalnym, w skórzanej torbie, w której są wszystkie nasze rodzinne pamiątki. Moje fotografie z dzieciństwa, fotografie mojej babci, fotografie mojej starej, zawsze nosiła wojskowe buty, i fotografie świę-

tej pamięci Risia. Risi jest kotem. Był kotem. Ale stara nie chce mi dać medalu. „Zaczekaj, aż umrę”, mówi. Tak jakby ten kawałek blachy był klejnotem z korony królowej Elżbiety. W tej sprawie już nic nie da się zrobić. Stara zwariowała, a ja nie mam odwagi otworzyć skórzanej, pięćdziesięcioletniej torby, kiedy jej nie ma w domu. Mogę poczekać. Kiedyś przycępie sobie medal za zasługi dla ojczyzny trzeciego albo czwartego stopnia do armaniego albo do aquaskutum, albo saint laurenta. Ależ ja zbaczam z tematu! Skaczę jak głupia koza po urwistym stoku! Szukam trawy, a trawy nigdzie nie ma. Jeśli koza w ogóle je trawę. Może je coś innego. Lubię kozy. Chude, krzepkie, muskularne, z wielkimi wymionami, jakieś takie niezależne. Trochę dzikie. Jak to dzikie kozy. Gdybym się miała znowu urodzić i mogła wybierać, chciałabym być dziką kozą. Skakałabym ze skałki na skałkę, z kamienia na kamień, wysoko, prawie na szczycie góry. Daleko, daleko, bardzo daleko od ludzi. Od was.

Okej. No więc jesteśmy w tej sypialni. Ela i ja. Uwierały mnie w tyłek pręty kosza, który nie wiadomo kiedy dotarł z dalekich Chin. Ela siedziała na łóżku i paliła. Palacze napawają mnie obrzydzeniem. Szczególnie ci, którzy palą w sypialni. Nałogowcy! Kretyni! Jak tylko poczuję dym z papierosa, kiedy ktoś, jak wtedy Ela, pali tuż pod moim nosem, ogarnia mnie straszliwa, nieprzeparta chęć, żeby wyrwać papierosa z tych ust i wpakować go do swoich. A nie palę od lat. Ale powtarzam sobie wtedy leczniczą formułkę nałogowców: „Nie rzucisz dziś, będziesz palić jutro”. Z okna sypialni Eli widać okna domów, które stoją na Wzgórzu. Wszystkie takie same. Wielkopłytowa tandeta. Jakaś kobieta na balkonie zbierała pranie ze

sznura. Dobra. Nie w tym rzecz. No tak. Ela i ja głowiliśmy się, jak ubrać Elę na spotkanie z Wiktorem. Tym ze strusia. Nie da się uwieść faceta w kostiumie mojej matki, w którym przyjmowała medal któregoś tam stopnia. Prawdopodobnie trzeciego. Ela rozłożyła na szerokim łóżku małżeńskim swoją garderobę. Ludzie! Ludzie! Dwie jedwabne bluzki! Żółta i biała. Długa ciemnoniebieska sukienka. Białe, krótkie, poszarpany podkoszulek. Trzy pary dżinsów, dżinsowa kurtka. Ciemnoniebieski zakiet, odrobinę jaśniejszy od sukienki. Tak że razem nie stanowią całości. Dwie części stroju w jednym kolorze, tyle że w różnych odcieniach. Kiedy coś takiego włożycie na siebie, coś co jest prawie w tym samym kolorze, ale nie jest, to wtedy kontrast jest większy, niż kiedy się połączy żółty z fioletowym. Żółty i fioletowy pasują do siebie. Ale dwa niebieskie kolory?! Absolutnie nie! Ela ma prawie dwa metry albo metr osiemdziesiąt. Nic z moich ciuchów na nią nie pasuje.

– Słuchaj – powiedziałam – jeżeli włożysz tę długą, kretyńską, ciemnoniebieską sukienkę, będziesz wyglądała jak Lady D, zanim straciła cnotę. Strój jest przesłaniem, Elu! Przesłaniem!

Ela spojrzała na mnie. Już wam mówiłam o tych jej oliwkach w klarownej, przezroczystej oliwie. Okej. Będę się streszczać. Włożyła na swoje małe, gołe, pełne, prawdopodobnie twarde cycki białe poszarpany podkoszulek, a na szczupłe biodra dżinsy. Gdybym była facetem, to od razu zerwałabym się z tego kosza i ją przeleciała. Ale nie jestem facetem. I nie pociągają mnie kobiety. Albo wydaje mi się, że mnie nie pociągają. Albo jestem tak wychowana, że mi się nie podobają. Albo.

Ta facetka, która pracuje na portierni urzędu gminy przy nadbrzeżu, nie ta stara, ta młodsza, ta, co ma krótkie kręcone włosy, powiedziała Eli: „Trzecie piętro, pokój numer sześć. Po lewej”. Ela próbowała umówić się przez telefon. Czy kiedykolwiek, w czasie wojny, próbowaliście dodzwonić się do Departamentu Obrony? Więc sami wiecie. Nie ma szans. Dlatego Ela poszła tam bez zapowiedzi. I była gotowa czekać pod drzwiami pokoju numer sześć, po lewej, jeśli by było trzeba, choćby i rok. Tylko należało znaleźć ten pokój numer sześć, po lewej. A dla niektórych kobiet to wielki problem. Odnaleźć się w czasie i przestrzeni. Dla większości kobiet to nierozwiązywalny problem. Ja do nich należę. Który mamy rok? Jaki dzień? Jaki miesiąc? Co to za strona świata? Który migacz należy włączyć, jeśli chcesz skrócić w stronę piekarni????!!  
Wszystkie jesteśmy takie same. Ela zatrzymała się na trzecim piętrze. I wyciągnęła jedną rękę przed siebie. Próbowała coś napisać w powietrzu. Nie wychodziło. Skumała, że podniosła lewą rękę. Tą ręką nie umie pisać. Jeżeli tą ręką nie możesz pisać w powietrzu, to nie możesz w ogóle. A więc to jest lewa strona. I ruszyła tam, gdzie wskazała jej ręka, którą nie pisze. I znalazła pokój numer sześć. Nie znoszę pieprzenia trzy po trzy i tłumaczenia rzeczy niewytłumaczalnych. To nie był ten pokój. Nie był to właściwy pokój. Koniec, kropka. To wiemy i wy, i ja. Teraz. Ale Ela tego nie wiedziała. Wtedy. Ela jeszcze czegoś nie wiedziała. Przed drzwiami Departamentu Obrony, w czasie wojny – pamiętajcie, mówię o czasachkiedybyła wojna – zawsze stała setka kobiet. Setki kobiet. A każda trzymała w ręku co najmniej sześć zaświadczeń, którymi chciała udowodnić, że jej mąż jest niezdolny

do służby wojskowej. Takie to były czasy. Ela tego nie wiedziała. Kobiety, które nie dostały wezwań, nie kręciły się po schodach tego budynku. Tak więc Eli nie wydało się dziwne, że przed pokojem numer sześć, po lewej, nie ma żywej duszy. Zapukała. Nikt nie odpowiedział. Będę trochę skracać. Weszła. Gabinet. Wielkie biurko. Brązowe drewno. Zwykłe. Komputer. Włączony. Telefon. Panasonic. Słuchawka obok aparatu. „A w kącie stoi jakiś fikus z białymi kwiatami”. Co za gęś! Ela nie lubi kwiatów. Fikus z białymi kwiatami?! Głupia! Ona by i na bratki, moje ulubione kwiaty, powiedziała irys! Irys jest przepięknym kwiatem. Nie mówię, że nie. Ale irys to nie bratek. Jeżeli jesteście w stanie za mną nadążyć. Jeżeli nie jesteście byłem, które nie lubi kwiatków! Jeżeli w ogóle istnieją tacy ludzie! Jeżeli to są w ogóle ludzie! Okej. Ela nie lubi kwiatów. Moja Aki nie lubi kwiatów. Może nie lubi tylko dlatego, że ja za nimi przepadam? Może jest zazdrosna? Może polubi kwiaty, jak umrę? Bratki rosną w Mieście wszędzie, gdzie jest choć trochę ziemi ogrodzonej betonem, może te miejskie bratki przypomną jej mamę... Cha! Cha! Jakie mam miękkie serce! Trochę mnie kole, że Aki i ja niezbyt się kochamy. I zawsze myślę, że to tylko chwilowe, że może jednak, kiedyś... A potem dociera do mnie... Wasze dzieci też was nie kochają. Dlaczego moja Aki miałaby mnie kochać? Dzieci nas nie kochają. Z tym trzeba żyć. A te bzdety: śmierć, mały kawałek ziemi, bratki, beton dookoła, o tym zapomnijcie. Na czym to stanęłam? Mam jeden problem. To, co dla psa jest wielką kością, a dla jamnika kretem, o ile jamniki w ogóle polują na krety, bo jeśli nie polują... ależ ze mnie kretynka, one po dziurach szukają borsuków, a nie kretów.

Idiotka! Tak więc tym, czym dla borsuka jest jamnik, odwrotnie, tym, czym dla jamnika jest borsuk, tym, czym dla spaniela jest cokolwiek, bo one mogą pożreć nawet gówno, takie są żarłoczne, tym dla mnie są bratki. Ale to już mówiłam. Dobrze. Może wam nie mówiłam, że lubię hipopotamy. Uwielbiam hipcie! Mam fioła na ich punkcie! I ich małego oczka. Sprytnego. Czarnego. Mam fioła na punkcie tego oczka skrytego pod ciężką powieką. Filmy przyrodnicze o hipopotamach mogę oglądać na okrągło. Do śmierci! Okej. Przejdźmy do tego gabinetu. Przed biurkiem stało krzesło. Więc Ela usiadła. Nie będzie tam przecież stać godzinami. I czekać, aż ktoś wejdzie. Rozluźniła zaciśnięte pięści. Nie można dawać facetowi dupy, zaciskając pięści. To by była prawdziwa głupota. Do pokoju wszedł mężczyzna, który... A teraz, żeby wszystko było napięte do granic możliwości, jak dobry, wielki parasol burberry, ten, z którego nie wyskakują druty i przez który nie przecieka na was deszcz jak mokry pył, powinienam rozciągnąć opowieść i kluczyć, bla, bla, bla, że ona nie wiedziała, a gdyby wiedziała, bla, bla... Kto dziś ma czas na długie historie? Na *W poszukiwaniu straconego czasu*? Nie czytałam tego, ale słyszałam, że to paplanina długa na kilkaset kilometrów. Kto ma czas na coś takiego? Nikt! Do rzeczy. Do pokoju wszedł mężczyzna. Miki. Mój facet! A nie Wiktor! Ten ze strusia. O, w mordę! Tak to jest. Nie zawsze. Ale czasami jest właśnie tak. Miki. Wysoki, metr siedemdziesiąt pięć, sześć, choć kłamie, że ma metr osiemdziesiąt. Sru tu tu tu! Kilogramów? Kilo? Dziś wszyscy ukrywają, ile ważą. Mnie się wydaje, że dziewięćdziesiąt. Ale on nigdy by się do tego nie przyznał. Bluza lacosty, zielona, bawełniana, z dwo-

ma żółtymi paskami, żółta koszula pod bluzą, kołnierzyk wystaje, widać, że jest w tym samym odcieniu co paski. Bluza lacosty kosztuje na Deptaku dwieście marek, u mojego Kikiego sto, więc sami widzicie. Brązowe sztruksowe spodnie. Brązowe buty. Nieznana marka. Na głowie ciemne kędziory. Brązowe, wesole oczy. Pełne usta. Górne dwójki trochę krzywe, ale nie za bardzo. Miki coś powiedział do słuchawki, i dla mnie, i dla was nieistotnego, i spojrzał w oczy Eli. Nie będę powtarzała, że są to dwie ciemnobrązowe oliwki w przezroczystej oliwie. To już wiecie.

– Jestem żoną Borysa – powiedziała Ela.

Miki milczał i czekał.

– Jestem żoną Borysa – powtórzyła Ela i jednak zacisnęła palce w pięści.

Gdyby Miki był typem nerwusa, jakimś nabzdyczonym ryjem, jakich podczas wojny było wielu, oczywiście, tacy są także w czasach pokoju, znajdzie się i wśród was sporo niecierpliwych, toby powiedział: „Proszę pani! Nie mam czasu! O co pani chodzi? Kim jest Borys? W dwóch słowach!”. Albo jakoś tak. Ale Miki nie jest nerwusem, a Ela jest ładna. Wobec ślicznotek mężczyźni nigdy nie są nerwowi. Dla nich mają czas. Tak mi się wydaje. Na sto procent pewna nie jestem. Nie wiem. Bo niezależnie, z której strony spojrzeć, nie jestem ślicznotką. Nigdy nie byłam. Więc nie mówię tego z własnego doświadczenia. Tylko przypuszczam. Gdybym była mężczyzną i gdyby do mojego gabinetu weszła laska metr osiemdziesiąt, sześćdziesiąt dwa kilogramy, z takim ciałem, z taką twarzą i takimi oczami, nie byłabym nerwową. Ale gdyby ta ślicznotka powtarzała „Jestem żoną Borysa”, tonem, który miałby coś znaczyć dla człowieka, dla którego

to nic nie znaczy, mogłoby się zdarzyć, że ten człowiek pomyślałby, że kobiecie odbiło. Wojna!

– Co mogę dla pani zrobić? – przerwał jej Miki, żeby skrócić.

Ela otworzyła zaciśnięte w pięści dłonie i powiedziała:

– Co ja mogę zrobić dla pana?

Kumacie? Jaka wpadka?! Jaka głupota?! Jaki numer?! Wojna, moi drodzy! Wojna! Miki się uśmiechnął. I ja bym na jego miejscu się uśmiechnęła. Jego brązowe oczy zmieniły się w dwie szparki, wyrzały jego dwie górne dwójki, małe, krzywe dwójki. A potem błysnęła reszta drobnych, ładnych, zdrowych zębów. Bez plomb.

– To wcale nie jest śmieszne – powiedziała Ela. Dla niej nie było. Wojna. Szaleństwo. – Ludzie powinni umieć wybaczać. Ludzie powinni być bardziej tolerancyjni. Ludzie powinni wybaczać. I zapominać. Jak człowiek może żyć, kiedy wciąż pamięta? Nijak!

Oczywiście Ela gadała od rzeczy. Tak jak sra syty gołąb albo wielka, tłusta mewa. Kiki zawsze, kiedy to ogromne ptaszyczo obsra nam audi, myśli, że to na kasę. Ale to nie kasa. Po prostu ptaszyczo ulżyło sobie na pierwszej rzecz, jaka znalazła się pod jego wiecznie rozwartym tyłkiem. Mewy to sępy. One rozbitkom na wielkim i dalekim morzu, jeżeli płyną samotnie, jeżeli nie płyną w grupie, wydziubują oczy. Takie są mewy. Żadne z nich zwiastunki kasy. Gadziny! A gołębie też nie są lepsze! Wkurzają mnie, gdy siedzą na jajach, a ich mężowie, latające szczury, przynoszą im jedzenie. Kiedy pracowałam w Jadroplovie, były tam biura z oknami na podwórze. I te pokraki uwiły tam sobie gniazda i gruchały, gruchały jak

najęte. Każde gniazdo załatwiałam linijką... Kiedyś w każdym biurze były długie drewniane linijki, nie pytajcie mnie po co. Brałam taką linijkę. I hajda na łowy! Leciły w powietrze i gniazda, i jaja. Mogę sobie wyobrazić. Mogę sobie doskonale wyobrazić, jak się czuły wystraszone gołębie, kiedy otwierałam drzwi biura. Ja. Z linijką w ręce! Coś wam opowiem. Okej. To nie nadaje się na opowieść. Powinam was trzymać w wysokim napięciu. Żebyście się nie dowiedzieli od razu, czy Ela wybroniła Borysa od wojska, czy nie. Ale mnie ani wysokie napięcie, ani czaszki na drutach wysokiego napięcia nie kręcą! Więc wam powiem. Borys poszedł na front. Kit mu w oko. Nie pierwszy i nie ostatni. No właśnie. Na czym stanęłam? Na Jadroplovie i tym biurze, którego okno wychodzi na podwórko. Wyobraźcie sobie sytuację. Spróbujcie stworzyć sobie w głowie ten obrazek! Gołąb, a dokładniej rzecz biorąc, cholerna gołębica siedzi w swoim gnieździe. Wysiada swoje głupie jaja. Grucha. Grru, grru, grru... Obrzydliwy dźwięk, ale dla gołębi jest okej. Nadlatuje gołąb, niesie gołębicę jakieś paskudztwo do dzioba. I potem razem: grru, grru, grru... A wtedy ja otwieram drzwi! Nagle! Bez pukania! Wchodzę! Patrę w stronę okna! W rękach trzymam tę wielką linijkę! Twardą! Drewnianą! Kumacie? Panika w gnieździe! Zgroza! Przerazenie! Poczucie, że znikąd nie ma ratunku! Ani dla ciebie! Skoro mówimy o uczuciach gołębia, ojca! Ani dla twojej żony! Ani dla twoich nienarodzonych dzieci! Podchodzę do okna! A ty, gołąb, nie chcesz zostawić żony na pastwę losu! I nienarodzonych dzieci! Więc czekasz! Moja ręka podnosi ciężką linijkę. Drewnianą. Wali cię w głowę! Nic nie widzisz! I nigdy już nie będziesz widział! Linijka wali

w twoją żonę gołębicę! I ona nic nie widzi! I nigdy nie będzie widzieć! Jak pięknie leci gniazdo! Jak lecą jaja! W czeluść podwórka! Na bruk!

Kumacie. Tak. Mówiłam wam, że Borys poszedł na front. Do jakiegoś miasteczka w pobliżu Miasta. Jakiejś pipidówki. Tam mieszkali jacyś Serbowie. Serbowie mieszkańcy, nie żołnierze. Wieweeeeeeeem! Wieweeeeeeeem! A co oni nam robili?! To was wkurwi! Ale muszę wam to powiedzieć! Jeśli wam tego jeszcze nie mówiłam. Ale mam to w dupie! Mam w dupie wasze okrzyki sprzeciwu w tę ciemną noc, która jest już prawie rankiem. Obywatelska samowola! Piękne nowe wyrażenie. Protest! Obywatelskie nieposłuszeństwo! Okej. Wybierajcie. Więc tak. Serbowie, mieszkańcy tego miasteczka, te kobiety, starcy, nauczycielki, piłkarze, sędziowie, prokuratorzy, urzędniczy... to były wtedy, gdy Borys ruszył na wojnę z linijką w ręce, takie gołębie jaja w gnieździe. Ha! Krew was zalewa! Szlag was trafia! A co oni nam robili?! Szlag was trafia! Mam to gdzieś! Co mi możecie zrobić? Nic! Mam prawo do własnego zdania! Ci Serbowie, te jaja, nie mogli dostać auswajsów, piękne słowo „auswajs”, piękne niemieckie słowo, więc nie mogli uciec z tego gniazda. Głupie jaja, niezaradne! Tak więc jaja były w gnieździe. Ciemna noc. Zjawiają się kolesie z linijkami w rękach. Wśród nich Borys. Wbrew własnej woli, to wiemy i wy, i ja, i on. Jaja tego nie wiedzą i jajom to nie pomoże. Jaja czekają. A potem lecą w czeluść podwórka. Krzyki. Pierze w powietrzu. Wrzaski. Jęki. Październik dziewięćdziesiątego pierwszego. Patrzcie, patrzcie! Pamiętam jakąś datę! Nie jestem takim znów kobieciątkiem! Ci Serbowie, te gołębie i gołębice, i ich jaja... Niektóre gołębice wrzeszczały: „Mnie,

mnie, mnie! Byle nie moje jaja!”. Kumacie. Co za głupota! Tak jakby ci z linijkami przyszli słuchać gołębiego gruchania. Co za chujoz! Okej. Skrócę wam opowieść. Te gołębie wyleciały na podwórze. I gołębice. I ich jaja. Wszyscy. Okej. Zostawmy gołębie i Serbów, i jaja, i gniazda, i miasteczko w pobliżu Miasta, pipidówkę. Dość tych pierdół. Dlaczego Borys cisnął linijkę, posłał wojsko w pizdu i wyjechał do Monfalcone? Tam pracuje na statkach. Zdziera rdzę. Inżynier?! No to co?! A co robi wasza córka w Wenecji? Dlaczego się sprzedaje, chociaż ma dyplom? Debile! Tym jesteście! Debilami! Tak. Powiem wam, dlaczego Borys odszedł z wojska. Dobrze. Uciekł. To bliższe prawdy. Było tak. Wyobraźcie sobie pokój w tym miasteczku, w tej pipidówce. Jeden pokój. W pokoju piec. W piecu polana. Pali się ogień. Pomyślicie, że jest ciepło i przytulnie. Zresztą myślcie, co chcecie. Macie do tego prawo. W rogu stoi łóżko. W łóżku leży kobieta. Jaka kobieta? Normalna. Nie Serbka, jakaś kobieta. Sprzątaczką. Leży goła na łóżku i ma wypiąć tyłek. Wokół niej żołnierze. Uzbrojeni. Borys wśród nich. Do pokoju przyprowadzają gołego faceta. Serba. Serb musi wleźć do łóżka i wsadzić go kobiecie. Od tyłu. Serbowi nie staje. Kobieta mu pomaga. Robi mu laskę. Wreszcie mu staje. Wtedy ona znów się wypina. On jej wsadza. A wtedy żołnierze strzelają do niego. Wszyscy! Tak! Wszyscy! I... I Borys też! Jest wojna. Kobieta wypełza spod krwawej, serbskiej miazgi i ucieka naga w ciemną, chłodną, październikową noc. Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku. A co oni nam robili?! Macie rację, sukiny!

Okej. Znowu jesteśmy w gabinecie. Miki, mój facet, pije kawę, a Ela herbatę owocową. To im przynio-

sła ta kobiecina, która roznosi kawę i herbatę owocową po biurach. W tym budynku jest barek dla pracowników. Można dostać nawet ciepłe przekąski. Do rzeczy. Co robi tych dwoje?

– Proszę się rozluźnić – powiedział Miki.

Pewnie dojrzał jej zaciśnięte pięści.

– Jak się pani nazywa?

– Ela – powiedziała Ela.

– Ela, zdrobnienie od Heleny?

Ela to zdrobnienie od Jeleny, ojciec Zoran, matka Milica. O cholera?! Wy się dziwicie?! Ale Ela nie przyszła do tego gabinetu, żeby mówić prawdę i tylko prawdę, i wpakować się w tarapaty. I dlatego Jelena, córka ojca Zorana i matki Milicy, powiedziała:

– Tak, Ela, zdrobnienie od Heleny.

Wojna! Taka jest wojna! Nie chce mi się mówić, jak wypywali cukier do tej kawy i herbaty... Ani jak mieszała. To nieistotne dla opowieści. Potem zadzwonił telefon, a Miki coś komuś powiedział o jakimś pełnomocnictwie. Specjalnym. Ale kogo to obchodzi! To są pierdoły. Kogo to interesuje? Ani mnie, ani was. Do rzeczy. Ela zdjęła kurtkę dżinsową. I pokazała drobne, jędrne, sterczące piersi w poszarpanym podkoszulku. Cienkim. Był wrzesień, koniec września. Chyba. Jeżeli Borys uciekł z frontu pod koniec października dziewięćdziesiątego pierwszego, to Ela siedziała w tej kancelarii pod koniec września. A nawet jeśli nie? Zresztą nieważne. Zdjęła kurtkę.

– Gorąco mi – powiedziała. Oczywiście, że nie musiała nic wyjaśniać. Ale muszę wam zrelacjonować, co powiedziała. Nie chcę kłamać.

– Dobrze – powiedział Miki. Albo „Bardzo proszę”,

albo „Niech się pani czuje swobodnie”, albo „Niech mi pani powie, jak mogę pani pomóc?”.

Albo nie powiedział nic. Może tylko się uśmiechnął. No i Ela powiedziała... bla, bla, bla, bla, bla... coś o jego uczuciach i jak ona Mikię rozumie, przypominę wam, Ela myślała, że Miki to Wiktor. Mówię wam to na wypadek, gdyby wasze myśli odleciały w siną dal. I mnie się to zdarza, kiedy ktoś mnie zamęcza, rozciągając w nieskończoność i tak przydługą gadkę. A więc, po bla, bla, bla... Ela powiedziała:

– Wiem, jak może się czuć mężczyzna, kiedy inny mężczyzna wylizze jego żonę.

Mikiemu nie było łatwo. Oczy miał jak wąskie szparaki. Usta zaciśnięte. Prawdopodobnie spojrzął w stronę drzwi. Tak jak spoglądają ludzie, których zamknięto w pokoju z wariatem, a pomoc nie nadchodzi.

– Ja przeszłam nad tym do porządku dziennego – Ela plotła cienką nić. – Pan nie może zapomnieć. Okej. Rozumiem – mówiła Ela. – Proponuję panu układ. Może mnie pan zerznąć, mogę panu obciągnąć teraz i tu...

Miki się wzdrygnął. I znowu zerknął ukradkiem w stronę drzwi. Na próżno. Pomoc była daleko.

– Może mnie pan wylizać, jeżeli ma pan ochotę. Tylko niech pan zostawi Borysa w spokoju! Niech się pan zlituje!

Łatwo teraz wam i mnie mówić, że Ela była szalona. Teraz, kiedy jest pokój, jeżeli to jest pokój. I jeśli jest pokój. Ale wtedy była wojna. Dlatego Ela płakała. Łzy leciały jej ciurkiem po policzkach.

– Niech się pani uspokoi – powiedział Miki.

I zerknął w stronę drzwi. Ale policja zawsze przyjeżdża w dziewięć samochodów, z włączonymi syrenami



i z karetką, dopiero kiedy bohater sam poderżnie zabójcy gardło. Nigdy nie są na czas. Ela chlipała:

– Niech mi pan coś powie, panie Wiktorze! Błagam! Niech mi pan coś powie, Wiktorze!

Alleluja! – pomyślał pewnie Miki. Ta baba jest walnięta! Ale proszę, proszę, nieźle ziółko z tej żony Wiktorze! Jeżeli Miki w ogóle zrozumiał, kto tu kogo pieprzy. Prawdopodobnie tak, bo Miki jest bystry. Proszę, proszę, co za żonę ma Wiktor?! Kurewkę! Tak pewnie pomyślał Miki. A może nie. Kim ja jestem, żebym zaglądała do cudzych głów?

– Elu – powiedział Miki – niestety, nie jestem Wiktoorem.

Kumacie? Dupek! Powiedział „niestety”. Ela walczyła o życie lub śmierć, wtedy nie wiedziała, że Borys jednak pójdzie do wojska i ucieknie, żeby ratować tyłek, wtedy to była dla niej kwestia życia lub śmierci, a Miki robił sobie jaja. Tacy są mężczyźni. To silniejsze od nich. Dobrze. Pomińmy tę wpadkę Eli. Poczula... niesmak. Niedowierzanie. Wypieki na policzkach. Rumieńce. Tak to się dzieje, kiedy jesteś Judytą, wejdiesz do namiotu, zaproponujesz cipkę Holofernesowi, puścisz się z nim, utniesz mu głowę i dotrzesz do ciebie, że z krwawiącej szyi skapuje nie ta krew. To jest jakiś Tomica, a nie Holofernes! O, w mordę! Paskudna głowa w twojej ręce jest głową pojeba Tomicy! Albo kogoś takiego. No. To nie ma znaczenia. Ważne, że Judyta zabrała się do domu, a Borys na wojnę. Do tej pipidowy, wziąć udział w polowaniu na gołębie, gołębnice i małe jajka. O których wy myślicie, że wcale nie były z nich takie znów niewiniątka. Że byli naszymi wrogami. I powtarzacie w kółko: „A co oni nam robili”. Dosyć już! Dosyć tego! Nie stawajcie na tylnych ła-

pach! To demokratyczny kraj. Mam prawo do błędnych sądów, powiedział... chyba Ezop. On pisywał o zwierzętach. No i pewnie też o gołębiach.

Okej. Kikiemu i mnie nie było miło, że Borys znalazł się w tym gównie. Było nam bardzo przykro, że Kiki jako jedyny w Mieście nie nosi na tyłku polowego munduru. Naprawdę było nam przykro. Nawet rozważaliśmy to, bawiliśmy się taką myślą, żeby Kiki kupił gdzieś za trzydzieści marek mundur, kałasznikowa za sto, żeby kiedy pojedziemy do Zagrzebia po towar, czuć się jak ludzie. Nie zrobiliśmy tego. Baliśmy się żandarmarii. Doszliśmy do wniosku, że lepiej być żywym palantem niż martwą ramką w gazecie.

Na ekranie trzy dziewczyny przeglądają „Cosmo”. „Cosmo” doradza mojej Aki, jak go zatrzymać. Gdzie są jego erogenne miejsca, jaką część jaj należy podrapać, żeby on nie odszedł do innej, żeby został na zawsze. Coś wam powiem. Żadna moja przyjaciółka. Żadna moja nieprzyjaciółka. Żadna przyjaciółka mojej nieprzyjaciółki. Żadna moja znajoma. Nie znam ani jednej. Ani jednej jedynej kobiety, która chce zatrzymać mężczyznę swojego życia. Wszystkie chcemy pozbyć się mężczyzn naszego życia. Wszystkie mamy po dziurki w nosie mężczyzn naszego życia. Długoletnich mężów, jebaków, narzeczonych, oblubieńców, kochanków, intymnych przyjaciół, „przyjaciół”, „dobrych przyjaciół”. Jesteśmy zmęczone mężczyznami naszego życia. Wszystkie byśmy chciały mężczyzn cudzego życia. Młodszych, silniejszych, miękkich, ciepłych, chłodnych – innych! Cudzych, do cholery!

Późno jest? Wcześniej? Wiecie, co teraz leci w telewizji? Teraz?! O tej porze nocy?! Kiedy wiele osób nie może spać?! Bezsenność to choroba naszych czasów!

O tej porze nocy należałoby pokazywać coś, co człowieka zrelaksuje i roztkliwi. Jakiś dokument o bratkach albo o hipopotamach. Jak wyluzowany hipopotam leży w wodzie, choć nie umie pływać. Ale nie myśli o tym. Ma to gdzieś. Gdybyśmy my ludzie leżeli w wodzie i nie umieli pływać, ocicielibyśmy z frustracji. Potrzebny byłby nam cholerny psychiatra. Zadawalibyśmy sobie setki głupich pytań! Ale nie hipopotam. On to olewa. Leży i pokazuje małe czarne oczko. Wisi mu to i powiewa. To jedyne ziemskie istoty, które mi imponują w stu procentach. Ich spokój duchowy jest pożywką dla mojej niespokojnej duszy. Okej. Zostawmy hipcie. Na ekranie czerwona mufka i gruby kutas. Czarny. Wsuwa się, wysuwa, wsuwa, wysuwa. Dlaczego w pornosach wielkie fujary są przeważnie czarne? Skąd ta dyskryminacja?! Czyżby nie było wielkich białych kutasów?! Okej. Nie powiem, że je często widywałam. Ale przecież istnieją! Dobra. Jej dziura jest wypełniona. Kutas właściwie nie jest czarny, tylko raczej taki bardziej fioletowy. Koloru bakłażana. Komu to potrzebne?! O tej porze nocy?! Leżysz sama w łóżku albo jeszcze gorzej, leżysz z nim w łóżku i widzisz, jak inni ludzie sobie używają. Szczęście nie zawsze jest w zasięgu ręki. I nagle czegoś takiego ci się zachce. Wsadzić kawał bakłażana w bezsenne ciało. Ale gdzie jest bakłażan? Ten obok ciebie głośno chrapie przez rozdziawioną gębę, nie umył zębów, więc czujesz odór trawionego kalmara przyprawionego czosnkiem. Nie ma też sensu tego czegoś budzić. A i brandzlować się nie ma sensu, kiedy ziele na ciebie kalmar. Dlatego nie lubię pornosów, kiedy nie mogę spać. Przyciskam guzik na pilocie. Ale. To też mi się nie podoba! To też mi się nie podoba! Co to jest? Sudan? Uganda? Afganis-

tan? Maroko? Senegal? Nie znam pieprzonej geografii, mówiłam wam to sto razy. Trudno mi powiedzieć, jak się nazywa to czarne zadupie. Zwłoki dziecka na rozklekotanej ciężarówce. Przedpotopowej. Wielka sterta małych trupów, to jakiś zagraniczny program. Po trupach łążą muchy. Ale muchy są też w oczach żywych dzieci. Z dużej głowy sterczącej na cieniutkiej szyi patrzy na mnie wielkie oko. Widzieliście to tysiące razy. A młode białe kobiety patrzą zatroskane i wpychają do czarnych ust małą łyżeczkę. Przez ekran przelatują numery. Można również kartą. Jeżeli zaptacimy, będzie mniej małych trupów i mniej much w oczach. Okej.

I Kiki dostał wezwanie. Słyszeliśmy o tym od innych nieszczęśników – słuchaliśmy tylko jednym uchem, bo sądziliśmy, że nam się to nie przydarzy, człowiek myśli, że tylko inni wpadają w gówna – słyszeliśmy, że jak otworzysz drzwi, należy przyjąć wezwanie. Słyszeliśmy też: „Nigdy nie otwieraj drzwi!”. Wezwanie zawsze przynosi przyjaciel, brat, dziecko sąsiada, sąsiad. Nigdy obcy. Nigdy nie otwieraj drzwi znajomym?! Co za bzdura! To komu otwierać drzwi? Tylko obcym? Co za bzdura! Wszyscy przez cały czas mieli zaryglowane drzwi. Zaczęli więc nalepiać wezwania na skrzynki pocztowe. I traktować wezwanie jako doręczone. Jakbyś go nie zauważył, albo ktoś by ci je zwinął, przysliby po ciebie nocą. Kiedy się tego najmniej spodziewałeś. Dlatego należało otwierać drzwi. Więc otworzyłam. Sąsiad Tomo. Mieszka z nami drzwi w drzwi.

– Proszę wejść – powiedziałam.

– Za panią – rzekło ścierwo.

Będę się streszczać. Weszłam do salonu, Kiki leżał na tapczanie, patrzył na mnie i kręcił głową w lewo,

166 w prawo, w lewo, w prawo, w lewo, w prawo. Był jak obłąkany. Słyszał rozmowę w korytarzu. A Kiki wiedział, że musi przyjąć wezwanie. Że to jedyne wyjście. Jednak kręcił głową w lewo... Już mówiłam. Wy to rozumiecie. Kiedy dostaniecie wezwanie, nie jesteście już sobą. Tylko kimś innym. Stajecie się jakimś innym facetem, szalonym facetem, który leży na tapczanie i kręci oszalałą głową w lewo, w prawo, w lewo... Stare skurczybyki, które doręczały wszystkim wokół wezwania, prawdopodobnie dostawały prowiżję od łebka. Wojna! Podpisałam. I uśmiechnęłam się. Żeby stary skurwiel nie pomyślał, że mi nie pasuje to wezwanie. I nie trąbił naokoło, że jemu się wydaje, jakoby Kiki nie chciał ginąć za Chorwację. Kiedy wszyscy chcą. Oprócz tych, których ja spotykałam. I jeszcze powiedziałam tej starej szmacie: „Bardzo panu dziękuję”. A zapragnęłam, by w tym momencie zżarł go rak albo jakieś inne kurewstwo. Niestety, dziś już niemal wszystkie choroby są uleczalne. A ścierwo i tak jest na wszystko odporne. Ma taki system immunologiczny, że głowa mała. Jest żywy, zdrów i mieszka z nami drzwi w drzwi. Więc zapłaciliśmy. Nie powiem wam ani komu, ani ile. Kto mi zagwarantuje, że teraz jest pokój? Może właśnie teraz, dokładnie w tym momencie, kiedy wstaje świt, wypisują nowe wezwania?! Dla Kikiego i dla was. Kiki ma zaświadczenie, że jest niezdolny. Do wojny, która minęła. O ile minęła, o ile to jest pokój.

Na ekranie Wielkie Białe Serca kłują cienką igłą cienkie, wychudzone czarne rączki. Wielkie Białe Serca. Pomagają i w Sudanie, i w Sarajewie, i w Nowym Jorku. Wszędzie tam, gdzie wielkie muchy latają wokół martwych ust. Kanalie! Super się czułam, kiedy

na ekranie pokazywali wszystkie amerykańskie megagwiazdy. Które śpiewały i rozmawiały przez telefon. Zorganizował to amerykański Czerwony Krzyż. Kiedy zawały się bliźniaki. Dochód z tego miał być przeznaczony na pomoc rodzinom ofiar, które wykopano spod bliźniaków, lub dla rodzin tych, których nigdy nie wykopią. Zaleją ich świeżym betonem. To było dla mnie super. Wielka, ciężka, czarna kurtyna. Pali się milion prawdziwych świec. Bo cała Ameryka jest pogrążona w wielkim smutku i w głębokiej żałobie. Świece smutno płoną i migocą. Amerykańskie gwiazdy śpiewają i rozmawiają przez telefon, a po ekranie przelatują liczby. Może być gotówka, może być też karta. Możesz zadzwonić do Jacka Nicholsona, zapytać, jak się ma, albo możesz mu nabluzgać. Odpowie na wszystkie pytania, na wszystko pozwoli, jeżeli zapłacisz. Zebrano kupę szmalu! Kupę szmalu! Bo ludzka głupota jest bezgraniczna. Kupa szmalu na pomoc rodzinom ofiar. Kupa szmalu. I tym rodzinom dali takiego wata. Cudnego, wielkiego, grubego, przegromnego, wcale nie w kolorze bakłażana, tylko białego wata! Możliwe, że Amerykanie po raz pierwszy w historii dostali takiego wata, jakiego zresztą sami fundują całemu światu. To był jeden z najszcześniejszych dni w moim życiu. Wielkie Białe Amerykańskie Serca zebrały szmal i napchały sobie kieszenie. A wy, amerykańskie ofiary, pieprzcie się! Dawajcie sobie radę sami, pieprzone ofiary! Okej.

Po sąsiedzku z nami, w Bośni, żyli Chorwaci. Im też potrzebna była pomoc. Wokół ich ust też latały muchy, zostali bez dachu nad głową, spali w namiotach, wychudłym dzieciom wkłuwano cienkie igły w cienkie rączki... Był tam pewien pan. Wielkie Chorwackie Ser-

ce. Które niosło ofiarnie pomoc Chorwatom w sąsiadującym z nami kraju. Wielkie Chorwackie Serce nie mieszka już w sąsiadującym z nami kraju. Serce kupiło najpiękniejszą zapewne willę w całej Chorwacji. Albo jedną z najpiękniejszych. Kumacie? Muchy latają, oko na mnie patrzy, przesuwają się liczby. Może być gotówka, może być też karta. Może być i gówno, jeżeli o mnie chodzi.

Już prawie rano, kurde mol. Nie mamy wiele czasu, wy i ja. Do rzeczy. Znowu jesteśmy przy Mikim i Eli. Kiedy Miki zadzwonił do Eli? Dzień! Miesiąc! Rok! Nie jestem pewna. A nie chcę skłamać. Wiem, że się spotkali w jakimś pubie. Na Gradinie, ale niech to zostanie między nami. W Mieście są nowoczesne puby. Wiecie, świece, guinness, koktajle, tarcze rycerskie na ścianach, wszystko zielone albo zielonkawe, stare fotografie... Właściciel przyrządza margerity i manhattany, z głośników sączy się jazz albo blues... Na każdym rogu w naszym mieście – pub. Poszli do pubu. Ona zamówiła margeritę, on martini dry. Nie pytajcie mnie, jakie to są drinki. Nie piję. Świece migotały, usiedli w kącie. Powiedziałam, krzesła są zielone, oparcia też. Taka Irlandia, tylko trochę bardziej na południe. O ile my jesteśmy na południe od Irlandii. Znam ten pub. Jeżeli przyjdiesz tam rano albo wczesnym popołudniem, wtedy jest super. Jesteś sam, wypijasz herbatę albo machiato bez kofeiny, dostajesz też cukiereczka, przy stoliku obok siedzi jakiś marynarz z pudlicą koloru brzoskwini, z głośnika płyną songi z filmu *Bracie, gdzie jesteś*, George Clooney i cała reszta. Film gówniany, ale muzyka super! Super! Jeżeli wejdiesz do pubu o dziesiątej wieczorem, trudno tam wytrzymać. Straszliwy tłok. Zasuwa B. B. King. Szaro od dymu. Sto-

isz na jednej nodze jak czapla i popijasz drinka. Dlatego Ela i Miki przyszli do pubu po południu. To już mówiłam. Byli sami, tylko marynarz w kącie i pudlica koloru brzoskwini.

Kiedy Miki i Ela bzyknęli się po raz pierwszy? Pierwszy? Drugi? Trzeci? Nie wiem. Wiem tylko, że się bzykają. Ela nic nie mówi. Ja nie pytam. Ja też się bzykam z Mikim. Ja nic nie mówię. Ela nie pyta. To, że Ela i Miki się bzykają, to ich sprawa. Tylko że Ela zaczęła mnie wkurzać. Znosi mi ogromne ilości kompaktów. Wiecie co? Wstaję z łóżka!!! Wymienię wam tylko niektóre tytuły! Tylko niektóre tytuły z dwu albo trzech, albo pięciu setek tytułów w moim salonie. Na półkach, które kupiliśmy Kiki i ja. Kupiliśmy półki na cudze kompakt, które są w naszym salonie! Kumacie. Nie. Okej. Posłuchajcie! Trzymam w rękach pięć sztuk straszliwego gówna. Słuchajcie! Czytam. Diana Krall, The Look Of Love i kolejne gówno, More Best Of Leonard Cohen, i jeszcze jedno gówno, Santana, i kolejny pojeb, The Very Best Of J.J. Cale, no i jeszcze to, to niebiańskie rzępolenie, ta Buena Vista Social Club... Kumacie?! Kumacie, czemu mi odbija!? Czy kiedykolwiek słyszeliście o tych pojebach?! No i widzicie! Dodajcie do nich jeszcze milion takich pojebów! Których muszę słuchać, kiedy Ela przychodzi do mnie. Bo Ela, tak jest, kiedy ci potępieńcy rzępolą na gitarach i śpiewają... Czekać! Oni nie śpiewają! Cholerny Cohen, na przykład! Ten popapraniec nie śpiewa! On szepce. Tak szeptał nasz rzeźnik Mihajlo, zanim mu zoperowali raka krtani. Teraz milczy. Dzięki Bogu. Serbskie fałszywe ścierwo. Przez całą wojnę parszywy serbski Cohen szeptał, że jest Chorwatem. Teraz nie może mówić, więc wypisuje na karteczkach, że jest Chorwatem. Mam po dziurki

w nosie serbskich Chorwatów! Okej. Kiedy ci pstrokaci popaprańcy kwilą albo szepczą, albo rzępolą na gitarach, albo walą w bębny wszelkich możliwych kształtów, pies im mordę lizał, w moim salonie, Eli się wydaje, że duch Mikiego unosi się „w powietrzu”. A Miki pewnie w domu bzyka żonę albo ćwiczy czytanie z matką, której czytanie nie idzie, bo może jest przygłupia po mamie mamy albo cierpi na dysleksję. Miki się tym zadręcza. A nie powinien. Jakiś amerykański prezydent cierpiał na dysleksję. Który? Nie pamiętam.

Owszem. Nie powiedziałam wam. Ale skumaliście. Miki złożył wymówienie, wpłacił dziesięć tysięcy marek wpisowego izbie adwokackiej, co to za typy, dziesięć tysięcy marek, i poszedł w adwokaty. Myślał, że będzie bronić wielkich złodziei i kosić wielką kasę. Bronić wielkich złodziei????!! Przed kim?!! Ela dostała wymówienie z Miejskiego Banku. Nie chciała dać dupy głównemu menedżerowi. Któregoś roku ogłosili go najlepszym menedżerem w Chorwacji. A więc nie jest byle porąbańcem. Dlaczego mu zatem nie dała i nie ocaliła stołka, pytacie. Dlatego że nie chciała znowu być Judytą. My, kobiety, jesteśmy przez całe życie pieprzonymi Judytami. Puszczamy się, by ratować mężowski tyłek, by ocalić pracę i przynosić do domu drobny szmal, puszczaemy się, by zapisać dziecko do przedszkola, puszczaemy się, by mąż nie wpadł w depresję, puszczaemy się, by uszczęśliwić kochankę, puszczaemy się, by wstawić sobie plombę za darmo, puszczaemy się za skórzany długi płaszcz i kolację... Wszystkie jesteśmy przez cały czas pieprzonymi przez kogoś Judytami! A Holofernesowie wciąż mają głowy na karku! Ścierwa! Ela nie chciała być więcej Judytą! I niech nie będzie! Brawo, Ela! Okej.

Ela nigdy mi się nie zwierzała, jak pieprzy Miki. Ani ja jej. Za to zamęczała mnie opowieściami o tym, jak pieprzy Borys. Borys ją pieprzy, kiedy raz na trzy miesiące przyjedzie z Monfalcone do Miasta.

– Zaciąga mnie do pokoju albo podchodzi od tyłu, jeśli akurat gotuję. Potem zadziera mi spódnice i ściąga w dół rajstopy. Do kostek. Nie mogę się ruszyć. Wtedy bierze mnie na ręce. Jak pieprzony nowożeniec, który przenosi pannę młodą przez pieprzony próg. No i ciska mnie na łóżko. „Daj mi się chociaż umyć”, proszę czasem. „Nie musisz się myć dla mnie, myj się dla kochanka”. Borys jest dowcipny. Potem ściąga mi rajstopy, majtki, obraca na brzuch, zdejmuję mi podkoszulek.

Ela nie nosi stanika.

– Potem obraca mnie na plecy i liże. Od skroni, przez uszy, oczy, nos, usta, szyję, cycki, brzuch, omija cipkę, biodra, do kostek, a na koniec palce u stóp. Jeden po drugim. Wylizuje mi wszystkie dziesięć palców.

– Co robisz, kiedy on cię wylizuje? – spytałam Elę.

– Leżę. A wtedy on mi się wsuwa między nogi i pozwolił mi liże, i ssie.

– Masz orgazm?

– Zawsze.

– A potem wstajesz i wracasz do kuchni.

– Co masz na myśli? – spytała Ela.

– Że ty kończysz, a jego zostawiasz w łóżku z suchym fiutem.

– Nie – powiedziała Ela.

– Tylko...

– Szarpię mu druta. On stoi na łóżku, ja klęczę, albo mnie zerżnie, albo mu go obciążam na moje cycki, potem się wycieram majtkami, albo podchodzę

do niego od tyłu, kiedy tak stoi, i liżę mu jaja, i grzeję gruchę, póki nie spuści się na lustro na szafie, przy łóżku.

- Dlaczego mi to opowiadasz? - spytałam Elę.

- Nie chciałam, żebyś sobie pomyślała, że nie kocham Borysa.

Okej. Słyszę was! Przestańcie się brandzlować, zboczeńcy! To żaden pornos! To samo życie. Czemu tak sapiecie?! Co za perwersyjne bydlaki?! Budzi się. Wierci. Puścił bąka. Zaraz się obudzi. Mój Kiki. Mój Kikuś. Patrzy na mnie. Piękne brązowe oczka. „Dzień dobry, Kikusi”. Słodziutki jest z tymi potarganymi włoskami. Co jest?! Cooooo jest?! Czemu wrzeszczycie?! Kiki nie jest w Lublanie?! Nie. Kłamałam?! Jestem kłamczuchą?! Ja kłamczuchą?! Ja?! Kłamczucha?! A wy?! Wyście całe życie chodzili po świecie z Biblią na sercu, klnąc się na wszystkie świętości, że będziecie mówić prawdę i tylko prawdę?! Skurwiele! Pętaki! A Miki?! Co „a Miki”?! Co się dzieje z Amikim? Wymyśliłam Mikięgo?! Gdzie jest Miki? Nie wymyśliłam go! Jesteście głusi?! Nie słyszycie dzwonka?! Dzwonek! Miki dzwoni! Miki stoi pod drzwiami i dzwoni! Niech dzwoni. Są dwie szkoły, jak postępować z facetami, którzy czekają pod drzwiami i dzwonią. Jedna to szkoła „Cosmo”. Należy szybko wstać z łóżka, popędzić do drzwi, otworzyć, uklęknąć, rozpiąć mu rozporek, obciągnąć mu od razu, na progu, trzymając jego jaja w swojej lewej ręce, w sposób, jaki on najbardziej lubi. Jest też druga szkoła. Szkoła Magdy. Z „Glorii”. Niech dzwoni! Niech czeka! Faceci powinni czekać! Magda jest super! Magda rządzi! Najmądrzejsza kobieta w Chorwacji! Niech dzwoni! Niech czeka! I bę-

dzie czeka! Bo na ekranie napis „Film dokumentalny”! Wiecie, co to dla mnie znaczy! Mam fioła na punkcie dokumentów. Może będą hipopotamy?! Zwierzęta, które zawsze są sobą. Pewne siebie. Nie umieją pływać, a życie spędzają w wodzie. Włączam dźwięk.

## Weźcie wdech

*Nie widziała ja, że ludzie uciekli ze wsi. Nie widziała, żeby ktokolwiek uciekał. Tylko widziała, że nasze wojsko się wycofało, bo nie było go na pozycjach, gdzie było wcześniej. To pierwsze. A drugie, strzelano ze wszystkich stron, więc nie wiedzieliśmy, kto jest kim ani co jest co. Walili... czym popadło. Z moździerzy, karabinów maszynowych, czołgów i takich tam... Walili z każdej strony, nie, to po dwudziestu minutach, nie mogłeś wiedzieć, skąd strzelają. Mieszkałam z moim chłopem. Żał mi go było, bo ledwo co się ruszał. Jak strzelali, uciekała ja z domu, a potem wróciła i doglądała go. Dawałam mu ci zjeść. Ale nie mogłam być z nim długo. Wciąż mu to mówiłam. Przez drzwi ja mówiłam do niego, a on słabo słyszy, no ale ja i tak do niego gadała. Wciąż. Że go zarzną, żeby pozór miał. A on do mnie, że niby kto miałby go zarznąć. Że my nic złego nie zrobili. Nic nie zrobili. A tego dnia... Wtedy, gdy ja zobaczyła, że wszystko gore... uciekała ja od niego. Ale nie mogłam biec przed siebie. Poleciałam przez*

sad, nie? Tam miny. Zawróciłam. Gdzie bądź się ruszę, każdy widzi jak na dłoni. To wtedy pobiegła ja do kumy Mandy. U niej był jej parobek, Krste. Kumo! Uciekać trzeba!

Stałyśmy tak może nawet ze dwie minuty, nie? Walnęła granat i wyrwał metalową bramę garażu. Nas nie dziabnęło, nie? Widziały my, że nie idzie tu stać. Uciekły my przez las, no... do rowu. Tam siedziałyśmy, aż się ściemniło. Jak się zmierzchno, wrócili my do jej domu. Spalony nie był, ale wszystko jak leci porozwalane. Wszystko, co szło ukraść, ukradli. A nie dało rady wszystkiego wynieść naraz, bo to, no... był bogaty dom. Auto stało w piwnicy i wszystkiego w bród. Tu przenocowaliśmy. Tu nas słońce zbudziło. Rankiem o mały włos nas złapali, mogli nas powybijać! To znów żeśmy do tego rowu. Tak że nie było ani co jeść, ani pić. Siedziały my w rowie do zmroku. Tak siedząc, ona znowu mówi, żeby my poszli nocować do jej domu. Mówię jej: „Kumo, tam nas niechybnie zdybią i zabiją”. A ona że nie, że chodźmy. Dobrze, no to chodźmy. A było już, no tak, zimowa pora. Dziewiąta, nie? Ledwo co widać. Powoli wyszli my z rowu, żeby zobaczyć. I widzimy, nie ma co... jej gospodarka w ogniu. Pali się wszystko. Pali się obora. Pali się dom. Pali się i drugi dom. Pali się wszystko. Pali się zagroda sąsiadów, pali się dom Ivy, ogień idzie od drugiej osady. Wszystko płonie. Tak że na kilometr jasno, nie trza światła.

Przeszły my tak przez młodnik i zobaczyły opuszczony dom. Tu kiedyś żyła Marta, stara kobieta, nie znam nazwiska, ani jak na nią wołali. Tu my przenocowały, w piwnicy na betonowym klepisku. Jak zaświtało, nie widziały my, gdzie iść. Tam pogorzeliśko, nie?

Wiemy, że wszystko spalone. To było dwudziestego ósmego września. Przeszły my ze dwa kilometry, do tego, co się zwie Kotlina. Przesiedziały cały dzień przy potoku. Trza było wracać. W dole wyżynają Račice. Nie mogły my tu zostać. Musiały wrócić. Trza znowu przez młodnik. A tu moja kuma nie zważa, gdzie się pali, gdzie ślady są, nic. Ja to zawsze na ślad patrzę i widzę go, gdzie przeszłyśmy, ten sam, bo my poszły tym samym śladem, co wyszedł na szosę. Jak byłyśmy blisko wsi, mówię do niej: „Patrz, stara, chałupa się pali”. Ale nie wiedziały my czyja. Bo siedziałyśmy w lesie. Ale słyszałyśmy czetników, nie? Czetnik wyprowadza konia i mówi: „No, ogierze, droga krótka”. Stąd wiedziałyśmy, że są blisko nas. Ledwo się schowałyśmy, widzimy dym. Gdzieś gore, ale nie wiemy czyj dom. Widzimy potem, że to nasza wieś gore. Więc znowu zaczęły my, aż słońce zaszło, potem przez zboże, młodnik, same nie wiedziałyśmy jak, doszłyśmy do drogi i jej spalonego domu. Ale jesteście. Co wziąć? Zaczepnęłyśmy wody ze studni. Musiały my zaczepnąć. Nie wiedziały, czy zatruta, czy nie, ale... Byłyśmy spragnione, no i głodne. Pozbierałyśmy na kupę trochę ubrań i z powrotem do rowu. I przespałyśmy noc, nie? Jak przespały my noc, powiedziałam: „Słuchaj, stara, Nie mogę już. Uciekam piąty dzień, nie? Uciekam spod luf. Nie mogę dłużej. Musimy albo wyjść, albo kryć się jak Bóg da”. Na to ona mnie pyta jak. „Idziemy do naszego domu – ja mówię. – Ja tak dłużej nie zdzierzę. Muszę iść do naszego domu”. Ona na to: „Ale jak, kumo?”. I poszłyśmy. Trzy kilometry przedzieraliśmy się przez młodnik. Znałam drogę, owszem, ale zarosła. Kiedy dotarliśmy na miejsce, idąc między spalonymi doma-



mi, strasznie tu śmierdziało... Nie szło wytrzymać. Do-  
koła leżały trupy, nie zakopane. No ci, Ana, Jakov...  
Nawet świniaki na podwórzu. Groza, kto to widział.  
A my tam... Żywi... Tam. A jednak poszłam. Pchała  
mnie chęć, żeby zobaczyć swój dom. Bo przecież nie  
wiedziała ja, czy do szczętu spalony, a jednak miała  
przeczuć. Palą się wszystkie, czemu nie mój. Słysimy  
dalej, nie? Jak tylko księżyc krył się za chmurą, my  
w drogę. Jak księżyc wyjdzie, my w kucki. Odpoczywa-  
my, nie? Myślimy, gdzie tu iść. I tak przez Barčic doszły  
my na moją tąkę, co ją zwali Rebešinką, i tu siadłyśmy,  
co by trochę odsapnąć i pogadać. Księżyc w pełni.  
A ja widzę, że dach mojego sąsiada jaśniej jak księ-  
życ. Tak ja sobie myślała. Ech... Może nikt nie podpa-  
lił mi chatupy. Może ocalała, to się tam skryjemy. Co  
będzie, to będzie, byle bliżej własnego domu. Ale jak  
się rozwidniło, a nie rozwidniło się za dobrze, bo to zi-  
ma była, to mnie ścisnął płacz... Mówiła ja... Nie mo-  
gę gadać, kiedy mnie ścisnie za gardło... Powiedzia-  
łam do mojej kumy: „Kumo, ani mój pies szczeka, ani  
szpak śpiewa – tak mówię. – Wszystkich wybili”.  
A ona mnie tak pociesza: „Nie, biedna ty moja – mó-  
wi – nie zrobili tego, kumo. Coś przecie zostało”. Da-  
lej my nie szły, tylko się ukryły. A jak się dobrze rozwid-  
niło, zobaczyła ja, że orzech, całe drzewo spalone jest  
nad oborą. Powiedziałam jej tak: „Widzisz, kumo, mój  
orzech spalony”. „Widzę”, mówi kuma. „Ech – mówię  
wtedy ja – nic mi już nie zostało”. I tak przestałam się  
bać, nie? Doszło do mnie, że ja już od miesiąca tak la-  
tam przed lufami i wszelaką bronią, i skoczyłam przez  
mur do domu mojego kuma Ivy. Widzę, wszystko  
zgliścza. Zerwałam trochę winogron i szybko wróci-  
łam, gdzie leżeli moja kuma i jej parobek Krste. Da-

łam im trochę winogron i zakasałam rękawy. Ruszyła  
ja prosto do mojego domu, nie? Przez młodnik, skąd  
walili czetnicy w stronę domu. Podeszłam do drzwi  
mojego domu. Ciężko to jest, nie? Ciężko na to pa-  
trzeć... Jak zobaczyłam, że tam nic nie ma... Potem  
poszła ja do stodoły, nie? Zakasałam rękawy i patrzę.  
Ze wszystkiego, co ja miała, ostała się tylko... brona.  
Widać tak miało być, powiedziała ja. Bracia zrobili  
porządek, nie? Zabrali, co mogli, budulec i co tam  
jeszcze rozkradli, zabrali i podpalili.

Ale jeszcze mi było mało, nie? Wróciłam do domu.  
Stoję. Myślę. Czy mój Ivo położył się, jak ja uciekałam?  
Czy go wrzucili do ognia, skoro go nigdzie nie widzę?  
Bardzo krótko tu się zatrzymałam. Jak doszłam  
do siebie, ruszyłam z powrotem do kumy, co by jej ob-  
jaśnić, jak w domu jest, i zobaczyć co dalej. Nie ma  
co, trzeba nam iść razem. Rzuciła ja okiem w prawo  
i najpierw zobaczyłam laskę mojego chłopca. Jak po-  
patrzyłam uważniej trochę, zobaczyłam chłopca  
na środku drogi. Ani on się spalił... Ani te skarpety  
w butach spalone. Tylko ubranie na nim do pasa.  
A na górze prawie że nietknięte. Kto żeż... Kto raz coś  
takiego zobaczy, nie, ten nie musi na własnej skórze.  
Sama nie wiem, jak ja doszła do siebie z tego bólu.  
Siadłam na pieńki jeden, uspokoiłam się i postanowi-  
łam zobaczyć. Czy go zadźgali... Czy podpalili go, nie?  
Ale w tym strachu, osłupieniu moim, zobaczyła ja tyl-  
ko, że ma krew pod brodą. To by znaczyło, że... Albo  
mu podcięli gardło, ale nie do końca, bo nie leżał  
plackiem... A to by znaczyło, że żył jeszcze, jak zwalili  
na niego drewno i podpalili... tyle że on był sparaliżo-  
wany, nie? Uciekać nie miał jak ani dokąd. Ja, jak  
ochłonęłam trochę, z tej złości i smutku znowu po-

szłam na podwórko. Żeby spojrzeć. Patrzyła ja tak i patrzyła... I zobaczyła, że nie ma tu już powrotu. Ani domu nie ma, nic...

Zabrałam kurtkę i kozuch. I wróciłam do mojej kumy. A ona mnie pyta: „Kumo, co z tobą?”. Ja jej mówię: „To, co niosę w rękach, to wszystko, co mam i co mi zostało po dwudziestu ośmiu latach”. Ona mi na to: „A co z kumem?”. Zrazu nie miała ja sił jej odpowiadać, więc powiedziała tak: „Kumo, nie mogę ci rzec, ale on tam jest. Musiał zemrzeć w mękach, od razu go nie zabili, bo nie leżał plackiem, jeśli ja dobrze widziała. Może tylko zwłoki podpalili. Mnie się zdawało, że zarżnięty jest, nie? Ale nie dam głowy. Widziała ja tylko, że mu poderżnęli gardło i chcieli go spalić, nie? Ale nie spaliło się nic, tylko ubranie do pasa”. Jak jej to powiedziałam, siadłyśmy w takim jednym młodniku. Głodne. Nic my nie miały. Z tej żalości powiedziała ja, że trza iść do lvy, winogron nabierać. Chodźmy, mówi ona, ale cię zobaczą. Tak przesiedziały my cały dwudziesty ósmy, dziewiąty dzień. Poszłyby my z powrotem do naszego rowu, będzie chyba ze trzy kilometry przez las, ale opadły my z sił. Jednak się my podniosły, żeby iść, spojrzęła ja w bok i powiedziała: „Ej, zobacz no, na domu Vransy sztandar powiewa jak jaka płachta. Ale nie wiem, czy serbski jest, czy jugosłowiański”. Głos mnie doleciał jednego człowieka. Ktoś mu pałki przynosi do sztandaru, ktoś dół kopie. Jak raz przy moim sadzie. Mówię do niej: „Słyszysz to, kumo, nie? Doły kopie i sztandary rozwija. Luka mu pomaga. Nie możemy iść, bo nas zabije”. Luka. Myślę sobie, że nie mieliby nas za co zabić, ale... Nie wiedzą oni przecież, kim jesteśmy, nie? Wlecemy za sobą wszystko, co nasze, i tyła... Czekałyśmy tam do późna, a wtedy z powrotem

do rowu. Głodne byliśmy. Rano przebudziły się my znowu w rowie. Latarkę ja miała, więc mogliśmy sobie poświecić, ale jak pomyśleć, świecić nie można. Bo nas powybijają, nie? Ranek, nie ma gdzie się ruszyć. Deszcz leje, zawierucha. Woda pod nami, woda nad nami. Usypia nas, choć głód żre. Ruszyć się nie ma gdzie. Pozbierać się nie ma jak. Kuma mówi: „Idę do swojej chatupy, coś do jedzenia przyniosę”. „Co przyniesiesz – mówię – jak nie masz co”. „Przyniosę – ona na to – mamy jeszcze herbatników trocha, pajdę chleba, może kura się jakaś znajdzie... Czy coś. Coś przecie przyniosę”. Wraca kuma, niesie cztery czy pięć jaj, rozpalamy ognisko, ale tak by dym się nie niósł, nie? By się nie zdradzić. Wypiły my kawę i uradziły, że nie ma co dalej w miejscu stać. Trza nam iść na Velebit. Jak nas złapią, jak nas zabiją, to nas zabiją, nie? Poszła się kuma rozejrzeć wokół jednej chatupy i zaraz wróciła. „Pepa – mówi – wróciła właśnie z Velebita. Chodźmy do niej”. To poszłyśmy do Pepy i tu się rozgościłyśmy. Miała baba coś do jedzenia, miała groch, miała szynkę wędzoną, to się u niej zatrzymałyśmy, nie? Jakieś piętnaście dni. Ale zwiedzieli się o nas czetnicy i nieprzyjacielskie wojsko. I przyszli, nie? Jeden taki wysiadł z auta i mówi nam tak, że w jego domu bezpieka zabiła pięciu braci i ojca, i matkę. A on jest z Urzędu Bezpieczeństwa. Wszystkich mu wybili jakiś dzień temu. „Ja nie wiem – powiedziałam. – Nie musicie nas karać, jeśli, no, nasi tego nie zrobili”. Najpierw spytali kumę, gdzie są jej synowie. A moja kuma na to, że jeden w Niemczech, drugi w Splicie. „A więc to tak – mówi tamten – ci z Niemiec pomagają ustaszom, a ci ze Splitu walczą z nami”. Szurnęłam ją nogą, żeby siedziała cicho, i tamten to zobaczył. Rozdarł się

na nas: „Chcę krwi! Chcę zabijać! Podrzynać gardła! Zrobię swoje i po wszystkim!” Na to jeden mały żołnierz mówi do mnie: „Ani się rusz, babciu, jak zobaczy, zabije, a wtedy ja jego”. Ten żądny krwi pojechał do wsi Sveti Rok sprawdzić, czy wojsko o nas wie. Potem zjawiał się Mile, ten co to w Korpusie Banjaluckim jest, i zabrał Pepę do Banja Luki. Zostałyśmy same, ja i moja kuma. Całe piętnaście dni tu byłyśmy, nie? Bo gdzie tu iść? A ten parobek kumy, ten Krsto, wybiera się do Dalmacji, nie chce już z nami być, nudno mu.

A zjawiali się u nas rozmaici. Byli wśród nich dobrzy ludzie. Przyjdą, wypiją z nami kawę i rakiję, pogadają. Nie, nie można w każdym Serbie widzieć zbrodniarza. Są też dobrzy ludzie, nie? Przyszedł Božo. Najbliższy sąsiad, nie? A niby to jest z Ploče. Wchodzi Božo. Podzwania bronią. Stoi jak jakiś przebieraniec. Wrzeszczy, że mnie zarżnąć trzeba, że karmię tych z bezpieczki i ustaszki karmię. Poszedł Božo, przyszedł inny. Zjawiał się też Mile, powiedzieli mu, gdzie jestem. On jest przewodniczącym rady miejskiej, nie? Wchodzi i woła: „Gospodyni!”. To ja wyszła na dwór. Siedziałam w domu, bo nam wojsko przykazało, żeby my nie wychodzili. Ja żem wyszła. Poznałam go po głosie, nie? Przywitał się ze mną. Karabin trzyma w ręce i mówi: „Nie musiało do tego dojść”. A ja mu na to: „Mnie nie musisz tego gadać. Mnie ani Tito niczego nie dał, ani Tudjman mi coś da. Ja swoje dzieci wyprowadziłam na ludzi, teraz wreszcie zaczęłam jako tako żyć, a wyście przyszli i podpaliли nas. Mniejsza o to, że podpaliłicie, ale czemuście mi zabili Ivę? Dwadzieścia trzy lata się nim opiekowałam, niedołączny był, nikomu nie byłam ciężarem. Troje słabowitych dzieciaków wychowałam, do szkół posłałam, nigdy się nie skarżyłam, choć ciężko było”. On mi na to

tak powiada: „Tutaj się ukrywali ci z bezpieczki, w twoim domu”. A ja mu na to prosto z mostu: „Łżesz! Krowy przywiązywałam, żeby pociski ich nie powybiły. Przez lornetkę widziałeś, że nikt się tu nie krył, tylko bydlę przywiązane było. A jeśli nie widziałeś dobrze – mówię mu dalej – jeśli byłeś pijany, to trzeba było wytrzeźwieć i dobrze się przyjrzeć”. Wtedy on tak do mnie mówi: „Zabiliśmy ci zięcia, zabiliśmy męża”. „To i cóż”, powiedziała ja. A on dalej swoje: „Młodą córkę masz, jeszcze wyjdzie za mąż”. Wtedy ja do niego: „Słuchaj, Mile! Twojej Ance też tak mówili jak ty mnie. Tyle ci powiem, nic więcej. Zabiłeś mojego męża, zabiłeś zięcia i jeszcze mi – mówię – grozisz, że syna zabijesz. Że oni wszyscy to ustaszki”. Wtedy on: „Powiedziałaś dwóm synom i zięciowi, żeby oni mnie zabili”. „Słuchaj – odparła ja mu na to – gdybyśmy my chcieli ciebie zabić, mogliśmy to zrobić kiedy bądź, bo przez naszą łakę po wodę chodziłeś, nie? Mogli my cię zabić jak zającą, z pięć lat temu, a nie teraz. Czemu mielibyśmy cię zabić? Na co? Człowiek nie po to jest, by go zabijać. Niech sobie żyje”. „Tak, do tego nie powinno dojść” – on na to. „Mnie nie musisz tego mówić. Żaden ze mnie polityk, ani się polityką zajmuję, ani ją znam. Wiem tylko, coście zrobili”. Tu mi on propozycję daje, żebym w jego domu zamieszkała. Nie. A czybym u Savy została? Nie. Żeby jeszcze ktoś powiedział synowi, że ja do Serba poszłam po tym, jak mi Serbowie męża zabili i spalili chałupę. „To nie byłoby dobrze”, przyznał. I poszedł, nie?

Byliśmy tam jeszcze, jak przyszli po nas, żebyśmy się do jakiegoś Nikicy przenieśli, do Lovinca. Że on niby major jest... albo nie... komendant... czy jakoś tak. Ja w tych rangach słaba jestem. No to poszli my tam. Ja,

moja kuma i ten jej parobek, Krste. Poszli my tam i od razu do ambulatorium tamtejszego, no, weterynaryjnego. A tam jak w roju. Siadłam sobie na stołku, nie żebym zmęczona była, ale z tej żalości stać ja nie mogła, jak ich zobaczyła, a jeszcze mnie pytają, czy Lovinac znam. A czemu bym miała nie znać, jak dwa kilometry stąd mieszkałam, nie? Dzwonią wtedy do jakiegoś Mrdalja. Nie ma go, do Gračacu pojechał. Zjawia się jakiś inny i szepce do tego, co Mrdalja zastępował: „Gdzie ich synowie? To te, co ustaszy karmią. Trzeba je powybić!”. A nam nie było obojętne, jak ktoś mówił, żeby nas powybić, nie? Ale zażartowała ja sobie, że Krstę im damy, żeby zarobił sobie u nich na emeryturę, tylko niech nas puszczą. Ale nas zatrzymali. Słońce zaśzło. Pytają nas, skąd jesteśmy. „My – mówię im – mieszkamy z kilometr od was. Zostawcie nas. Niczego od was nie chcemy, tylko nas zostawcie w spokoju”. Wypuścili nas. Ale jak cię puszczą, nie wiesz, który z nich pierwszy tylko patrzy, żeby nas zabić. Poszli my do domu jakiegoś Dana. Rano przychodzi do nas kapitan i tamten, co Mrdalja zastępował. On z nami gadać zaczyna, nie? Skąd jesteśmy. Kim jesteśmy. My mu to wszystko mówimy. Moja kuma znowu, że ma syna w Niemczech, a drugi jest milicjantem. To się im nie podoba, nie? Więc mnie pytają, kogo mam. Ja, mówię im, tylko córkę mam. Gdzie? W Gospiciu. Dobrze. Zostawili nas, nie wolno nam nigdzie iść. Wyszli. Ale o trzeciej godzinie przyszło dwóch młodych. Napadli nas, że chcieliśmy uciec. Niby gdzie, jak tu jesteśmy. Nigdzie my nie uciekały. Tak! Nie! Tak! Nie! Tak! Nie! Potem tak do mnie jeden mówi: „Masz nie tylko córkę. Masz też dwóch synów!”. „Słuchaj no – ja mu na to – ja nie mam tylko dwóch synów, sześciu mam, jak chcesz

wiedzieć. Z tych sześciu zostanie ledwo jeden”. On tak na mnie wściekle łypnął i mówi do mnie tak: „Umiesz dobrze się bronić postugiwać!”. „Nie umiem. Ale jak przyjdzie co do czego, będę musiała umieć”. A wtedy on do mojej kumy: „Strzelacie jak sto diabłów!”. A moja kuma mówi: „Nie mamy z czego”. A oni na nas naskakują, że niby gdzie my byliśmy w czasie tej strzelaniny. To my im pokazały, że w jednym miejscu my były, tu właśnie. A on ładuje schmeissera, kumę bierze, co by mu pokazała dokładnie gdzie. Jeden został pilnować. A mnie nie trza było pilnować. Gdzie miałabym leżać, jak ją zabrali. I wtedy on mnie pyta, czy ktoś się kryje w tej oborze. „Nie ma nikogo”, powiedziałam mu, to on wtedy puścił serię po oborze. Aż tu ten drugi kumę sprowadza z góry. Miałam tam jedną kołdrę, cośmy się pod nią kryły. Ale on nie pozwolił jej kołdry brać, to ją cisnęła w krzaki. A wtedy oni zaczęli tak z nami gadać, że niby czy my jesteśmy bojaźliwe. My na to, że tak. Tamten rzekł wtedy, że przyjdą po nas za pięć minut. „Dokąd nas zabierzecie?”. Odpowiada: „Do Lovinca”.

Zabrali nas do Lovinca. Ciężko siedemdziesięcioletniej kumie. Z auta wyleźć nie może. Pomogli jej. Tamten mnie pyta, czy mnie też mają wyładować. Ja mu na to: „Nie trzeba. Sama dam jeszcze radę”. Wysiadam, nie? Wchodzę do ambulatorium. A że padało, pełno tam wody. Szyb nie ma. Podchodzimy do jakiegoś sznurka. A tam ten sam Mrdalj stoi w naszym ambulatorium, od razu ja poznała, że skądś go znam. Mówi on do mnie, ten Mrdalj: „No, dalej – mówi – gadaj”. „Nie mogę – mówię mu na to. – Czekać chwila, jak się uspokoję, to wam wszystko gadać będę”. To on jednego czetnika spytał, gdzie niby my byliśmy. Tamten mówi: „Sto armat, sto moździerz, sto karabi-

nów, nawet samoloty nie mogły ich wykurzyć". Wtedy ja pomyślała, że to dobrze, że nie wszystko my im pokazali. Pokazali my jedno miejsce, a drugiego nie. Aż tu nagle wchodzi Mile! Wołają na niego „Szyja”. Widzę, że człowiek jest mi znajomy. On się uśmiecha, nie? Patrzy na mnie i klepie po ramieniu. „Nie wyjdziecie stąd”, mówi. Ja mu na to: „Ani nam to w głowie”. A on swoje, gdzie moje papiery. „Nie mam, bracia wasi mi wszystko spalili, nic nie mam”. I jeszcze spytałam, czy droga do Zadaru przejezdna. Nie. „A dokąd – pytam – da się jechać?”. „Do Zagrzebia”, mówi on. „Ki diabeł – pytam – wieść nas tam będzie? I na co?”. „Coś się znajdzie”, mówi.

Osiem dni siedzieliśmy w więzieniu. Pilnował nas żołnierz z karabinem, złego słowa nie mogę powiedzieć. Nikomu nie dokuczał. A było nas dziesięcioro, nie? Pierwszych, co przywieźli, to nawet bili. Mnie nikt nie tknął. Ani nie bił, ani nic. Żołnierz to mówił tak: „Ja bym wam nic nie zrobił, tak jak mojej córce. Nic mi nie zawiniliście. Do tego nie powinno być dojść. Wzięli mnie z rezerwy. Sam nie wiem, przeciw czemu walczę”. Nie wszyscy ludzie są tacy sami, nie? Gdyby mi jutro powiedzieli, że trzeba go zabić, ja by przed nim stanęła, ciałem go zasłoniła. Nie można wszystkich oceniać jednakowo. Ale mało jest takich. Kiedy tam byliśmy, ja i moja kuma, niejedno się widziało... Kradną. Wynoszą. Wszyscy sąsiedzi jak jeden mąż. Co im w ręce wlezie. Czego nie mogą zabrać, podpalają. Zarzynają. Starców i nie tylko.

Zjawił się jakiś Marko z Gračaca, nie zapamiętałam jego nazwiska, kto by tam wszystko spamiętał w tym cierpieniu, do domu wszedł, karabin na ramieniu i mówi do nas: „Jutro – mówi – idziecie do Gospi-

cia. Do swoich, do swojego wojska”. „Co znów – mówię – przecie wy też jesteście nasze wojsko, skoro wszystkich nas tu razem spędziliście”. „O nie, nie – on na to – tam was wasi przywitają, dadzą wam jeść”. „Przecie i wy nam jeść dajecie”, mówię. Coś podejrzana dla nich byłam. Nie załamalam się. Tak sobie kal-kulowałam, jak ma mnie zabić, niech zabije, nie?

Jak nastąpiła sobota, w sobotę przyszedli koło dziesiątej. Załadowali do jakiegoś auta. Ceratą zasłonili, żebyśmy nie widzieli nic. „Słuchajcie no – mówię im – jeśli nawet analfabetami jesteśmy, to nie znaczy, że same tępaki. Dajcie popatrzeć, gdzie jedziemy”. Ale jakiś Ante zaraz do mnie: „Zamknij się – mówi – bo nas zabiją”. „To i cóż – ja na to. – Lepiej żeby nas tu wytknęli, niż żeby nas ciągnęli gdzie dalej”. I zaraz do tamtego Marka z Gračaca: „Słuchaj, Marko! – mówię. – Jeśli chcesz nas zabić, zabij nas tu, na naszej ziemi. Nie wlecz nas do Medaku, żeby nas tam powybijali”. „Nikt was nie tknie”.

I tak nas dowieźli pod barykadę w Medaku, nie? Było nas dwadzieścia pięć ludzi. Ten i ów skoczył z auta. Kto nie mógł, wyrzucili go. Jeden został od razu tu, na drodze. Na zawsze został. Szliśmy z Medaka do Ribnika. Było ze cztery kilometry. Nikola i jego żona to szli chyba ze dwadzieścia cztery godziny. A mnie żał było Macy. Ona też z nami laźła. Kobieta o dwóch kulach. A wszędzie dookoła miny. „Wszędzie miny – powiedziałam do niej. – Uważaj, Maco, wszędzie miny, rozszarpią nas wszystkich”. Jak jeszcze nawet nie doszliśmy do naszego terytorium, do drogi, to tamci zaczęli do nas strzelać z czego kto miał. Niewiele trzeba było, żeby w głowę trafili, nie? Od razu powiedziałam, że teraz nas specjalnie bliżej Ribnika puszcza,

*a potem powybijają i gadać będą, że to nasze wojsko zrobiło. Tak też się stało. Podeszliśmy pod Ribnik, słońce chyliło się ku zachodowi, a tamci z całych sił zaczęli walić po nas z moździerza. Jakaś rodzina chciała nas zabrać na herbatę, nie? Ale jak tu iść, jak walczyć ze wszystkich stron? A i tak autobus już na nas czekał, żeby nas zawieźć do Gospicia.*

*Podwieźli nas tam pod jakieś obory, nie? Powiedzieli, że tu mamy spać. A nam tu nijak do snu nie było. Z obu stron dziury, wystrzelają nas jak kaczki. Więc zebrał się my dalej do Karlobagu. Przyjechali tam o jedenastej. Dali nam coś do zjedzenia. No to zjedliśmy trochę, nie? I zaczęliśmy szukać, każdy swoich. Ja pierwszego listopada dojechała do Zagrzebia. A jak tam dojechała, to miesiąc nie mogła do siebie dojść. Potem byłam w hotelu w Lovranie. I nie wiedziałam już sama. Ani jak długo tam będę. Ani gdzie pójdę.*

*Zróbcie wydech*